



**ANDRZEJ BART**  
**FABRYKA MUCHOŁAPEK**

yd  
**w**  
**ab**  
two

# ANDRZEJ BART

## FABRYKA MUCHOŁAPEK



Pociąg przemierzał noc, a w każdym razie wszystko na to wskazywało. Wagon pochodził z fabryki Société Industrielle Suisse w Neuhausen, co poświadczala mosiężna tabliczka przytwierdzona pod dźwignią ręcznego hamulca. Ściany salonki wyłożono drewnem czereśniowym, do tego kilka starannie dobranych mebli, wśród których największe wrażenie robiła długa kanapa, obita zielonym pluszem. Należałoby też wspomnieć o obrazie nad kanapą, przedstawiającym piękne góry, Alpy zapewne, bo zwrócony ku nim mężczyzna ubrany był w skórzane spodnie i jodłował ponad wszelką wątpliwość. Światło lampy sprawia, że salonka przypomina raczej dom ciepły i bezpieczny, a monotony stukot kół zdaje się trzaskiem ognia na kominku. Na wypolerowanym blacie biurka leży otwarty zeszyt w ceratowej okładce i on jeden wprowadza pewien dysonans, bo ze swoimi pozaginаныmi rogami może być co najwyżej dziennikiem pokładowym maszynisty. Co w takim razie robi w salonce, która być może wozila królów, i kto wie, czy to nie tu podpisano traktat pokojowy w Compiègne?

Człowiek, który siedział przy biurku i wpatrywał się w zeszyt, od dobrej godziny nie odwrócił kartki. Za to kiedy wstał wreszcie, zrobił to tak gwałtownie, że omal nie przewrócił krzesła. Do okna ma kilka kroków, a więc jest okazja dobrze mu się przyjrzeć i stwierdzić, że w pięknym miejscu pięknym był starcem. Wysoki, o siwych włosach i niebieskich oczach – które jeśli z wiekiem zszarzały nawet, to przecież nabrały niezmiernie głębokości – byłby ozdobą Izby Lordów i kto wie, czy to nie jego, zamiast Disraeliego, powinna królowa Wiktoria uczynić premierem. W salonce musiało być gorąco, bo dostojny starzec jednym szarpnięciem otworzył okno. Wiatr natychmiast rozwiał mu białe włosy, które nabrały życia i uczyniły go podobnym do pianisty Paderewskiego, skądinąd także premiera. Mężczyzna patrzył w ciemność, próbując dojrzeć cokolwiek. O tym, że była to noc, a nie najdłuższy w świecie tunel, świadczyło rozgwieżdżone niebo i księżyc jak zwykle w tych dniach sierpnia przypominający rogalik. Niezwykła mogła się wydać tylko ilość gwiazd, które akurat w tym momencie zdecydowały się spadać. Trudno jednak przypuszczać, aby czyniły to pod wrażeniem spoglądającego na nie człowieka. Pociąg pędził może nawet zbyt szybko jak na łuk, który musiał pokonać, bo przecież dało się widzieć lokomotywę, z której komina wydobywał się dym jaśniejszy od nocnego nieba, a co jakiś czas także snop iskier, które potem długą chwilę fruwały w powietrzu.

W przylegającej do gabinetu sypialni ciemno, a więc trudno wyrokować, czy leżąca tam młoda kobieta była piękna, czy tylko ładna. Na pewno nie spała, bo rzadko się sypia z otwartymi oczami. Zamknęła je, kiedy cicho otwarły się drzwi, wtedy też wydobyła z ust głośny, regularny oddech, z odrobiną

świstu przy wznoszącej się frazie. Siwy pan przyjrzał się jej z wyraźnym zadowoleniem, a potem przeniósł wzrok na drugie łóżko. Dopiero teraz widać chłopczyka, który śpi smacznie, i to bez udawania. Jakby tego było mało, światło księżycy sprawia, że dziecko wygląda jak mały aniołek z niemieckich bajek, różowe policzki, loczek na czole. Obrzydliwie *gemütlich*, można by powiedzieć, gdyby nie było tak piękne. Mężczyźnie musiał spodobać się widok śpiących, być może chciał się nawet uśmiechnąć, jednak nie wiadomo, czy tak było naprawdę, bo księżyc schował się właśnie za chmurę i już nic nie można było dojrzeć. Pewne jest jednak, że najciszej, jak mógł, zamknął za sobą drzwi.

*Po raz pierwszy w dniu urodzin nie ma przy mnie nikogo. Ta samotność mocno mnie osłabiła, bo chyba nigdy wcześniej nie odbierałem tak chętnie telefonów. Julia do zwyczajowej butelki obana dołączyła w prezencie niepamiętane przeze mnie zdjęcie, na którym mam jakieś piętnaście lat. Jakbym zupełnie nie znał tego chłopaka, o którym niby wiem wszystko. Nie jestem pewien, czy i dzisiaj potrafiłbym zadbać, aby nie rozbił sobie głowy, ba, nie wiem nawet, czy umiałbym z nim rozmawiać bez ryzyka, że trafi mnie szlag. Patrząc na niego, trudno uwierzyć, że ktoś taki mógł zmarnować tyk z danego człowiekowi czasu. To wszystko bardzo mnie rozstroja i mimo dobrych intencji Julii postanawiam wykreślić ją z rodziny na najbliższe trzy miesiące.*

Celowo sięgam po zapis w dzienniku z 3 września, aby udowodnić przede wszystkim sobie samemu, że nawet w miarę obiektywny zapis potrafi ominąć sedno. Nie wiem, co mnie powstrzymało przed wspomnieniem pewnej rozmowy telefonicznej. Chyba to, że nie tyczyła urodzin i w żaden sposób nie mogłem przewidzieć jej konsekwencji. Przedtem jednak przyśnił mi się pociąg. Sen błahy, głupi nawet. Kiedy przywykłem do miarowego stukotu kół, zaraz krzyk: człowiek na torze. Potem wizg, spadające z góry walizki, tak ciężkie, że trzeba się było obudzić. Od dziecka miałem z tym problem i często śniłem jeszcze, chociaż widziano mnie już w szkole lub częściej poza nią, minęła więc chwila, zanim usłyszałem dzwonek telefonu. Pierwsza próba sięgnięcia po słuchawkę nie mogła się powieść, w drugiej przynajmniej otworzyłem oczy.

– Nie obudziłem? Mamy wspólnych znajomych. Och, mógłbym długo wyliczać. Proszę mi wierzyć, nie zajmę dużo czasu. Nie, proszę się nie obawiać, nic nie sprzedaję. Przeciwnie, przynoszę pieniądze. Przepraszam, że tak pospieszam... Za trzy godziny? Będę akuratnie. – Takie mniej więcej gadanie, do tego cienki głosik. Dlaczego więc chory, z potwornym bólem głowy i świadomością, że od trzech dni nie napisałem choćby trzech zdań, zdecydowałem się go przyjaść? Czy spodobało mi się napomknienie o pieniądzach, brzmiące jak niebiańska muzyka? Jeśli się czegoś obawiałem, to nie tyle straty czasu, co banału, po którym kuracja trudna i rujnująca

wątrobę. Gdybym jednak wiedział, co mnie czeka... Nie, prawdę mówiąc, nie wiem, co bym wtedy zrobił.

Było już widno, kiedy pociąg przybył tam, gdzie miał przybyć. Za dnia wyglądał gorzej, bo odarty z księżycowej poświaty okazał się składem towarowym, i to nie pierwszej czystości. Skąd więc salonka wśród nędznie wyglądających wagonów? Można, a nawet trzeba wykluczyć pomyłkę, bo kolejarze aż tak bardzo się nie mylą. Pozostawała wyższa konieczność, czyli potrzeba szybkiego przewiezienia dostojnika. Jeśli starszy pan mógł być premierem, to tym bardziej ministrem kolei, a tak wysokie stanowisko tłumaczyło wiele. Dlaczego jednak pociąg nie stanął na dworcu i nie witali go wyprężeni urzędnicy kolejowi? Nie tylko nie był to dworzec, ale nawet podrzędna stacyjka, a wiele wskazywało na fabryczną bocznice, bo wszędzie magazyny z czerwonej cegły i sterty zrolowanej bawełny, a przede wszystkim las kominów, które zdawały się sięgać nieba. Jeśli więc wagony przywiozły bawełnę z egzotycznego kraju, to w salonce nie siedział minister, lecz przemysłowiec osobiście dopatrujący w świecie interesu, a teraz powracający do domu z najbliższymi, z którymi nie chciał się rozstawać. Dobrze, że maszynista znał się na rzeczy i w nocy nie żałował pary, bo z daleka nadchodziły duże kłębiaste chmury, zapewne deszczowe, a prawie każdy wie, że bawełna deszczu nie lubi. Gdzie jednak robotnicy mający wyładować cenny surowiec? Wszak wiecznie głodne brzuchy fabryk czekały na pokarm, który potem oddadzą w postaci materiałów tak pięknych, że trudno o kobietę niechęcą się nimi przyozdobić.

Jednak nie skład pociągu, nie martwa cisza, która go przywitała, miały zadziwić najbardziej. Po kilku minutach z wagonów towarowych zamiast bel bawełny zaczęli wytaczać się ludzie w liczbie zaprzeczającej prawom fizyki, a jak się wkrótce okazało, jeden wyłom w naukowym porządku był w stanie spowodować następne, i to poważniejsze. Na razie jednak kobiety i mężczyźni, biednie poubierani, ustawiali się w szeregu, a potem wzajemnie się podtrzymując, szli w stronę fabrycznych murów. Czyżby to robotnicy, których właściciel wypatrzył gdzieś za górami i przekonał sowitą zapłatą, aby pracowali u niego? Jeśli tak, nie będzie miał z nich pożytku, bo nie wyglądali na silnych. Co jednak z nim samym, czyżby zmęczony położył się dopiero nad ranem i teraz śpi mocno, nie wiedząc, że pociąg osiągnął swój cel?

Drzwi salonki otworzyły się wreszcie i stanął w nich dostojny starzec. Nie wyglądał na zaspanego, a więc nie kładł się wcale, do końca pewnie medytując o interesach, o których zwyczajni ludzie blade mają pojęcie. Tweedowa marynarka, jaśniejsze od niej spodnie, zwane bryczesami, a do nich długie do kolan buty, zdradzające wojskową młodość lub myśliwskie chęci. Na głowie



kapelusz, w prawej ręce laska. Mała walizeczka trzymana w lewej dłoni wygląda z daleka na kupioną u Hermesa w Paryżu, lecz nie jest to pewne ani tym bardziej ważne. Jeśli nie zgrabnie, to na pewno dziarsko zszedł po schodkach i od razu ruszył przed siebie. Za nim wysiadła żona, którą przedtem ledwie było widać, a więc dopiero teraz można docenić jej urodę. Na pewno przepiękne włosy koloru późno spadłego kasztana, blad różowa karnacja i mały nosek, świadczący o nadwrażliwości na zapachy. Do tego pięknie żarzące się węgliki oczu. Ubrana w skromną jedwabną suknię, na którą nałożyła cieplejszy żakiet, w niczym nie ustępowała w dostojności mężowi, bijąc go jednak na głowę młodością i wdziękiem. Dziwne tylko, że dźwigać musi dużą walizę, którą na całym świecie wrywaliby sobie bagażowi. Za rodzicami szedł chłopiec. W świetle dnia mniej już był *gemütlich*, ale ciągle sprawiał miłe wrażenie. Chcąc powiedzieć coś więcej, należałoby dostrzec w nim pewien rys przedwczesnej dorosłości, jakże często występujący u dzieci otoczonych najlepszymi nauczycielami. Malec nie niósł walizki, choćby małej, miał za to duży plecak, podobny do tych, które skauci zabierają w najdalsze wycieczki.

Starszy pan szedł przed siebie krokiem znamionującym wrodzoną pewność siebie, zwolnił jednak, a nawet przystanął, kiedy tylko znalazł się wśród murów. Traci wtedy na zdecydowaniu, co pozwala przypuszczać, że nie jest właścicielem tego fabrycznego ogromu, który chciałoby się porównać do piramid czy czegoś równie dużego. Jego żona skorzystała z okazji i postawiła walizkę na ziemi, synek rozglądał się z podziwem, na co wskazywały otwarte usta. Zazdrościć należało miastu, które wzniosło tak potężne mury, gdyż potężna musiała być siła zarabianego tam pieniądza. O tym, że nie jest to tylko olbrzymia panorama wymalowana na płótnie, zaświadczał wiatr wzbijający w powietrze resztki bawełny i kartki z porzuconych kwitariuszy magazynowych. Choć nie było to malarstwo, i tak zwyciężyła sztuka, bo z daleka dała się słyszeć muzyka tak piękna, że nie sposób było wybrać innego kierunku niż ten, z którego dobiegała. Mężczyzna mocniej ścisnął laskę i ruchem podbródka wskazał drogę.

Nie musieli iść daleko. W murze, spoza którego wychylały się piękne drzewa, zobaczyli otwartą furtkę, oszczędni Holendrzy wzięliby ją za wejście do parlamentu. Przeszli przez nią i znaleźli się w ogrodzie przylegającym do wewnętrznego dziedzińca pałacu, bardzo bogatego w style – nie było chyba epoki, z której projektujący go artysta nie czerpałby ze śmiałości człowieka dobrze opłacanego. Jeśli do właściciela tej imponującej budowli należały fabryki za murem, a trudno sądzić, aby było inaczej, to trzeba zauważyć, że nie miał daleko do pracy. Na tarasie strzeżonym przez dwa kamienne lwy, z których jednemu ze starości odpadła głowa, grał kwartet smyczkowy. Dla znających się na muzyce był to Scarlatti, wszystko wskazuje na jego *II*

*kwartet*, dla niewprawnego ucha brzmiało to tylko melodyjnie. Sądząc po wychudzeniu trzech mężczyzn i jednej kobiety, muzycy nie zarabiali dużo, jednak właściciel nie musiał być kutwą, bo odpadające gdzieś tynki zdradzały, że przestał być człowiekiem nadmiernie bogatym. Jeśli tak było naprawdę, to przecież dobrze o nim świadczy, że do końca potrafił zadbać o muzykę. Artyści zajęci swoją pracą ani spojrzeli na przybyszów wchodzących przez taras od strony ogrodu, ci także przeszli obojętnie, myśląc pewnie o jak najszybszym postawieniu bagaży. Tylko chłopiec zatrzymał się na chwilę przy kobiecie grającej pierwsze skrzypce, jednak przywołany skinieniem matki, pobiegł w stronę szklanych drzwi.

Duża sala, w której się znaleźli, musiała być kiedyś wspaniałym salonem z widokiem na taras, za nim ogród, a jeszcze dalej miłe oku fabryki. Teraz pełniła rolę hallu hotelowego, z drewnianym bufetem, skórzanymi fotelami, palmą i starą maszyną do czyszczenia butów. Z prawej strony pięknych drewnianych schodów, za przeszklonymi drzwiami, musiała być jadalnia, bo dobiegał stamtąd brzęk ustawianych na stołach naczyń. Jeśli właściciel imperium zbankrutował, to i hotel w jego domu nie rokował dobrze. Jedynym gościem był wszechobecny kurz, a żółta palma od lat nie widziała wody. O obsłudze nie warto wspominać, na widok gości nawet mucha nie podniosła się do lotu. Pozostawała nadzieja, że twórca tego wszystkiego dawno już nie żył, gdyż widząc podobny upadek, z pewnością umarłby ze zgrzyoty.

Podobnie ocenił sytuację dostoyny starzec, który rozejrzał się niezadowolony, a kiedy długo nikt się nie pojawiał, zaczął stukać laską o kamienną posadzkę. Laska potężna, bez gumowego zakończenia, a więc hałas niemały. Żona próbuje go uspokoić, przestraszony synek zatyka sobie uszy, jednak to on ma rację, bo zaraz tupot nóg i po schodach zbiega dwóch osobników. Choć to figury podrzędne, z różnych względów należy im się uwaga. Nie tylko nie wyglądali jak boye hotelowi, ale jeszcze, trzeba to powiedzieć wprost, nie wzbudzali zaufania. Jeden był większy, drugi mniejszy, mniejszy starszy był od większego, a łączył ich rodzaj bezczelnej poufałości, ledwie maskowanej udawaną atencją. Wytłuszczone garniturki, ulizane włosy, oczy patrzące wszędzie i nigdzie. Mówiąc krótko, czuć ich było lizolem, by nie powiedzieć, siarką. Wyższy skłonił się nisko, niczym piórko porwał walizkę kobiety i już był na schodach. Niższy i starszy, który czern garnituru rozweselił różowym krawatem, uśmiechnął się ponuro do chłopca i razem z plecakiem posadził go sobie na ramionach. Zrobił z nim kilka kroków, zawrócił jednak i z uszanowaniem odebrał kapelusz od starszego pana. Potem palcem wskazał mu drogę na schody.

Przyszedł akuratnie, jeżeli akuratnie w jego ustach znaczyło punktualnie co do minuty. Był maleńki i wąty, podobny do znajomego łabędzia z zakola Odry, z którym codziennie wymieniam spojrzenie. Capia bródka wygięta w stronę szyi, do tego uścisk dłoni dający duże pojęcie o spoistości strucli makowej. Nieszczęścia dopełniał ciemnofioletowy garnitur z plastiku udającego wełnę i żółty krawat w figury geometryczne z gatunku niemożliwych. Widocznie czymś sobie na to zasłużyłem. Śmiało jednak ocenił sytuację.

– Nie wygląda pan na kogoś, kto się cieszy z każdego gościa. – Głos jeszcze wyższy niż przez telefon, lecz na szczęście popiskujący cicho.

– Poprzestanę na oczekiwaniu, co też pan powie – odparłem. A potem spytałem o gatunek herbaty i postawiłem przed nim filiżankę bez uronienia kropli. W nagrodę oszczędził mi kilku zdań o niczym.

– Powiem krótko: jestem pańskim dobroczyńcą.

Poprosiłem, aby mówił długo, jeśli ma taką potrzebę, a nawet podsunąłem cukier. Natychmiast założył nogę na nogę.

– W tych ciężkich czasach przynoszę pieniądze, i to do domu, niczym kurier jakiś. Jednak nazwałem się dobroczyńcą przede wszystkim dlatego, że ofiarowuję panu możliwość przeżycia czegoś, o czym nie zapomni pan do śmierci... Wiem, niezbyt zręcznie jest mówić o umieraniu w domu chorego, lecz proszę wybaczyć, u prostego człowieka co w głowie, to na języku... – Jeśli udał tylko, że się spieszył, to z przygryzieniem wargi nawet. – Wcale nie myślę, że pan zaraz umrze, skądże, jeszcze pan zatańczy na niejednym weselu... Gorzko! Gorzko! Zna pan te krzyki? – Przyjrzał mi się badawczo. – Mam się skracać, tak? W takim razie powiem od razu, że za pokaźną sumę, którą mam przy sobie, wróci pan do ukochanego miasta, z którego pan uciekł. Proszę tak nie patrzeć, tylko na kilka dni...

Dyskretnie przyjrzałem się jego marynarce i nogawkom spodni. Nie zobaczyłem szpitalnej piżamy.

– Nie pomylił mnie pan z kimś innym? – spytałem, dając mu możliwość odwrotu.

– Że powiedziałem „ukochanego”? Myśli pan, że nie dostrzegamy, z jaką czułością wybierał pan momenty, dzięki którym Łódź dobrze wypadła w pańskich książkach? Ale co do tych robotników z *Rien ne va plus*, którzy wybiegli z fabryk i dyżurowali na ulicach, aby chronić Żydów przed czarną sotnią, to proszę przyznać, wymyślił ich pan sobie?

Przytaknąłem, lecz zapytałem zaraz, co to ma do rzeczy.



– Nic, poza tym, że z daleka pachnie kłamstwem z miłości. Albo to słynne „płakałem”, kiedy niedołęgi z *Pociągu do podróży* opuszczają Łódź. Tu już nawet jakby pan przegiął.

Z piżamą czy bez, musiał być pacjentem. Po prostu przyciągałem wariatów jak magnes i nie było pozoru, pod jakim nie próbowałiby przysiąść mi na kanapie. On jednak mówił dalej, wyraźnie zadowolony z siebie.

– A ze mnie, musi pan wiedzieć, żaden *lodzermensch*. Nie jestem nawet potomkiem przedwojennych robotników, którzy, jak pan lubi podkreślać, więcej mieli godności i pańskości od dzisiejszych profesorów. Mamusia moja przybyła do Łodzi po wojnie, bo potrzebowano tysięcy młodych kobiet, aby przędły i tkwały dla Związku Radzieckiego. Ściągnęła zaraz ojca, który szybko awansował, bo umiał mówić kwieciście. Jednak nie przelewało nam się w domu, choć tatuś zapewniał, że wszystkie kamienice nasze... Teraz stary już w grobie, a ja z renty mamusi się żywię... Wiem, powie pan zaraz, że lubię wypić, ale gdyby nawet, to co? Wielki mi grzech. Zresztą zostawmy ten temat...

Dałbym głowę, że wspominając dzieciństwo, zachlipał żałośnie, i tego już było za dużo. Przyjrzałem mu się uważnie. Buty miał stare, ale od Johna Lobba z St. James Street, do tego starannie wyczyszczone. Dobre zęby i zadbane dłonie. Oszukiwał więc, a garnitur magistrackiego urzędnika, ohydny krawat, a przede wszystkim słowa były przebraniem. Jednak po co zadawał sobie tyle trudu? Uśmiechnął się do moich myśli.

– Pomyślał pan o Suworinie czytany przed zaśnięciem? Te słowa o kimś, kto lubił przebierać się za innych? Mam rację? A teraz, jeśli pan pozwoli, trochę się popiszę... – Nabrał w płuca powietrza, przytrzymał, a tym samym poczerwieniał na twarzy. Potem rozluźnił kołnierz koszuli, odsłaniając złoty łańcuch na piersi. Jakby tego było mało, machnął w moją stronę przegubem. – Widzę, że od razu pan poznał. Tylko trzysta egzemplarzy na świecie. Pierwszą kupiła królowa Danii Ingrid i przed śmiercią sprzedała w ichniejszym lombardzie. Przez podstawionego człowieka, ma się rozumieć... Chyba nie muszę mówić, który numer mam na ręce?

Nie zdziwił mnie łańcuch ani zegarek, nie zdziwiła mnie nawet jego twarz, która nie dość, że zrobiła się czerwona, to jeszcze przybrała na wadze. Jednak numeru z Suworinem za nic nie mogłem pojąć. Czytam go od czasu do czasu ostatnio, licząc, że wspomni coś o ojcu Nauma Potockiego, o którym dużo myślę i może coś wkrótce napiszę. Ale przecież nie rozpowiadam o tym. Były więc dwie możliwości: śniłem jeszcze lub zwariowałem. Pierwsza raczej nie wchodziła w grę, bo kiedy tylko wspomniał Suworina, zacząłem dyskretnie szczytać się w przegub. Ból prawdziwy, a po chwili zaczerwienienie. Pozostało więc szaleństwo.

– Proszę się nie obawiać, nie zwariował pan. To tylko uchylone drzwi do sypialni i promienie słoneczne. Dużo tam książek na nocnym stoliku, a na podłodze jedna. Założyłem, że była ostatnio czytana. Mam nie najgorszy wzrok. Przyzna pan, żadnych czarów...

– Dlaczego pan udaje kogoś innego? – spytałem, aby coś powiedzieć.

– A co to ma do rzeczy? Pan też nie ma żadnej grypy, tylko zwykłego kaca. I wiem też dobrze, z kim pan pił pod nieobecność żony, która szuka po świecie pieniędzy na film o getcie łódzkim. Ba, wiem nawet, co pan pił. I co, czy to coś zmienia?

Nic nie zmieniało, bo przecież wciąż go widziałem. Twarz jakby skłaniała się do płaczu, lecz w kącikach ust czaiła się chytryść. Dopiero teraz między kciukiem a palcem wskazującym dostrzegłem ślad po wytartym tatuażu.

– Nie bez powodu przedstawiam się ze złej strony. Po prostu korzystam z okazji, aby pana sponiewierać. Na początek gorzka pigułka, że od tak lichego człowieka przyjmie pan pieniądze, potem zdziwienie, że tacy jak ja mogą wiedzieć o czymś, o czym mądrzele nie mają pojęcia, na koniec upokorzenie, że właśnie dzięki mnie przeżyje pan coś, co nie jest dane przeżyć nikomu. Niegodziwiec ze mnie?

Głosem najtwardszym, na jaki było mnie stać, poprosiłem, aby przeszedł do rzeczy.

– Jak pan sobie życzy. Zrelacjonuje pan dla mnie pewien proces, na piśmie, jeśli łaska. Skąd taka mina? Wolałby pan wyścigi psów? – Z bocznej kieszeni marynarki wyciągnął wypchaną kopertę i zaczął się nią wachlować, jednak widząc moją minę, dodał szybko: – Wiem, chce mnie pan kopnąć w dupala, ale zaręczam, wygra rozsądek. A teraz niech pan słucha. Przyjechałem z Bremy. Siedzę przed panem w kapelusiku na głowie, skórzanych portkach na szelkach i mówię do pana, jodłując.

– W Bremie nie jodłują – zauważyłem przytomnie.

– Mnie pan to mówi? Ja chcę tylko pańską wyobraźnię ukłuć. Ich bin wnuk Hansa Biebowa. Wie pan, o kim mówię? – Minę miał triumfującą, jakby wiedział, że mnie zaskoczył. Odpowiadam grzecznie, że Biebow nie miał dzieci, i wtedy dopiero się zaczęło: – Czy pan nie nazbyt śmiały być? Ja sam mieć kiedyś Katzenjammer, bo razu pewnego nadużyć sznaps. Dobra niemiecka głowa boleć mnie wtedy całe zwei Stunden. Jednak powiem panu, Herr Andreas, że nawet wtedy ja nie mieć dość odwaga, aby wiedzieć *alles* o dzieciach z Bremy i okolic.

Chciałem, aby sobie poszedł, dlatego mówię pojednawczo: – Dobrze więc. Jest pan jego wnukiem, ale co z tego?

– Zna pan pewnie piosenkę *Theo, wirfahren nach Lodz*, i nie zaciekawilo pana, dlaczego po latach Johann, bo Johann moje imie, przyjechał nach Polen? Wyznałem, kim jestem, aby uświadomić panu powagę sytuacji. Domyśla się pan już, kogo będą sądzić? No, niechże się pan wyteży...

Ból rozsadzał mi głowę, do tego suchość gardła w najlepszym gatunku. Z rozważą, aby nie zadygotać dłonią, sięgnąłem po butelkę z wodą i oczywiście trochę jej wylałem. O dziwo, odebrał to jako mój sukces.

– Proszę się nie przejmować, Wasser wyschnie, bo taka jest kolei rzecz, a najważniejsze, że pan już wie. To typische reakcja. Kiedy ja się dowiedziałem, co się święcić, miałem długa czkawka. Dopiero żona mnie przestraszyć i było fertig. Grosse podziw, że pan tak szybko zrozumieć. Czy pana rodzina nie pochodzi ze Schleswig-Holstein? Tam niegłupie ludzie się rodzą... – Nie czekałem, aż Wasser wyschnie, i z serwetką pochyliłem się nad podłogą. Krew uderzyła do głowy z podwójną mocą, najważniejsze jednak, że Johann nie widział mojej miny. Nie potrzebował jej widzieć, bo dalej ciągnął swoje. – Już pan wie, jaka to delikatna rzecz. Kto mógł myśleć, że się dobiorą do niego? Dziwi pana, że chcemy się przyjrzeć tej żydowskiej hucpie? Ostatecznie to my, Niemcy, stworzyliśmy to miasto. Przybyliśmy pierwsi, często za jedyny bagaż mając pracowite ręce i głowy mądrzejsze od waszych... Nie za dużo mądrzejsze, oczywiście. Ja dobrze wiedzieć, co to poprawność, nie tylko polityczna...

Podniosłem głowę znad podłogi i spojrzałem mu w oczy.

– Czy wygadując podobne bzdury, próbuje pan przerzucić na mnie majaki swojego chorego umysłu?

Zafrasował się. – Daje pan do zrozumienia, że to niemożliwe? Że tyle lat po wojnie, tak pan uważa? Przyznaję, nie mam sposobu, aby pana przekonać. Ale gdybym powiedział, że z tym Biebowem to tylko kamuflaż?

– Nie uwierzyłbym.

Roześmiał się. – A da pan wiarę, kiedy się przyznam do żydowskiej krwi? W tych stronach podejrzewacie o nią wszystkich poza Jezusem i jego mamą, a więc nie przyjdzie to panu z trudnością. Jeśli Żydzi wszystko mogą, to czy mieliby jakiś problem z tą sprawą? Słyszał pan o cadyku z Bobowej? Jego brat Ezechiel miał syna. Tak, to ja właśnie, choć nie jestem bardzo religijny. Zawiedziony? Niechże mi pan wierzy, i tak cieszę się poważaniem. Zresztą, gdyby było inaczej, czy dowiedziałbym się o tym wszystkim?

Chciałem spytać, czy mam dojrzeć pejsy i czarny kapelusz, którego nie zdjął, mimo ciepła w pokoju, jednak i bez pytania był na to przygotowany.

– Jeśli to panu do czegoś potrzebne, może pan nawet zobaczyć jak zarzucam tałes. Liczy się sprawa. I co, nadal uważa mnie pan za szalonego?

Nie było takiej odpowiedzi, aby jednego z nas nie ośmieszyć.

– Jeśli dobrze pamiętam, zostało jeszcze trochę obana. Wykończmy go, a potem rozstańmy się na zawsze. Ze swojej strony obiecuję nie tknąć alkoholu do końca roku.

Uśmiechnął się po raz pierwszy. – Niewierny Tomaszu, branie wszystkiego na rozum jest pańskim największym nieszczęściem. Obiecałem, że przeżyje pan coś wyjątkowego, a teraz dodam, że i niejednego się pan dowie. Co, dalej niezadowolony? W takim razie ostatni argument. Wyjdę za chwilę, a pan przeliczy pieniądze, które zostawiam na stole. Jeżeli nawet jestem wariatem, to pieniądze najnormalniejsze. Znak wodny i nitka metalowa, istne okazy zdrowia. Co panu szkodzi zrobić przyjemność szalonemu dziadym, jeśli tak się wykosztował?

Był niezły, bo najprostszymi środkami postarzył się o pięćdziesiąt lat. Zmętnienie oczu, opadająca dolna warga, plamy na czole. Nie wiem, czy Lee Strasberg, który wiedział wszystko o Stanisławskim, umiałby tego nauczyć. Gdyby nawet pieniądze były bardziej fałszywe od postaci, które wyczarował przede mną, i tak warto go było poznać. Wstał i wygładził nieistniejące kanty spodni. Znowu był śmiesznym, trochę szemranym faceciem. Wypchana pewnie kawałkami zwykłego papieru koperta leżała na stoliku.

– Będę już szedł. Szczegóły są zapisane na kopercie. Hasło proszę mówić wyraźnie, bo strażnik może być przygłuchy. Aha, i proszę włożyć marynarkę. Nie zaszkodzi odrobina szacunku dla ludzi, wśród których przyjdzie panu przebywać.

Odprowadziłem go do drzwi. Tym razem uścisk ręki nadspodziewanie mocny, a w oczach niczym niezmacony spokój. Choć mógł to być także smutek, jak się to ładnie mówi: bezbrzeżny.

Regina nie spała już drugą noc, jeśli nie liczyć tych kilku momentów, kiedy nie była pewna, co jest jawą, a co snem. Gdzie się podzieli Niemcy? Dlaczego poprowadzono ich troje tam, gdzie zabrakło czerwonego chodnika, a schody stały się wąskie i strome? Myślała wtedy, że jeszcze chwila, i Chaima trafi apopleksja, bo tak czerwonej twarzy nie miał nawet w gniewie. A jaką musiał mieć minę, kiedy któryś z tych podejrzanych typów otworzył przed nim jedne z wielu drzwi i prawie wepchnął go do środka? Na szczęście ją i małego potraktowali grzeczniej. Życzyli nawet dobrej nocy, choć nie zapadł jeszcze wieczór. Chciała zapytać, kiedy będzie kolacja, ale zanim się spostrzegła, już ich nie było.

Pokój był niewielki, bez okna, oświetlony tylko żarówką zwisającą z sufitu, lecz na szczęście czysty i z łazienką przypominającą jej przedwojenne mieszkanie rodziców na Południowej. Dopiero kiedy, ciężko

24oddychając, przysiadła na jednym z dwóch krzeseł, uświadomiła sobie, że jej rzeczy są w lżejszej walizce, którą niósł Chaim. A więc jeszcze trzeba mu było zanieść tę, w której miał wszystko, nawet zimową pelisę. Kiedy podciągnęła walizę do jego drzwi, okazało się, że są zamknięte na klucz. Marek wyglądał na przestraszonego i długo szarpał klamką, jednak bez skutku. Nie bardzo wiedziała, co powiedzieć, i to jej zepsuło humor do reszty. Na wszelki wypadek kazała mu długo szorować zęby. Pół nocy zabrało jej zastanawianie się, gdzie ich przywieziono, ale cieszyła się, że straszne opowieści o tym, dokąd wywożeni są ludzie, okazały się fałszywe. Wtedy też ogarnęła ją niezrozumiała niechęć na myśl, że Chaim znowu miał rację i że wcale nie jest tak źle. Potem długo walczyła z dusznością, bo nie znosiła zamkniętych okien, a co dopiero ich braku, aż wreszcie na korytarzu dał się słyszeć ruch świadczący o nadejściu ranka.

Marek obudził się natychmiast i po ciemku zakradł się do drzwi. Sprawdza, czy jesteśmy zamknięci – pomyślała. Słyszała, jak delikatnie naciska klamkę, a potem drzwi uchyliły się i światło z korytarza na chwilę wypełniło pokój. Odwrócił głowę, aby sprawdzić, czy ona to widzi. Nie pozostawało jej nic innego, jak uśmiechem pokazać, że wszystko jest dobrze.

Nadzieja na zapłacenie rachunków wygrywała powoli z niechęcią do wzięcia pieniędzy za spełnienie czyjejś zachcianki, ale też uświadamiała słabość charakteru, bo przecież obiecywałem sobie, że długo nie ruszę się z Wrocławia. W swoim dojrzałym życiu byłem tu wszystkiego dwie godziny, bo tyle uzbierałoby się z postojów na dworcu, jeśli więc po latach marzeń zamieszkałem w mieście, w którym się urodziłem, to nie po to, aby udawać podróżnika. Przy śniadaniu patrzę sobie z okna na rzekę i chodząc po ulicach, wypatruję cieni rodziców, którzy zakończyli tu kiedyś, piękni i młodzi, swoją wojenną tułaczkę. Niedawno dowiedziałem się, że w moim mieszkaniu na dawnej Borsigstrasse mieszkał w dzieciństwie wrocławianin Alfred Kerr, słynny krytyk literacki, który konkurował z Tomaszem Mannem do ręki panny Pringsheim i może tylko dlatego nazywał utwory Manna wysiedzianymi. Po nim, co już było łatwo ustalić, mieszkał tu radca Lothar Raber, którego syn zamarzył gdzieś na froncie wschodnim. Podobno był pacyfistą, co nas zbliżało w pewnym sensie, bo jeden z moich przodków także zamarzył nie z własnej woli, tyle że na Syberii. I teraz, kiedy zaczynałem się zaznajamiać z duchami tego miasta, bieda i szantaż finansowy miałyby mnie z niego usunąć, choćby na chwilę?

Broniąc się przed sięgnięciem do koperty, postanawiam iść do redakcji słynnego miesięcznika „Rita Baum” i zaproponować opowiadanie o miłości, które napisałbym na kanwie wiersza z dzieciństwa. Jednak musiałyby to potrwać, bo wiersz miłosny uda się niekiedy i dziecku, a dobre opowiadanie o miłości to najrzadszy ptak. Na tych rozważaniach zeszło mi do południa, potem jak zwykle patrzyłem na rzekę, która mocno granatowa była, czemu trudno się dziwić, gdyż słońce nawet się nie pokazało. Przechodząc obok stołu, odwracałem wzrok od koperty, a wtedy myśl nowa, czy nie zacząć wyprzedawać książek i w ten sposób uniknąć wyjazdu. Właściciele antykwariatów, do których zachodziłem wcześniej, wyglądali na znawców, a u jednego zobaczyłem nawet kartkę z napisem: „Nie przychodź do nas po wycenę swoich książek – my przyjdziemy do ciebie”. Odrzuciłem jednak ten pomysł, i to ze wstrętem, a dla dodania wagi wstrętowi mocno uderzyłem się w policzek. Byłbym jak ojciec, który zamiast swojej, sprzedaje nerkę dziecka. Zasłużony policzek piekł, ale też czułem inne gorąco, wyobrażając sobie elektryków, być może niezbyt odczytanych, ale potrafiących za to pięknie odłączać prąd. Zrozumiałem, że nie ma wyjścia i trzeba będzie zarobić w sposób uwłaczający pojęciu wolności nie tylko pisarskiej.

Kiedy jednak już podjąłem decyzję, poczułem ulgę i chęć do życia. Działanie, ruch, pociągi, przemieszczanie się mas ludzkich, zarabianie pieniędzy, a potem ich wydawanie, oto idea godna współczesnego człowieka. Zapisywanie słów, a zwłaszcza zdań, o myślach nie wspominając, to tylko udręczanie się. Mój idiotyczny entuzjazm miał zamaskować upokorzenie, ale też odsuwał na drugi plan strach przed niewiadomą. Nazwisko Hans Biebow nie padło przypadkowo. Mogłem nawet podejrzewać spisek. Przywołaniem Biebowa W.G. Sebald zakończył swoją powieść *Wyjechali*, czym, przyznaję, wprowadził mnie w pewną konfuzję. Miałby więc wyjazd do Łodzi wiązać się ze sprawą, o której już dawno zakazałem sobie myśleć? Na wszelki wypadek zadzwoniłem do Jerzego W., *lodzermenscha* całą gębą, który jako dziecko prawie był jednym z asystentów operatora przy kręceniu *Ziemi obiecanej*. Chciałem mieć świadka wszystkiego, co mogło mnie tam spotkać.

– Wejdiesz w coś ryzykownego w naszym cholernym mieście? – Nie wiadomo dlaczego powiedziałem w „naszym”, przecież sam pomagał mi w przeprowadzce, twierdząc, że mi się ona należy jak więźniowi za dobre sprawowanie.

– Ryzykownego? Zawsze. – Może mi się wydawało, ale wyczułem w jego głosie ulgę.

\*

Śniadanie było skromne, ale obfite, podobne do tych, jakich można się spodziewać po dużych, w bielach utrzymanych jadalniach pensjonatów



krynickich, które znała najlepiej. Jednak zapach białego chleba tak zniewalał, że nie potrafiła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz czuła coś podobnego. Posmarowała małą kromkę twarożkiem i jak najdyskretniej odwróciła głowę w stronę mężczyzny, który siedział przy oknie i pięknie się jej skłonił, kiedy wchodziła. Już go nie było, musiał więc wyjść drzwiami, przy których na niewielkim podwyższeniu stał biały fortepian. Chciała mu się przyjrzeć, bo choć dałaby głowę, że widzi go po raz pierwszy, to jednak kogoś jej przypominał. Zapamiętała chorobliwą bladość, sińce pod oczyma, a przede wszystkim same oczy, matowe i bez wyrazu. Gdyby nie w miarę dobre ubranie, wyglądałby na kogoś, kto uciekł ze szpitala albo więzienia. Za mało prawdopodobne uznała, że to ktoś z jej przedwojennych klientów, bo nie dlatego widziano w niej przyszłą gwiazdę palestry, aby ludzie, których broniła, dostawali duże wyroki. Dlaczego jednak zaprzętała sobie tym głowę, dlaczego odruchowo przełknęła ślinę, kiedy dojrzała brudny bandaż na jego szyi? Tłumaczyła to stanem nerwów, bo po tym, w jaki sposób potraktowano Chaimiego, nie mogła dojść do siebie.

Marek pobiegł rano do jego otwartego już pokoju i nie znalazł choćby najmniejszej kartki z wiadomością. Dla dodania sobie animuszu wystawiła kufer Chaima na korytarz, a z odzyskanej walizki wyjęła najładniejszą suknię z różowej organdy. Lusterko nad umywalką było wielkości pocztówki i nie bardzo mogła się przejrzeć, ale wiedziała, że wygląda dobrze. Potem w drzwiach głowa sprzątaczk i chrapliwy głos: „Dlaczego jeszcze nie zeszli na śniadanie?”. Marek natychmiast stanął z książką przy drzwiach. W jadalni byli ostatnimi gośćmi, jeśli nie liczyć człowieka, który jej kogoś przypominał, a potem nie wiadomo kiedy wyszedł. Robiła wszystko, aby jeść jak najdłużej, bo dokąd siedziała i jadła, sytuacja była prosta i zrozumiała. Marek także przeczuwał, że trzeba szanować chwilę, bo miarowo grzebał w pustej skorupce jajka, a do tego rozłożył się na stoliku z książką, choć już kilka razy usłyszał od niej o niestosowności takiego zachowania. Udawał czytanie, ale chciał tylko zatrzymać czas, jednak nie byłaby sobą, gdyby nie powiedziała:

- Mógłbyś się pośpieszyć.
- A co będzie, jak zjem? – Podniósł głowę znad książki.
- Wtedy zobaczysz.

Marek zmiażdżył łyżeczką skorupkę i odsunął od siebie talerzyk i książkę.

- Zjadłem.
- Wytrzymaj usta.

Wycierał długo, ale kiedyś musiał odłożyć serwetkę.

– I co teraz?

Dałaby dużo, aby to wiedzieć. Nie chciała wracać do pokoju, czekanie tam byłoby podwójną męczarnią. Do jadalni weszło kilka młodych kelnerek, by posprzątać stoły i zmienić obrusy. Musiały być praktykantkami, bo nie zważając na obecność Reginy, głośno do siebie mówiły, a nawet śmiały się wesoło. Wstała więc i Marek bez ociągania wstał także. Przez chwilę myślała, czy niby przez pomyłkę nie wyjść innymi drzwiami, niż przyszła, jednak wrodzony rozsądek podpowiadał, że najbezpieczniej będzie usiąść w hallu pod palmą i zachowywać się tak, jakby siedzenie tam miało jakiś powód.

– Czy szanowna pani miałyby teraz ochotę zobaczyć męża?

Nie wiadomo kiedy pojawił się jeden z dwóch aż za dobrze znanych osobników. Różowy krawat zastąpił dzisiaj spokojniejszym, ale i tak biało-czarne trójkąty z daleka przyciągały wzrok. Do tego wyraz twarzy, który w jego mniemaniu był zapewne wesoły.

– Jak pan może o to pytać? – Bezwiednie się wyprostowała, a jej głos zabrzmiał podobnie do głosu aktorki Przybyłko-Potockiej w roli Marii Stuart. Nie dbała o to, więc nie zauważyła podziwu w oczach posłańca czy kimkolwiek był.

– W takim razie proszę za mną.

Nigdy przedtem tego nie robiła, teraz jednak wzięła Marka za rękę i ruszyli za mężczyzną, który szedł bardzo szybko. Ominęli schody i przez wahadłowe drzwi, których jedno ramię mężczyzna uprzejmie przytrzymał, weszli do długiego korytarza czy raczej sali, po sufit wyłożonej dębową boazerią. W czasach świetności pan domu mógł demonstrować tutaj swoje umiłowanie sztuki, bo na ścianach pozostało jeszcze kilka obrazów w nadzwyczaj solidnych ramach. Przedstawiały konie i jeźdźców w kolorowych kubrakach, którzy podkręcali węża i uśmiechali się do kobiet podających im puchar wina. Markowi tak się to spodobało, że kilkakrotnie podskoczył, udając konia w ruchu. Na końcu sali mężczyzna zatrzymał się nagle, jakby zainteresowany sceną polowania na lisa. Gdyby nie okrągły porcelanowy uchwyt, nawet uważnemu oku trudno byłoby dostrzec zarys drzwi w dębowej ścianie. Zdażyła pomyśleć, że to pewnie pomieszczenie na szczotki, a przewodnik już je otwierał i unizonym gestem zapraszał do środka. Ukazała się ciemność, nic więc dziwnego, że Regina zrobiła krok do tyłu. Mężczyzna, zadowolony z tej reakcji, uśmiechnął się i pierwszy wszedł do czegoś, co jednak było schowkiem, bo kiedy za chwilę rozbłysło światło, okazało się, że wiszą tu dwa fartuchy i stoi wiadro. Widząc, że Regina w dalszym ciągu nie kwapi się do wejścia, wskazał na jeszcze jedne drzwi w przeciwległej ścianie, gestem dając do zrozumienia, że aby je otworzyć, wszyscy muszą znaleźć się w środku. Gdy w końcu stanęli obok niego, mężczyzna otworzył kolejne drzwi i

natychmiast owionęło ich świeże powietrze. Korytarz, tym razem inny, wysoki, a nawet monumentalny, w bliższym jej architektonicznie stylu, w którym forma odpowiadała funkcji, a detale wywodziły się z figur geometrycznych. Regina robiła wszystko, aby nie okazywać zdziwienia ani schowkiem, ani innością budynku, w którym się znaleźli. Pomyślała tylko, że może prowadzący ich mężczyzna chciał dobrze wypaść i dobrał krawat do tego właśnie miejsca. Nie powiedziała mu o tym, ale powinien się cieszyć, że w ogóle o nim pomyślała.

Wchodzili po szerokich schodach, a z daleka dał się słyszeć gwar rozmów. Wreszcie na końcu okazałego korytarza zobaczyli ludzi zgromadzonych przed dużymi drzwiami. Sami także zostali zauważeni i kilku mężczyzn ruszyło w ich stronę, a jeden nawet błysnął magnezją przy aparacie fotograficznym. Potraktowała to zwyczajnie, uniosła wyżej podbródek i mogła wyglądać teraz jak Sara Bernhardt w *Orlątku*, gdyby oczywiście aktorka miała córkę w jej wieku. Zasłoniła tylko sobą Marka, bo sprawiał wrażenie przestraszonego. Idący przodem mężczyzna torował drogę, a kiedy doszedł do drzwi, otworzył je i z ukłonem przepuścił ich przed sobą. Znaleźli się w sali dość widnej, mimo że światło wpadało tylko przez ciągnące się pod sufitem okrągłe okna. Była zapewne aula, profesorowie roztaczali tu swoją wiedzę przed studentami. Świadczyła o tym przesuwana tablica, której zapisane już kredą i podniesione w górę skrzydło wypełniały niemożliwe do zrozumienia wzory fizyczne. Stojąca w środku katedra nie była jednak ani biurkiem, ani solidnym stołem, tylko dość ładnym karciakiem, w którego rogach tkwiły miedziane popielniczki. Na szczęście puste, bo Marek uczulony był na dym z papierosów. Wokół tablicy i karciaka siedzieli ludzie w różnym wieku, sprawiający zgoła nienaukowe wrażenie. Wielu z nich natychmiast rozpoznała i uświadomiła sobie, że suknia z różowej organdy nie była dobrym wyborem. Mężczyzna przez pozostawione przejście doprowadził ich do dwóch wolnych miejsc, można by powiedzieć – w pierwszym rzędzie, gdyby nie kilka krzeseł ustawionych jeszcze bliżej katedry. Na jednym z nich siedział Chaim, natychmiast rozpoznała go po siwych włosach. Zawsze podziwiała jego instynkt, dzięki któremu wyczuwał wszelką niechęć w stosunku do swojej osoby, tym razem zadziwił ją zmysłem, pozwalającym mu, siedzącemu tyłem do sali, domyślić się, że właśnie weszli. Inaczej przecież nie odwróciłby głowy akurat w tym momencie, a już na pewno nie przyjrzałby się im uważnie, a przy okazji zebranym ludziom. Właśnie to spojrzenie sprawiło, że tłum na sali, wcale nie głośny, lecz zawsze szemrzący, zamilkł, i w ciszy usłyszała bicie własnego serca. Fagas, który ich przyprowadził, skłonił się i szybko wyszedł.

\*

W dzienniku z 5 września notuję: *Cóż po pielęgnowaniu mizantropii i sposobów odstępowania od uczestnictwa, jeżeli od rana ślęczę nad listem do*

*ważnego producenta niemieckiego w sprawie filmu o Żydach z zachodu Europy wtłoczonych do getta w Łodzi. Na oczekaniu wymyślam żart gettowy: „W łódzkim getcie możemy na jednym metrze mieć więcej noblistów niż reszta świata”, i zwracam uwagę na szacunek do orderów nadawanych przez ojczyznę producenta: „Wielu przybyłych profesorów z zaufaniem do niemieckiej wdzięczności nosiło w klapach niemieckie ordery z pierwszej wojny światowej, a w sercach przekonanie, że cywilizowane Niemcy co prawda chorują, ale przecież musi to być choroba przejściowa”.*

*Wieczorem znajduję słowa Gershoma Scholema, który w „Żydach i Niemcach”, znakomicie przełożonych przez Adama Lipszyca, opisuje początki emancypacji Żydów niemieckich. „Gdy wielkie zastępy Żydów wyłoniły się ze swojego średniowiecza i wkroczyły w nową epokę oświecenia i rewolucji, przeważająca ich liczba – cztery piąte ówczesnego żydostwa – mieszkała w Niemczech, w cesarstwie austro-węgierskim i w Europie Wschodniej. Tak więc warunki geograficzne, polityczne i językowe sprawiły, że w pierwszej kolejności zetknęli się oni z kulturą niemiecką. Co więcej – i to ma decydujące znaczenie – doszło do tego w jednym z najpłodniejszych, zwrotnych momentów w dziejach tej kultury”. Uważa Scholem, że Żydzi rzadko odnosili korzyść z talentów swoich najzdolniejszych przedstawicieli, gdyż większość najbardziej uzdolnionych żydowskich umysłów przysłużyła się społeczeństwu niemieckiemu. Zdumiewająca eksplozja ich produktywności dała się odczuć w literaturze, nauce i sztuce. „Wszak niemal wszystkie najważniejsze interpretacje Goethego napisali Żydzi”.*

*Myślę, że Niemcy, ten heros wśród narodów zarówno w dobrym, jak złym, chcieliby, co zrozumiałe, aby pamiętać im już tylko dobro. Jeżeli jednak sami nie dobiją zła kołkiem ironii, jeśli go nie wyśmieję w sobie, to bachowski, goetheański, beethovenowski koturn, na którym słusznie stoją z dumą, może nie wytrzymać ciężaru. Trudno jednak o tym mówić, kiedy samemu pochodzi się z narodu, który swój własny cienki, lecz zgrabny obcasik łamie z rozbrajającą niefrasobliwością.*

*W dzienniku więc nieznośna pospolitość. Piszę o jakimś liście, zajmuję się lekturami, a nawet słowem się nie zająknę o podskórnym nurcie życia. Aż chce się powątpiewać we własną szczerłość, bo w zapiskach ani śladu podróży, którą przyszło mi odbyć. A był przecież i Wrocław Główny, i kolejka do kasy, w której ładnie się pokłócono, i pociąg, który jechał sześć godzin i dwadzieścia minut. Pocieszające jest to, że mało z podróży pamiętam. Dworzec Kaliski w Łodzi nie zyskał na urodzie, ale że koniecznie chciałem się ucieszyć, skupiłem wzrok na kioskarce ładniejszej od pozostałych i kilka razy powtórzyłem w myśli, że takich kioskarek nie ma w innych miastach. Nawet w to uwierzyłem.*

Kiedy do tylko trochę śmierzdzącej poczekalni wszedł Jerzy, kilku żebraków natychmiast ruszyło w jego stronę. Nie oganiał się od nich, ale też nie sprawiał wrażenia, że ich widzi. Nic nie mogło mnie bardziej ucieszyć jak widok tego dostojnie stąpającego olbrzyma, który lubił się nazywać łódzkim aborygenem i który był nim wśród półmilionowej armii powojennych imigrantów z okolicznych wiosek. W przeciwieństwie do mnie pozostał jednak aborygenem do końca wiernym bumerangowi. „Umrę w domu, który postawił mój dziadek” – mawiał, co w Łodzi brzmiało, jakby był z Radziwiłłów.

Na dowód, że sprawa jest poważna, na parkingu pokazałem mu kopertę z pieniędzmi. Przeliczył wzrokiem i ruszył spod świateł szybciej, niżby wypadało. Wiedziałem już, że nudził się potężnie i że dołączy do mnie bez względu na to, co wymyślę. Nie byłby jednak sobą, gdyby nie przewiózł mnie wiadomą aleją i nie przyglądał mi się kątem oka, kiedy przejeżdżaliśmy przed domem, w którym jeszcze niedawno mieszkałem. Pewnie chciał, abym westchnął, ale nie byłem na to przygotowany. Chyba uraziłem go swoją powściągliwością, bo wspomniał zaraz, że ma tylko trzy, najwyżej cztery godziny.

– Wieczorem muszę jechać do Sosnowca, a wcześniej Ania prosi do nas na obiad.

Przy dawnej Izbie Morskiej spytał znienacka, czy wiem, co stało się po wojnie z Aleksandrem Czeczottem, autorem płaskorzeźby na gmachu sądu i na Izbie Morskiej właśnie. Źle trafił, bo wiedziałem, a nawet dodałem dwa słowa o pierwszej żonie Czeczotta, Niemce, zamęczonej w Auschwitz, i drugiej, też Niemce, córce komendanta obozu na Radogoszczu. Przyjął to z godnością, lecz było pewne, że teraz zagra mocniej. Rzeczywiście, ziewnął i powiedział od niechcena, że słyszał coś o Pawle Lewym. Tego się nie spodziewałem. Od dawna chciałem wiedzieć, co stało się z młodym, utalentowanym architektem, który przed samą wojną zaprojektował najpiękniejszy dom w mieście. Po wojnie wspaniała kamienica widoczna z moich okien trafiła w ręce literatów i została potem opisana w wielu pamiętnikach. Jan Kott zamieszkał w niej jako jeden z pierwszych. Wspomina, jak wyrzucał oknem meble z sypialni i że wraz ze swoją towarzyszką używał każdego pokoju tylko przez tydzień. Kiedy było już tak brudno, że nie dawało się wytrzymać, zamykali pokój na klucz i przenosili się do następnego. Gdy zabrakło pokoi, przenosili się do innego mieszkania i wzywali do sprzątania Niemki z obozu pracy przymusowej. Każdy z tych świątłych przecież ludzi, którzy potem tam mieszkali, traktował ten dom, jakby Polska nie istniała przed wojną. Paweł Levy lub Lewy, bo można spotkać obie pisownie, znika w 1939 roku, a w dzienniku robót wykańczanego jeszcze domu przy Bandurskiego pojawia się pieczętka mistrza budowlanego inżyniera Smolika. Czy Paweł (aż chce mi się mówić mu po imieniu) zdażył wyjechać za granicę, czy może myślał, że łatwiej mu będzie w getcie warszawskim? Jerzy silił się na ton obojętny, ale to było jego rozdanie.

– Wiem o nim sporo! Poznałem panią Bubi, babcię Piotrka Szczerbica, mówię ci, co za kobieta. We wrześniu weszła w setny rok życia, a pamięć ma lepszą od mojej. Mieszkała z mężem w luksusowej kawalerce, tam gdzie było i jest PZU. Płacili sto dwadzieścia pięć złotych, a kiedy spodziewała się dziecka, poszli do najpiękniejszego wtedy domu w mieście, aby wynająć coś większego. Tam też spotkali architekta, który go projektował. Okazało się, że mąż pani Bubi znał się z nim ze szkoły. Już we trójkę zjedli wieczorem kolację w Tabarinie. Wiesz, na Dzielnej... – Jerzy nigdy nie nazwał żadnej ulicy jej współczesnym mianem, ba, nawet nazwy z międzywojnia jakby mu nie przechodziły przez gardło. – Gdybyś wiedział o istnieniu pani Bubi, nie ruszyłbyś się z Łodzi na krok. Pamięta nawet, co wtedy jedli... Tak więc, mój stary, wiem nie tylko, co stało się z twoim architektem, ale mam nawet zdjęcie mebli kuchennych zaprojektowanych przez niego w dowód przyjaźni dla pani Bubi. Stały potem w mieszkaniu, które po wojnie przypadło Zofii Nałkowskiej...

Już chciałem wykrzyczeć pytanie, czy ma to zdjęcie przy sobie, kiedy wjechaliśmy w krótką ulicę z adresu zapisanego na kopercie. Fabryka i pałac, najważniejsze budowle w tej okolicy, należały niegdyś do rodziny, której jeden z synów był niezłym tenisistą. Co prawda nie grał tak dobrze jak bracia Stolarow, ale wygrał dwa turnieje na Lazurowym Wybrzeżu. Do łódzkiej historii przeszedł jako ten, który pierwszy w Polsce kupił obraz Picassa. O dwóch mężczyznach, którzy mu go sprzedali, wiedziałem dużo, opisałem ich nawet, ale nie ma to nic do rzeczy. Liczne potem magazyny i hurtownie gdzieś się wyniosły, a po parkujących samochodach została porzucona opona, nadpalona jednak. Nikt niczego nie pilnował, tym bardziej więc wypadało pochwalić złomiarzy. Zabrali tylko co drugą szynę z torów prowadzących do fabryki, którymi kiedyś przywożono ze świata surowiec, a potem rozwożono gotowe wyroby. Musieli więc wierzyć, biedacy, że jeszcze pokaże się tu pociąg, a wtedy na resztkach toru da sobie jakoś radę.

Dom pod numerem siedemnastym nie wyglądał dobrze. Kiedyś okazały, bo sąsiedował z pałacem, przypominał teraz znanego adwokata, który marniał na oczach całego miasta i u kresu życia był rozpoznawany po otaczającej go chmarze psów i wiecznie rozpiętym rozporku. Matowe okna, wszechobecna szarość, plamy opadowe do pierwszego piętra, słowem gmaszysko martwe jak cała okolica. Z tego, co pamiętam, najdłużej żyły w nim biura i przychodnia lekarska, a w pałacu obok przedszkole lub żłobek. Nie wiem, dlaczego rozpisuję się o tym, a jedyne usprawiedliwienie, jakie przychodzi mi do głowy, to chęć odwrócenia swojej własnej uwagi od drzwi, na pewno zamkniętych na klucz, które dla porządku wypada złapać za klamkę. Otwarte jednak i nawet nie zaskrzypiały.

W niewielkiej sali z seledynową lamperią i rzędem krzeseł pod ścianami brakowało tylko gablotki z broszurami ostrzegającymi przed niezdrowym



życiem. Z otwartych drzwi skorzystało kilka much i wyfrunęły, pewnie w stronę Piotrkowskiej. Pamiętam, że ze strachu przyszło mi do głowy, aby poświęcić im krótkie opowiadanie czy poemat prozą. Jerzy wyraźnie rozczarowany, i trudno się dziwić, bo dość się takich wewnątrz naoglądaliśmy. Uspokoilem sumienie i mogę już wracać do Wrocławia – pomyślałem, kiedy nie wiadomo skąd pojawiła się kobieta w nylonowym fartuchu, przy której Jurek był maluchem. Monstrum, chciałoby się powiedzieć, dorabiające na ringu do pensji sprzątaczkii, gdyby nie twarz przystojna, a w każdym razie nie straszna, i nieźle ondulowane blond włosy. Podeszła blisko i przyjrzała się nam z uwagą nauczycielki biologii. Pochwaliłem się w myśli za pierwsze wrażenie: musiała niedawno stoczyć walkę, gdyż jej lewe oko okolone było granatowozieloną obwódka.

– Mam tu hasło dla pani. – Oczywiście, obawiałem się śmieszności, lecz podtykając jej pod oczy kopertę, chciałem uspokoić sumienie, że zrobiłem wszystko, do czego się zobowiązałem. Wcale się nie zdziwiła.

– Od razu wiedziałam. Mocno spóźniony... A ten drugi zuch co znaczy? Wejścióweczka jest na jednego.

Nie wiem, co mi przyszło do głowy, być może niechęć do wnętrza albo tylko zwykła chęć ucieczki, bo powiedziałem:

– Jest nas dwóch, a jeżeli nie zostawiono drugiej przepustki, to pani pozwoli, że powiemy do widzenia.

Nieoczekiwanie uśmiechnęła się, i to z pewnym wdziękiem, a nawet jakby mrugnęła do Jurka podbitym okiem. Wiedziałem już, że nie ma odwrotu.

Cztery lata przeżyte w getcie nauczyły Reginę nie dziwić się niczemu, lecz to, co zobaczyła, uwłaczało wszelkiemu porządkowi. Prędzej spodziewałaby się pobicia niż tego, że będzie świadkiem zadawania śmiałych pytań człowiekowi, którego zdecydowała się poślubić. Przy okazji dowiedziała się, że Chaim miał na drugie imię Mordechaj, lecz nie było to warte takiego upokorzenia. Nie wiedziała o imieniu, bo w getcie to on udzielał ślubów, a kiedy brał ją za żonę, nakazał zastępstwo rabinowi, który podczas uroczystości ostentacyjnie nazywał go panem prezesem. Zresztą został za to ukarany, bo nie poproszono go na kolację i nie najadł się do syta. Długo broniła się przed myślą, że to, co widzi, ma coś wspólnego z sądem, a uwierzyła dopiero, kiedy pojawił się ktoś, kto wszędzie wyglądałby na najważniejszego. Nie miał togi ani jakiegokolwiek atrybutu znamionującego władzę, a i tak ucichły wszelkie rozmowy. Nigdy nie widziała kogoś tak dostojnego, mimo że stała blisko samego Gordona Craiga, a na dworcu w Warszawie zupełnym przypadkiem zetknęła się z cadykiem z Góry Kalwarii. Dostojnemu mężczyźnie wcale nie uwłaczała marynarka, która,

jak dostrzegła, nosiła ślady nicowania, ani to, że zanim zasiadł za karcianym stolikiem, podłożył korek pod nogę krzesła. Nawet kiedy siedział, zdawał się wyższy od wszystkich obecnych, a przecież musiało to być złudzenie. Siwa aureola włosów pięknie przechodziła w równie siwą brodę, a oczy spod krzaczastych brwi rzucały na przemian spojrzenia groźne, łagodne, a najczęściej znudzone, jakby obowiązek, który wziął na siebie, nie zajmował go aż tak bardzo.

Poczuła, że ma spocone dłonie, poszukała w torebce chusteczki, a przy okazji spojrzała na małego, który siedział jak zmartwiały. Miała ochotę go pogłaskać, aby w ten sposób dodać mu otuchy, ale zrezygnowała, bo akurat dostrzegła kogoś, kto z urzędu lub z przekonania zdecydował się stanąć w obronie Chaima. Blondyn o niezdrowych rumieńcach i w opiętym tużurku, wyraźnie skądś wypożyczonym. Grzecznie przywitał się z mężem, a potem przysunął krzesło, aby siedzieć blisko niego. Młody na pierwszy rzut oka wyglądał na fajtlapę, jednak zbyt dobrze znała się na ludziach, aby nie wiedzieć, że to pozór biorący się z kompleksji; w środku ten mężczyzna może być głodnym wilkiem. Taki robi wszystko dla sławy, jeśli tylko pojawi się szansa – pomyślała, przyłapując go na pocieraniu o siebie zaciśniętych pięści. Chaim co prawda podał mu rękę jak z łaski, ale w sytuacji, w jakiej się znalazł, miał prawo do zdenerwowania. Już pierwsze słowa wypowiedziane przez obrońcę potwierdziły jej przypuszczenia. Na pewno nie zamierzał być statystą.

– Jakże się cieszę, że przechodzimy wreszcie do konkretów, bo wypytywanie o dzieciństwo kogoś takiego jak nie przymierzając Mojżesz zakrawało na farsę, a przecież traktujemy jak najpoważniej swoją tutaj obecność.

Na sali rozległo się kilka krzyków, ktoś nawet przeraźliwie gwizdnął, wystarczyło jednak, że sędzia zmarszczył brwi i sala ucichła.

– Panie Bornstein, to właśnie pańskie porównanie jest rodem z farsy i bardzo proszę, aby w przyszłości zechciał pan unikać tego tonu...

Poznała więc nazwisko obrońcy, które nic jej nie mówiło, chociaż w szkole powszechnej miała za koleżankę jakąś Bornsteinównę. Ale tylko przez kilka miesięcy, bo, zdaje się, wyjechała. Jeśli coś jednak Reginę zdziwiło, to sposób, w jaki sędzia wypowiedział swoją kwestię. Dałaby głowę, że myśłami był gdzie indziej.

– To się nie powtórzy, wysoki sędzie. – Bornstein skłonił się, lecz przedtem mrugnął w stronę publiczności. – Czy mogę teraz przeczytać dokument, który przygotowałem?

– Ma pan szerokie uprawnienia, panie mecenasie. – Sędzia podparł palcem policzek i zamknął oczy, jakby dawał do zrozumienia, że zamienia się w słuch.

– Niech to nawet wygląda na laudację, lecz nie mogę się powstrzymać od przypomnienia przedwojennych zasług obecnego tu pana prezesa. – Musiał być krótkowidzem, bo przygotowaną kartkę papieru trzymał blisko oczu. – Jakub Schulman napisał do nas, że poznał pana prezesa po pierwszej wojnie światowej, kiedy ten organizował obozy dla młodzieży. Pozostał wtedy pod wielkim wrażeniem jego zapału. Kiedy w latach trzydziestych pan prezes zaczął prowadzić założony przez siebie sierociniec, zdawał się człowiekiem przepelnionym nadludzką energią. Gdy wszyscy już spali, on pracował jeszcze, jakby jego organizm nie potrzebował odpoczynku. Stworzył w sierocińcu eksperymentalną farmę, na której dzieci mogły się uczyć pracy na roli, tak przydatnej w Palestynie. Skąd mógł, zdobywał pieniądze dla swoich podopiecznych. Imał się różnych zajęć i kiedy było trzeba, zostawał wydawcą, bo przecież wydawał pismo „Sierota”, innym razem rolnikiem, ale przede wszystkim znakomitym pedagogiem. Mimo że pracował niezwykle ciężko, jego sytuacja materialna nie była dobra. Wszystkie pozyskane pieniądze szły na sierociniec, który najpierw stał się pierwszym w Łodzi, a wkrótce jego sława promieniowała na całą Polskę.

Dopiero teraz dostrzegła, że Bornstein najczęściej zwraca się do siedzących z prawej strony, na krzesłach lekko wysuniętych do przodu. Wszystko wskazywało na to, że byli oni czymś w rodzaju ławy przysięgłych, której znaczenie dobrze znała z podręczników i filmów. Kiedy jednak nieoczekiwanie rozpoznała wśród siedzących Aarona Witwickiego, poczuła nerwowe pulsowanie powieki. Był sędzią apelacji w getcie i nie chciał uznać oczywistych argumentów dowodzących niewinności oskarżonego, którego broniła w procesie o gwałt. Wiedziała, że głos kogoś takiego będzie głosem stronnictwym. Dwaj rabini i cadyk, którzy siedzieli obok Witwickiego, pewnie także nie znosili Chaima, lecz może doceniali, ile dobrego zrobił dla Żydów. Jeden z nich, cadyk właśnie, krzycząc, biegał po Rynku Bałuckim i należało go zamknąć w szpitalu. Pewne było jednak, że nie oszalał z głodu. Kilka innych osób znała dość dobrze i dziwiła się, że zgodziły się tam zasiąść, kilku nie znała nawet z widzenia, a więc niezbyt się liczyły. Z największym jednak zdumieniem na samym końcu dostrzegła Fuchsównę, sekretarkę Chaima. Banalną hanowerską kureę, która swoją pozycję w getcie zawdzięczała takiej znajomości niemieckiego, że prości Niemcy otwierali gęby. Wybranie jej do ławy przysięgłych świadczyło albo o końcu świata, albo o naiwności sędziego.

– Jego jedyną zapłatą była satysfakcja z dobrze spełnionego uczynku – mówił dalej Bomstein. – Choć bez wykształcenia, bo naukę skończył na chederze zaledwie, nigdy nie przestał się doskonalić. Próbował sił jako

fabrykant, kupiec, a nawet agent ubezpieczeniowy, na szczęście dla historii z mizernym skutkiem. Kiedy jednak przekonał się, że najwięcej dobrego może uczynić dla sierot, nie wahał się ani chwili i aby pogłębić wiedzę pedagogiczną, udał się gdzie?... – Zawiesił głos i rozejrzał się po sali. – Tak, właśnie, do samego doktora Korczaka...

Wiedziała, że takie nazwiska zawsze wzbudzają aplauz. Na sali rozległ się szmer podziwu, a nawet nieśmiałe oklaski. Pomyślała, że jeszcze kilka takich przykładów, a Chaim zostanie stąd wyniesiony na ramionach. Odruchowo pogłaskała po głowie Marka, który tak się zapatrzył w obrońcę, że nawet tego nie zauważył, a powinien był, bo przecież nie głaskała go często.

– W domu dziecka prowadzonym przez Janusza Korczaka pan prezes spędził wiele tygodni i mógł z bliska obserwować jego nowatorskie metody. Panie i panowie, z głębokim wzruszeniem pragnę oznajmić, że doktor Janusz Korczak zgodził się spotkać z nami i opowiedzieć o tym, jakim człowiekiem wydał mu się Chaim Rumkowski.

Na sali zapanował entuzjazm, zaczęto klaskać, tym razem powszechnie, także sędzia uderzył dłonią o dłoń. Drzwi otworzyły się i znajomy boy hotelowy wprowadził łysego mężczyznę w zniszczonym płaszczu. Świadek w kompletnej ciszy doszedł do wyznaczonego miejsca, którym, jak zobaczyła, był stary pulpit na nuty, i uklonił się sędziemu. Wyglądał na chorego, przez chwilę nawet podpierał się laską, ale zaraz się wyprostował.

– W imieniu wszystkich obecnych mam zaszczyt pana powitać, panie doktorze. – Bornstein sprawiał wrażenie wzruszonego. – Prosimy uprzejmie, aby zechciał pan opowiedzieć o swoim spotkaniu z Mordechajem Chaimem Rumkowskim.

– Przyznaję, nie pamiętam wszystkiego. Byłem dość zapracowany, a zjawiało się wtedy wielu chętnych do obserwowania naszej pracy. Z tego, co zdołałem zapamiętać, pan Rumkowski był człowiekiem ciekawym wszystkiego i chętnym do pomocy. – Dopiero przy tych słowach spojrzął w stronę Chaima i pozdrowił go nieznacznym ruchem głowy. – Jeżeli mogę to tak określić, to wydał mi się wzorowym aktywistą. Nie miałem jednak z nim bliższych kontaktów poza tymi, które dotyczyły spraw pedagogicznych.

– Czy był czymś szczególnie zainteresowany?

– Interesowało go wszystko. Szczególnie ciekawiła go idea samorządu dziecięcego i to, że dzieci większość prac wykonują same. Nie mieliśmy jak inne sierocińce płatnego personelu, a jednak czystość była wzorowa. Także wszelkie wykroczenia rozpatrywał sąd dziecięcy. Między wychowawcami a dziećmi panowały najlepsze stosunki, a zakład dbał o swoich wychowanków nawet po opuszczeniu przez nich sierocińca. Pan Rumkowski notował,

wypytywał, głównie moich współpracowników. Kiedy po latach dowiedziałem się, że jest dostojnikiem i przyjeżdża do Warszawy, aby radzić Adamowi Czerniakowowi, jak prowadzić getto, uznałem, że zaszedł dalej, niż mógłbym sądzić. To chyba wszystko, co mam do powiedzenia.

– Czy może ofiarował pan panu prezesowi jakąś pamiątkę?

Doktor sprawiał wrażenie zaskoczonego, jednak po chwili zrozumiał pytanie.

– Tak, przypominam sobie. Dałem mu swoją książkę.

– Pamięta pan może jej tytuł?

– To mógł być *Król Maciuś Pierwszy*.

Marek aż podskoczył z wrażenia, a potem odwrócił się w jej stronę i wskazał na książkę ukrytą na piersiach. Odkąd się poznali, nie widziała go tak przejętego i bardzo ją ucieszyło, że w tej trudnej sytuacji znalazł trochę radości.

– Czy był pan uprzejmy napisać dedykację?

– Oczywiście.

– Czy przypomina sobie pan jej treść?

– Bardzo przepraszam, ale napisałem ich tak wiele... – Kprczak był wyraźnie zakłopotany i dobrze go rozumiała, bo miał prawo nie pamiętać.

– Ale czy mogła to być dedykacja życzliwa?

– Oczywiście że tak. Już samo ofiarowanie komuś książki wynika z życzliwości.

– A więc czy możemy rozumieć, że w pańskich szczątkowych wspomnieniach Chaim Rumkowski jawi się jako postać pozytywna?

Korczak odpowiedział dopiero po chwili, jakby dobrze ważył słowa:

– Można to tak ująć.

Jak się spodziewała, Bornstein natychmiast uniósł obie ręce w górę i wykrzyknął:

– Bardzo dziękuję i nie mam więcej pytań.

Po ostatnich słowach doktora gotowa była uwierzyć, że teraz sędzia pozwoli im wrócić, skąd przyszedli. On jednak skinął na mężczyznę, którego przedtem nie dostrzegła, a który zerwał się jak ukłuty szpilką. Wysoki, wychudzony, ze śladową ilością włosów, miał twarz człowieka, który nie zaznał w życiu wiele miłości i gotów był za to odpłacać. Zadrzała na myśl, że akurat

on miałby oskarżać. Jakby się tego domyślił, bo spojrział w jej stronę, z nieukrywaną życzliwością jednak. Tak w każdym razie to odebrała.

– W getcie często powtarzano pański żart, doktorze...

Jego głos nie był nadmiernie piskliwy, jak to często bywa u podobnych typów, ani nie zgrzytał potępieńczo. Zwyczajny baryton, podobny do głosu Emila Janningsa w *Błękitnym aniele*.

– Żartobliwie nazywał pan siebie złodziejem, a kiedy pytano, dlaczego, padała odpowiedź, że może z taką opinią wejdzie pan do zarządu pewnego sierocińca. Czy tak właśnie było?

– Na pewno mieści się to w stylu, w jakim lubiłem nieraz wyrażać swoje opinie.

– Była to więc dowcipna sugestia, że często ludzie pełnią różne funkcje społeczne i polityczne dla korzyści osobistych?

– Zapewne dowcipna, ale jednak nie sugestia. Po prostu tak już jest.

– Czy nie odniósł pan wrażenia, że prezes Rurnkowski może być właśnie takim człowiekiem? Nieudacznikiem, który prowadząc sierocińce, szukał możliwości zarobku, a przede wszystkim poważania?

– W żadnym razie. Wydał mi się wtedy typem wzorowego społecznika. Może o nie najszerszych horyzontach umysłowych, lecz szczerego w intencjach. – Doktor, kładąc rękę na sercu, przeprosił Chaima za swoje słowa, lecz Regina dostrzegła, że dłoń męża tak mocno zaciska się na lasce, iż knykcie stają się białe.

– Nad grobem Adama Czerniakowa, po jego samobójstwie w Warszawie, powiedział pan: „Bóg ci powierzył godność twego narodu i Bogu godność tę przekazujesz”. Dwa miesiące potem nie pozostawił pan dzieci z sierocińca, lecz wsiadł z nimi do wagonu wiozącego was na śmierć. Czy myśli pan, że o prezesie Rurnkowskim ktoś mógłby powiedzieć w przyszłości dobre słowo?

– Na pewno nie mnie o tym sądzić. Prokurator skłonił się głęboko i powiedział:

– Dziękuję panu. Nie mam więcej pytań. Sędzia z trudem wstał zza swojego stolika.

Oskarżyciel i obrońca rzucili się do podnoszenia krzesła, które przy okazji przewrócił. Wygrał pierwszy ze względu na dłuższe nogi, ale też dlatego, że był bliżej. Patrzyła, jak potężny starzec z siwą brodą podchodzi do ledwie trzymającego się na nogach Korczaka i kładzie mu ręce na ramionach. Wyglądało, jakby chciał tchnąć w niego zdrowego ducha albo dać wyraz najwyższemu uznaniu. Stary doktor zaraz się wyprostował i wyglądał teraz



zupełnie jak oficer, którym, jak słyszała, był. Szedł do drzwi krokiem żwawym, a wszyscy podnieśli się z miejsc i wiwatowali; najbliżej stojący usiłowali dotknąć choćby rękawa jego płaszcza. Dała się ponieść powszechnemu entuzjazmowi i usiłowała się przepchać bliżej, jednak nie było to możliwe, bo ludzie jakby nie znali umiaru, o eleganckim zachowaniu nie wspominając. Kiedy wróciła na swoje miejsce, krzesło obok było puste, a Marek zniknął. Spojrzała na kark męża. Był nieruchomy i dumny, jeżeli tak można powiedzieć o karku.

Udało mu się w zamieszaniu wyjść z sali. Ludzie na korytarzu także chcieli się dopchać do doktora Korczaka i nikt nie zwracał na Marka uwagi. Mógł więc wyjąć książkę z za pazuchy i przygotować się do ataku niczym muszkieter przed spotkaniem z gwardzistami. Dwóch rosłych mężczyzn w uniformach straży pożarnej osłaniało doktora i powoli wyprowadzało go z tłumu. Wreszcie jeden zatrzymał się z szeroko rozpostartymi rękami, a drugi poszedł z nim dalej. Mundur budził respekt i chociaż korytarz był szeroki, nikt nie przekroczył linii wyznaczonej przez ramiona mężczyzny. Marek odczekał, aż doktor Korczak odejdzie wystarczająco daleko, a potem zanurkował pod ręką strażaka i puścił się biegiem. Wiedział, że nikt nie jest w stanie go zatrzymać, i pewnie dlatego po raz drugi w życiu poczuł się szczęśliwy. Minął dwie siedzące na ławce kobiety, z których młodsza miała piękne rude włosy, i omal nie wpadł na doktora, który przystanął, słysząc, że ktoś za nim biegnie. Uśmiechnął się nawet, co prawda samymi oczami, jednak na pewno był to uśmiech. Marek pięknie się skłonił i podał książkę. Strażak otworzył usta, ale nie ośmielił się wydobyć głosu.

– Jak masz na imię? – Doktor sięgnął do wewnętrznej kieszeni.

– Marek.

– A nazwisko?

Zawahał się, a Korczak nie znalazł pióra i spojrzał na strażaka zniecierpliwiony.

– Masz coś do pisania, kawalerze?

Mężczyzna z sumiastymi wąsami nazwany kawalerem wyraźnie się spieszył. Długo szukał po kieszeniach, lecz wyjął z nich tylko zapalki. Pozostała jedna szansa na autograf. Marek skłonił się i wskazał dwie kobiety siedzące na korytarzu, a doktor pokiwał głową ze zrozumieniem. Pani o rudych włosach była bardzo mądra: kiedy dobiegał, już z pudełeczka wyłożonego ciemnozielonym aksamitem wyciągała pióro. Podała mu je otwarte i gotowe do pisania.

– Kim jest ten pan? – spytała z uśmiechem jej mama, sądząc po wieku i podobieństwie.

– To przecież Korczak! – krzyknął i pobiegł z powrotem, lecz na korytarzu nie było już nikogo. Nie zatrzymał się, licząc, że dojrzy doktora za zakrętem, ale i tam było pusto. Na obudowie radiatora dającego ciepło leżała jego książka, zabrał ją i już bez pośpiechu poszedł przed siebie. Po drodze łapał za klamki mijanych drzwi, lecz wszystkie były zamknięte. Wytrwałość często zostaje nagrodzona, powtarzała w sierocińcu pani Albińska i, jak się okazało, miała rację, bo któreś się otworzyły. Nie zawahał się ani chwili i wszedł do środka. Drewniane kabiny i potłuczona umywalka, nad którą tylko ślad po lustrze. Najważniejsze było jednak umieszczone wysoko okno, przez które zobaczył koronę drzewa. Zaprzagnął wyjrzeć na zewnątrz. Bez zastanowienia postawił przy ścianie kosz na śmieci, jednak nawet z podwyższenia i to wspinając się na palce, nie mógł dużo zobaczyć. Po raz któryś w życiu pozazdrościł Marysiewi Jedwabiewi jego małpiej zdolności włożenia tam, gdzie inni wspiąć się nie umieli. Maryś niczym kot leżałby już sobie na wąskim parapecie i śmiał się ze wszystkich. Ale Marek i tak nie narzekał, widział przynajmniej fragment jezdni, kawałek muru i dwa drzewa. Po kolorze liści poznał, że od dawna nie padał deszcz, i zobaczył, jak kruszą się cegły. Może nie było w tym nic ciekawego, jednak samo patrzenie w otwartą przestrzeń sprawiało radość. Potem nagroda za ból w łydkach, gdy prawie bezgłośnie przejechała pod oknem ciężarówka o nieznanym mu kształcie, a do tego czerwona. Widział ją zaledwie kilka sekund, lecz był pewien, że to nie strażacy: wielkie białe litery na burcie wskazywały raczej na cyrk.

– Co robisz w ubikacji dla kobiet?

Obejrzał się i zobaczył jednego z dwóch mężczyzn, którzy powitali ich po przyjeździe. Nie tego jednak, który lubił śmieszne krawaty i który niósł go po schodach na barana. Nie wiadomo dlaczego, był przekonany, że nic mu nie grozi. Ośmielił się odpowiedzieć pytaniem:

– A pan?

– Ja tu pracuję.

Zszedł z kosza i rozejrzał się wkoło z udanym zdziwieniem. Zirykowało to mężczyznę, który złapał go za kark, nie za mocno jednak. Na korytarzu nie było już rudej pani ani jej matki, która nie potrafiła rozpoznać doktora Korczaka. Kiedy rozglądał się za nimi, zobaczył dwóch mężczyzn o mocno niewyraźnych minach, prowadzonych przez olbrzymią kobietę w fartuchu, wyższą od nich o głowę. Jednak nie tyle różnica wzrostu przykuła jego uwagę, ile strój grubszego z nich, który miał na sobie czerwony blezer z literami na piersiach, a do tego śmieszna czapkę z daszkiem, podobną do tych, w jakich jeżdżą dżokeje. Był więc już pewien, że czerwony samochód z napisem Cola-

Coala lub podobnym należał do cyrku i przywiózł wesołków mających rozbawiać ludzi, kiedy im smutno i źle. Nie zastanawiał się nad tym dłużej, bo weszli do sali i mężczyzna doprowadził go, już nie trzymając za kark, do krzesła. Nie chciał być złośliwy, ale nie odmówił sobie uśmiechu, dającego do zrozumienia, że widać każdy kogoś się boi. Mężczyzna przyjrzał mu się uważnie i dostrzegł, że w jego oczach nie tylko nie ma strachu, ale też żadnego innego uczucia.

Miała już tego wszystkiego dosyć. Rozprawa toczyła się tak, jakby słowa osoby tak ważnej jak Janusz Korczak nic nie znaczyły. Musiała przyznać rację zachowującemu się wyniośle Chaimowi, sposób, w jaki został potraktowany, nie był właściwy. Sędziemu także to nie przeszkadzało, bo kiedy adwokat zrelacjonował mu słowa swojego klienta, powiedział tylko:

– Oczywiście, pan Rumkowski może odmówić zeznań. Musi być jednak świadomy, że osłabia tym swoją możliwość obrony.

Tu jednak jej mąż popełnił błąd – odebrał grzeczność jako oznakę słabości i zirytował się tak bardzo, że nie racząc wstać, zaczął krzyknąć zmienionym głosem:

– Nic nie osłabiam, bo nie muszę się bronić! Nie wiem, kim jesteście i jakie macie prawo sądzić mnie lub choćby mówić o mnie. I nikt mnie nie zmusi do rozmowy z wami!

Jak zwykle, kiedy wpadał w falset, uderzał laską o podłogę. Tym razem jednak robił to tak mocno, że pod stopami poczuła drżenie. Pamiętała, że na dźwięk tego przeraźliwego głosu ludzie chętnie schowaliby się pod ziemię, ale teraz ku swojemu zdziwieniu usłyszała na sali śmiech, i to wcale nie tłumiony. Sędzia także to zauważył.

– Z tego, co wiem, jeszcze niedawno nikogo nie śmieszyło, że oskarżony popiskuje w zdenerwowaniu. Pamiętajcie jednak, że gdyby tak piękny mężczyzna nie miał skazy, nie byłoby sprawiedliwości...

– To niechby już urodził się garbaty! – krzyknął ktoś z sali.

– Panie Rothe, wiem, że jest tu ktoś z rodziny Zygmunta Freuda. Wiem też, że w Wiedniu często pan ich odwiedzał.

– Kompleks może uczynić wiele zła! – wykrzyknął Rothe wyraźnie zadowolony, że sędzia o nim słyszał. Regina odnalazła go wzrokiem i przypomniała sobie, że dwukrotnie spotkała w getcie tego niziutkiego mężczyznę. Przywiózł ze sobą tak piękną laskę, że Chaim z uśmiechem prosił go, aby się zamienili. Odmówił, i to na wieczornicy na cześć Chaima właśnie, a więc nie było to grzeczne.

– Ani słowa więcej, panie Rothe, bo przyjrzę się panu poza kolejnością. – Sędzia uśmiechnął się i przeniósł wzrok na Chaima. – A pana proszę o spokój. Nerwy w niczym tu nie pomogą. Co do prawa sądenia pana, to zaręczam, mam je i uważam, nie pochlebając sobie, że jest ono ważniejsze od wszystkich innych praw. Jeśli zaś chodzi o rozmowę, to owszem, nie możemy pana do niej zmusić. Chociaż... proszę tego nie odebrać jako groźby, rozważałem możliwość okazania panu swojej niechęci. Szczęśliwie dla pana zostałem przekonany przez pańskiego obrońcę. Dlatego teraz proszę pana tylko o decyzję odmowy zeznań. Bo nie może być tak, że pan sobie milczy, a od czasu do czasu zaczyna się tu nam głośno irytować...

– Sędzia z każdym słowem coraz bardziej purpurowiał. – I proszę nie pokrzykiwać, bo jak jeszcze raz się to powtórzy, to każę zrobić z panem porządek...

– Uderzył otwartą ręką w stół karciany tak mocno, że umocowane w nim mosiężne popielniczki podskoczyły na sporą wysokość. Wstał i zaczął spacerować, ciężko oddychając i próbując opanować atak furii. Cisza, która zapanowała, była tak wielka, że nie tylko muchę, ale każde stworzenie przyniesione na salę w czyimś odzieniu dałoby się słyszeć.

Na szczęście fruujące popielniczki, wpadające potem w te same otwory w narożnikach stołu, zrobiły odpowiednie wrażenie, bo Chaim spuścił z tonu, co poznała po nisko opuszczonej głowie. Poczula, że ktoś ją głaszcze po ręce, i zobaczyła Marka, który być może chciał w ten sposób dodać jej otuchy. Nie nakrzyczała więc na niego, że się oddalił bez pozwolenia.

– Mój klient potwierdza, że odmawia zeznań, i przeprasza za zakłócenie procedury. Tym samym zdaje się na bezstronność i sprawiedliwość wysokiego sądu. – Bornstein odetchnął z ulgą.

– Znajdzie je. – Sędzia był znowu pogodny. – Osobiście tego dopilnuję. Zwłaszcza jeżeli chodzi o sprawiedliwość, bo z bezstronnością bywa trudniej. A teraz proszę, aby pan oskarżyciel przypomniał, po co się tu wszyscy fatygowaliśmy, bo jak się zdaje, wielu z nas mogło już o tym zapomnieć.

Na sali odebrano to jako sygnał, że można oddychać, a nawet pozwolić sobie na dyskretny przejaw rozbawienia. Prokurator wstał i rozejrzał się, a Regina odniosła wrażenie, że znowu szukał jej wzrokiem.

– Dzięki obrońcy stary doktor przypomniał nam o podarunku, jaki zrobił Rumkowskiemu. *Król Maciuś Pierwszy*, piękna książka. Sam ją czytałem...

– Zaiste, imponujący wyczyn... – Bornstein szepnął niby do siebie, jednak kilka osób mogło to słyszeć, a jedna z pań nawet się uśmiechnęła.

– Poczucie humoru nigdy nie opuszcza narodu żydowskiego. – Prokurator wydawał się zdziwiony ripostą na tak marnym poziomie.– Ale do rzeczy. Człowieka, dla którego zebraliśmy się tutaj, nazywano Królem Chaimem Pierwszym. Ten oto siwy starzec mógł być bohaterem sławionym przez pokolenia, a stał się najbardziej kontrowersyjną postacią wszechczasów, przy której inny król, Herod, to figurant za ledwie. – Zrobił długą pauzę, patrząc na ławę przysięgłych. – Mordechaj Chaim Rumkowski stworzył w getcie łódzkim państwo niewolnicze, dostarczające Niemcom wszelkich dóbr, także tych potrzebnych do prowadzenia wojny. Władał nim absolutnie, a sprawiedliwością nazywał to, co sam uważał za sprawiedliwe. Wywyższał jednych kosztem drugich. Osobiście podpisywał wyroki na tych, którzy w jakikolwiek sposób sprzeciwili się Niemcom i wymyślonej przez niego strukturze. Nie poprzestał na tym. Kiedy hitlerowcy zdecydowali o ostatecznym rozwiązaniu kwestii żydowskiej, czyli o wymordowaniu wszystkich Żydów w krajach podbitych, pozwolił wysłać na śmierć swoich poddanych. Nie tylko pozwolił, ale jeszcze swoim autorytetem i patetycznymi przemówieniami uśmierzał ich czujność. Już czas, aby król Maciuś... przepraszam, król Chaim... a właściwie Chaim Groźny, bo tak nazywano go częściej, zdał przed nami rachunek.

Prokurator był tak pewny swego, że kiedy usiadł, wyciągnął z kieszeni pilnik do paznokci i zaczął się nim bawić. Uznała to za niedopuszczalne i była ciekawa, czy sędzia to widzi. Jeśli nawet widział, to nie zwrócił prokuratorowi uwagi. Bornstein trzymał się za głowę, lecz zanim otworzył usta, przechadzał się chwilę między ludźmi, starając się zajrzeć w oczy najbliższym.

– To niewiarygodne – powiedział wreszcie – że wobec tak szanownego, dobrze znającego zagadnienie gremium padły słowa nie tylko nieprawdziwe, ale przede wszystkim obrażające dobre imię człowieka, któremu my, Żydzi, nigdy się nie wypłacimy. Pozwoli pan – skłonił głowę przed Rumkowskim – że mówiąc o nim, będę go tytułował prezesem. Nie przesadzę, jeżeli powiem, że zwrot „pan prezes” wypowiediany był w getcie z ufnością podobną do tej, z jaką chrześcijanie w grudniu mówią o świętym Mikołaju. Złośliwcy utrzymują, że pan prezes został wybrany przez Niemców na najważniejszego z łódzkich Żydów tylko ze względu na jego piękny i godny wygląd. Robią z tego zarzut, jakby uroda i szlachetność gestu wykluczały geniusz...

Zauważyła, że koniec laski Chaima uderzający o podłogę trochę się uspokaja.

– Bo przecież trzeba geniuszu, aby zrozumieć, że szansę na przeżycie w niewoli będzie miał tylko niewolnik użyteczny. Pan prezes w doskonale przemyślanym memoriale proponuje więc hitlerii stworzenie w getcie warsztatów, dzięki którym stanie się ono samowystarczalne. Otrzymuje zgodę i tworzy wzorowo funkcjonującą strukturę społeczną. Powie ktoś może:

niesprawiedliwie rządzoną. W całej historii nie słyszałem o sprawiedliwszej. Kapitalizm państwowy, w którym zyski idą na utrzymanie wszystkich. Bogacz i biedak pracują pospołu. To w łódzkim getcie powstały szpitale i sierocińce, to w nim był porządek i jedzenie, kiedy w Warszawie już umierano na ulicach. Mamy na to dość dowodów. Bez trudu wykażemy też, że to dzięki genialnej głowie pana prezesa getto w Łodzi istniało jeszcze, kiedy wszystkie inne zostały już spopielone. Jeżeli każda wojna jest śmiertelną tonią, to jednak ośmielę się ponownie porównać pana prezesa do Mojżesza przeprowadzającego Żydów przez Morze Czerwone...

Wśród widzów rozległo się buczenie, a sędzia pogroził obrońcy palcem.

– Wiem, nie miał tego sukcesu – usprawiedliwił się szybko Bornstein. – Pamiętajmy jednak, że gdyby nie kilka złych okoliczności, jak chociażby zatrzymanie się Rosjan na Wiśle czy nieudany zamach na Hitlera, wojna skończyłaby się szybciej i wtedy dzięki panu prezesowi zdążyłoby się jeszcze uratować co najmniej siedemdziesiąt tysięcy ludzi. Te siedemdziesiąt tysięcy byłoby teraz jego dłużnikami. Mimo że los zrzucił inaczej, jego dłużnikami pozostaniemy wszyscy...

Koniec laski niewątpliwie taktował na trzy czwarte. Wskazywało to na zadowolenie. Upewniła się, czy Marek uważnie słucha tego, co się teraz mówi, i dopiero wtedy zauważyła rysownika, który prawdopodobnie rysował jej męża. Pomyślała, że Chaim powinien być z tego zadowolony. Nie był to nikt ze znanych w getcie artystów, lecz posługiwał się ołówkiem z dużą zręcznością.

– Z tego, co pan powiedział, zrozumiałem tylko, że gdyby Hitler nie doszedł do władzy, pański prezes uratowałby wszystkich Żydów w Europie. Czy taka właśnie będzie linia obrony?

Prokurator wszystko popsuł swoim odezwaniem i wywołał wesołe poruszenie na sali. Jeżeli kogoś na świecie nienawidziła, to Hitlera i właśnie tego człowieka.

Po przeczytaniu horoskopu z tygodnika „La Bataille”, który ukazał się 3 września prawie sto lat temu, nazwałem się w dzienniku miernotą, a na dole strony jeszcze gorzej. A przecież przysyłając pożółkły wycinek, córka chciała mi zrobić przyjemność. Zresztą zapowiadało się na to. Horoskop, choć zawily, wydawał się rozsądny: *...w Kabale literą „koph” wyobrażony jest duch Jowisza. Litera ta koresponduje z arkanem XIX, arkanem Inteligencji planetarnej, Prawdy i Światła promiennego. Walorem numerycznym tej litery jest 100, liczba słońca, symbol indywidualności, siły pozytywnej jedności. Odpowiadają mu radość życia, ekstaza, początek wielkiego Dzieła, Światło i Prawda. Litera „tau”, czyli duch planetarny słońca, koresponduje z arkanem XXII, arkanem*

*skutecznego działania i powodzenia. Odpowiadają mu powszechne odrodzenie, Królestwo Boże na ziemi, wielkie wtajemniczenie, realizacja Wielkiego Dzieła. Łatwo pojąć, że ludzie tak dobrej ekstrakcji nienawidzą pospolitości, nie ustępują z zajętych pozycji, a ich rzemiosło będące pod znakiem „transformacji” odnawia się stale. Osiągają wspaniałe sukcesy jako reformatorzy. Fundamentem ich życia są cztery słowa: Wiedza, Wola, Odwaga i Milczenie.*

Bzdury, bo bzdury, lecz budujące, zwłaszcza, że już dwukrotnie widziałem się we Wrocławiu z komornikiem. Za trzecim razem mógłbym mu wspomnieć o początku Wielkiego Dzieła, Świetle, Prawdzie i literze „tau”, z którymi ma do czynienia w osobie dłużnika. Ale czytam dalej: *urodzeni pod znakiem Panny nie są jednak wyposażeni w dziedzictwo natury finansowej, nie mają dostępu do złota, a gra, spekulacje giełdowe, uczestnictwo w gremiach nadzorczych, operacje finansowe nie są ich żywiołem. Jeśli to zlekceważą, czeka ich ruina nieuchronna i kompletna.* Przeczytać coś takiego o sobie, i to w prezencie urodzinowym? Dowiedzieć się o braku perspektyw w świecie, który jak nigdy przedtem na pieniądzu stoi? Jeśli, podsuwając horoskop, Magda chciała dodać mi w biedzie otuchy, to za taką delikatność, nie po mnie odziedziczoną, powinienem ją do pałdziernika wydziedziczyć z ojcostwa. Wspominając o tym, udowadniam przede wszystkim sobie, że to, co wypisuję w dzienniku, ma małą wartość, jeśli chodzi o prawdę. W podskórnym, może bardziej realnym życiu potrafię być dzielny, zaradny i, jak inni, gotów dla grosza spełniać czyjeś fanaberie.

Olbrzymka z gracją brała zakręty, drobiła na prostej, żeby przypodobać się Jurkowi, którego upatrzyła sobie od pierwszej chwili, jakby wyczuwając, że ten wielki facet nie gustuje, jak u takich bywa, w kobietach drobnych, lecz ekscytuje go ogrom i godzinami potrafi rozprawiać o walorach metrowej kibici. Szliśmy raz w lewo, raz w prawo, to znów schodami wiodącymi w górę lub w dół, często o pół kondygnacji tylko. Minęliśmy pokój przechodni, wypełniony szafami i biurkami ustawionymi jedne na drugich, a także pomieszczenie, które za czasów świetności tego domu musiało być kuchnią, o czym świadczyła kamienna posadzka. Starłem się nie myśleć o tym, co może mnie spotkać w tej scenerii, i powtarzałem jak mantrę, że brudny pociąg, stracony czas i spacer po zdewastowanym budynku to tylko sposób zarabiania na życie. Duża pani niczym stado delfinów wzięła kolejny zakręt i wyszliśmy na szeroki korytarz, na którym kłębił się tłum ludzi. Podprowadziła nas blisko i gestem dała do zrozumienia, że musi wracać. Na pożegnanie kolnęła Jurka wskazującym palcem w okolice serca i uśmiechnęła się. Wytrzymał kuksaniec, nawet się nie zachwiał, ale uśmiechu jakby się przestraszył.

Zostaliśmy na korytarzu sami, jeśli nie liczyć ze dwustu osób ubranych przeważnie na ciemno i przypatrujących się nam, jakbyśmy byli zbliżającym się szaleństwem. Skłonność Jurka do czerwieni w ubiorze była mi dobrze

znana, ale nigdy nie sądziłem, że może jeszcze robić takie wrażenie. Na szczęście szybko o nas zapomniano, może nawet za szybko jak na ambicję mojego kolegi, który po retorycznym pytaniu: „Ciekawe, gdzie zaparkowali?”, wbił się od razu w najgęstszy tłum. Większość obecnych mówiła po polsku i w jidysz, ale dało się słyszeć także niemiecki i czeski. Nie trzeba było wielkiej przenikliwości, aby się zorientować, że to międzynarodowa konferencja, zorganizowana zgodnie z regułami tak popularnego ostatnio uczestnictwa totalnego. Interaktywność, wzbogacanie tożsamości, kobiety odgrywające role mężczyzn, a ofiara za chwilę katem. Brałem już udział w czymś takim. Profesor z katolickiego uniwersytetu w Seattle, wielki admirator Pinocheta, czytał napisany przez siebie testament Salvadora Allende, roniąc autentycznie mokrą łzę, a jego żona w innej sali przeobrażała się w rozgniewanego psa policyjnego i próbowała kąsać łydki. Jeśli tego rodzaju spektakl odgrywano i tutaj, a wszystko na to wskazywało, to słynna dbałość Romana Polańskiego o realia przy kręceniu *Pianisty* była dbałością połowiczną. Zatrószono się tu nawet o kwaśny zapach biedy, wniesiony w ubraniach z nieskanalizowanej ulicy i zatłoczonych pokoi bez toalet. Choć trzeba przyznać, z kroplą Chanel, dodaną w tle, jak gdyby przez grzeczność. Oszołomiony tą perfekcją, próbowałem doszukać się jakichś błędów, lecz znalazłem tylko niedopatrzenie w stroju starszego, trzymającego się z boku pana. Wszystko, co miał na sobie, niby poprawnie staroświeckie, lecz przesunięte o dobre dwadzieścia lat, a do tego torba na ramię z napisem Lufthansa. Nie przeszkadzało to widać przyjętej konwencji, gdyż młoda dziewczyna w berecie, odgrywająca dziennikarkę, spytała go słodkim głosem, czy znał osobiście pana prezesa. Kiedy odpowiedział, że nie wie, o kogo chodzi, nie bardzo chciała wierzyć.

– Ale w getcie pan był?

Dopiero wtedy się zdziwił:

– Jako Niemiec nie bardzo wiem, jak mógłbym się tam znaleźć.

– Może pan kogoś zastrzelił? Przypadkowo... – dociekała.

– Jestem notariuszem i brzydzę się wszelką bronią! Przepraszam, ale nie mam czasu. – Skłonił się i odszedł szybko.

Niezrażona dziennikarka patrzy teraz na mnie. Jednak, co ładne, wygrywa w niej inteligencja, bo ucieka wzrokiem i szybko miesza się z tłumem.

Z daleka widzę młodą dziewczynę, bardzo podobną do wybitnej pianistki Stelli Czajkowskiej. To Stella opowiadała mi, że Rumkowski, aby dać pracę świeżo upieczonym maturzystkom, nakazał im wstąpić do policji i ganiać za dziećmi handlującymi imitacjami cukierków. O tym, czym groził sprzeciw, świadczył los sędziów, którzy, aby nie wydać wyroku śmierci za handel w getcie, czego żądały władze niemieckie, podali się do dymisji. Sędzia Weiskopf



wylądował natychmiast przy rozwożeniu fekaliów, a znajomy jej ojca, mecenas Wilhelm Mrówka z ulicy Andrzeja, pojechał w nieznane pierwszym transportem. Podobieństwo pięknej dziewczyny do Stelli musiało być przypadkowe, bo gdyby Stella wiedziała, że któraś wnuczka bierze udział w podobnej konferencji, na pewno zadzwoniłaby do mnie ze Sztokholmu.

Szczerliwie zwolniło się miejsce na jednej z ław stojących wzdłuż korytarza. Trochę się na niej rozparłem, daleko przed siebie wyciągając nogi, ze względu na obolały kręgosłup. Wtedy też dostrzegłem siedzącą niedaleko panią w gabardynowym płaszczu i aksamitnym toczku, która przypatrywała mi się ze zgorzeniem. Było pewne, że zjechała na konferencję z zagranicznego uniwersytetu, może nawet tysiące kilometrów przefrunęła, nie zważając na zmęczenie, a teraz odgrywa rolę osoby nieznaną się na politycznej poprawności. Na chwilę znowu poczułem się łodzianinem i aby usunąć kobiecisku zęby jadowe i aby wywiozła dobre wspomnienia z miasta, wyprostowałem się i podciągnąłem nogi. W nagrodę wychyliła się zza starszej pani jej przepysznie ruda córka, bo przy tak dużym podobieństwie nie mogło być inaczej, i uśmiechnęła się do mnie samymi oczyma. Odwzajemniłem uśmiech połową ust, lecz spłoszona szybko odwróciła głowę.

Na sali zrobiło się duszno. Wyjęła z torebki program teatralny, jeszcze sprzed wojny, i zaczęła się nim wachlować. Co jakiś czas, aby nie patrzeć na człowieka stojącego przed pulpitem dla świadków, zerknęła na program i próbowała wzruszyć się wspomnieniem stycznia, kiedy przyjechała odwiedzić rodziców. Teatr Miejski w Łodzi, rok 1939. Juliusz Słowacki, *Kordian*. Mimo że reżyserował Schiller, program teatralny ze swoim dobrze zaprojektowanym liternictwem wydał jej się wtedy lepiej skrojony od przedstawienia. Teraz już nie miała co do tego pewności.

– Nie ukrywam, że bardzo na pana liczymy, panie Kronsztad. Był pan kierownikiem w wytwórni powideł, a potem w wydziale węglowym. Na koniec także zwykłym robotnikiem. Musi pan dobrze znać wszystkie sprawy getta. – Głos sędziego wydał jej się przesadnie dobrotliwy.

– Może nie wszystkie, ale swoje wiem. I od razu chcę powiedzieć, że cierpiałem, patrząc, jak rządzi nami ten tyran.

Mały łysoń przytył od czasu, kiedy widziała go pierwszy i ostatni raz. Nie chciała nawet myśleć, co teraz czuł Chaim, słysząc podobne słowa.

– Prosimy o szczegóły.

– Moich cierpień? – Kronsztad zrobił zbolalą minę i poprawił włosy. Ostatnie sto dwadzieścia trzy włosy, jeśli chodzi o ścisłość– omal się nie roześmiała do swojej myśli.

– O nich później. Zaczniemy od złych rządów.

– To przede wszystkim podział żywności, a tym samym faworyzowanie wąskiej grupy ludzi. Kierownicy wydziałów, farmaceuci, lekarze, instruktorzy, referenci, oficerowie policji i wszyscy, na których spłynęła łaska prezesa, dostawali dodatkowe przydziały nie tylko dla siebie, ale dla całej swej rodziny. Za co im się to należało? Niektórzy, przyznaję, mieli jakieś zasługi dla naszej społeczności, ale większość to karierowicze. Krzyżująca niesprawiedliwość. Dlaczego nawet ich rodzinom przysługiwało lepsze wyżywienie? Dlaczego dawano im większą szansę przetrzymania wojny niż innym mieszkańcom getta? Za co, za jakie zasługi? Pytam się tu pana, panie prezesie...

Kronsztad ostatnie pytanie skierował bezpośrednio do Chaima, a pamiętała, jak jeszcze niedawno klęczał przed nim i błagał o coś. Nie znała szczegółów sprawy, bo zaraz wyszła z pokoju, aby nie zawstydząć tego ludzkiego robaka.

– Proszę zwracać się tylko do mnie. To piękne, że pan, który także należał do wyróżnionych przywilejami, tak sprawiedliwie ocenia tę sytuację.

– Zaręczam, że nie było mi łatwo jeść więcej od innych. Jednak mój wstyd zagłuszała duma z ogromu pracy, jaką wkładałem w każdą z obejmowanych placówek. Często było tak, że musiałem nocować w biurze, zwłaszcza kiedy wydawaliśmy węgiel...

– Pańskie racje żywnościowe są poza wszelkim podejrzeniem. Proszę więc opowiadać dalej.

– Drażniły mnie wszelkie akademie, jubileusze i wystawy wyrobów resortowych. Te ostatnie jeszcze rozumiem, bo trzeba było stale reklamować nasz Żydowski Okręg Przemysłowy, jak żartobliwie nazywaliśmy getto. Ale cała reszta była jednym wielkim hołdem dla pana prezesa. Przychodził, chwalił lub ganił wykonawców, odbierał upominek i rewanżował się talonami dla wybranych. Obrzydliwe... – Jeszcze raz spróbował przeżyć tę obrzydliwość i aż się zatoczył, bo zrobiło mu się słabo. Pomyślała, że w *emploi* szubrawca na prowincjonalnej scenie mógłby się nawet podobać.

– Proszę opowiedzieć o rewii, którą zmuszony był zorganizować pański resort.

Kronsztad aż złapał się za głowę. – Miesiąc przygotowań, próby do późnej nocy. Zarządziłem nawet tajny skup wina, aby podwieczorek wypadł okazale. I co za to dostałem? Ustną pochwałę...

– Panowie, bardzo proszę, pytajcie pana Kronsztada. Miejcie i wy trochę przyjemności z obcowania z tak pięknym człowiekiem... – powiedział sędzia, a Kronsztad tylko skromnie się uśmiechnął.

Bornstein wstał, jednak na jego twarzy nie widać było zadowolenia.

– Oczywiście to prezes wydał polecenie, aby go tak hucznie podjąć?

Kronsztad spieszył się tylko trochę. – Nie bezpośrednio. Wszystkie resorty organizowały coś takiego, więc nie mogliśmy być gorsi. A także, nie ma co ukrywać, chcieliśmy mu się przypodobać.

– W jakim celu?

– No, był przywódca, od którego wszystko zależało.

Niespodziewanie ze swojego miejsca wtrącił się oskarżyciel:

– Nie podobał się panu sposób, w jaki rządził Rumkowski, a więc, jeżeli dobrze rozumiem, było to lizusostwo w pewnym sensie wymuszone.

Tego już wytrzymać nie mogła, wstała i podeszła do Bornsteina. Już otwierała usta, kiedy obrońca odwrócił się i szepnął:

– Wiem, że jest pani znakomitym prawnikiem i pani pomoc pewnie byłaby dla mnie zaszczytem. Jednak muszę sobie sam poradzić. Tak się umówiłem z panem sędzią. To dla mnie duża szansa...

Zanim wróciła na swoje miejsce, zdążyła jeszcze dotknąć ramienia Chaima. Ten poklepał ją po dłoni, ale jego oczy wpatrzone były w Kronsztada.

– Wymuszone, to najlepsze słowo. Choć nie kijem zmuszał nas do umizgów, to przecież sytuacja nas zmuszała! – Kronsztad wyraźnie ucieszył się z podpowiedzi. – Zresztą bałem się go także...

– Starca? – zapytał obrońca.

– To nie jest zwyczajny człowiek. Kiedy wpadał we wściekłość, trzeba było bardzo uważać. Zresztą ci, co go dłużej znali, mówili, że władza podzialała na niego jak hiszpańska mucha. Odmłodniał i nabrał wigoru. Weźmy choćby ten ślub w getcie. Jestem od niego dwadzieścia lat młodszy, ale nigdy bym się nie poważył poślubić tak młodej i pięknej kobiety...

Mało ją obchodziło, że wszyscy na nią patrzyli, i tylko dla dobra sprawy powstrzymała się, aby głośno go nie obrazić.

– Na pewno musiałby pan znosić udręki, gdyby przeciwstawił się jakiemuś pomysłowi pana prezesa. Proszę nam o tym opowiedzieć. – Prokurator spodziewał się czegoś efektownego.

– Z pewnością straciłbym stanowisko.

– I tylko tyle? – wykrzyknął sędzia. – Panie Kronsztad, proszę nie rozczarowywać sądu i wszystkich tu obecnych. Chcemy usłyszeć coś o torturach. Pan obrońca ma jeszcze pytanie?

– Panie sędzio, wiem, że jest pan ponad wszystkim, ale czy to musi być tak bardzo ponad? Tak, mam ostatnie pytanie. Panie Kronsztad, przestał pan w końcu pracować w wydziale węglowym i za karę został zesłany do fabryki muchołapek...

– I bardzo mnie to uradowało. Chociaż odpowiedzialność miałem większą, bo Niemcy bardzo przestrzegali jakości. Doktor Schnittke, który zaopatrywał w muchołapki front wschodni, uważał, że żadna mucha nie ma prawa męczyć się dłużej niż czterdzieści trzy minuty. Inaczej byłoby to niehumanitarne...

– Nie wysłuchał pan jeszcze mojego pytania.

– Przepraszam, ale padły słowa, że zostałem zesłany. Wyjaśniam więc tylko, że to, co się mogło wydawać degradacją, było oddelegowaniem na ważny odcinek. Nie mieliśmy kazeiny i nasi chemicy musieli stworzyć klej z odpadków kauczuku używanego w branży gumowej. Aby muchy zdychały w oznaczonym czasie, potrzebny był dodatek trucizny. Niemcy wydelegowali specjalnego urzędnika, który ją codziennie wydawał. Chodziło o to, aby nikt poza muchami nie mógł z niej skorzystać. Ale już największy kłopot był z dobraniem odpowiednich proporcji kleju i trucizny, bo przecież duże muchy...

– Panie Kronsztad...

– A jak miałem pożar na oddziale, bo zagotowana masa klejowa przelała się i zapaliła od maszynki gazowej, to prezes potrafił powiedzieć tylko, że to przez naszą niedbałość.

– Panie Kronsztad! – Obrońca podniósł głos bardziej, niżby wypadało. – Z pańskich akt personalnych wynika, że przyłapano pana na pobieraniu dodatkowych przydziałów żywnościowych. Pańska żona, która nie wiem, czy młoda i ładna, ale zawsze żona, pobierała więcej kartek niż dziesięciu pańskich robotników. A pytanie jest proste i brzmi: czy to prawda?

– Przyznaję, zbłądziłem... – Kronsztad nie bardzo się spieszył. – Ciągłe była głodna i mówiła: przynieś coś do jedzenia, musisz mi coś przynieść... Wiem, że to głupio brzmi wobec tego, co mówiłem wcześniej. Ale moja słabość to słabość pojedynczego człowieka, a w swoim zeznaniu piętnowałem system, który przyczynił się do tego, że musiałem kraść. Jednak muszę zaznaczyć, że to nie pan prezes wykrył nadużycie, ale Nowczyk z wydziału podległego Jakubowiczowi.

– Zmusza mnie pan do dodatkowego pytania. Kto mianował Jakubowicza?

– Oczywiście, pan prezes.

– Niech pan już idzie, panie Kronsztad – powiedział sędzia, a obrońca rozłożył ręce z miną, która mogła znaczyć tylko jedno: oto jacy ludzie narzekają na mojego klienta.

Z satysfakcją patrzyła, jak Kronsztad idzie do drzwi, a młody krawiec, który jej zwięzał garsonkę, ciska w niego kulą papieru.

– Przepraszam, panie sędzio, że przypominam, ale czy już nie czas, abyśmy zajęli się stosunkiem pana prezesa do ludzi świątłych? – Prokurator chciał szybko zatrzeć wrażenie, jakie pozostawił po sobie Kronsztad.

– Protestuję przeciw tej kwalifikacji! Świątli, nieświątli... To jakiś rasizm – odkrzyknął ze swojego miejsca Bornstein.

– Panie sędzio, obrona zaprzecza, że ludzie różnią się od siebie nie tylko wyglądem. Miałyby rację?

– Dostyc tych przekomarzanek, moi panowie – powiedział sędzia. – Dostałem właśnie wiadomość, że kuchnia gotowa z obiadem. Spotkamy się za godzinę...

Nie zdążył dokończyć zdania, kiedy połowa publiczności była już przy drzwiach. Ci, których uczyniono sędziami przysięgłymi, nie chcieli być gorsi.

Jak się okazało, jadalnia, w której podano im śniadanie, przeznaczona była tylko dla niektórych gości. Jakim kluczem kierowano się przy wyborze i gdzie pożywiali się inni, nie miała pojęcia. Muzyków, którzy grali na tarasie, teraz umieszczono na podwyższeniu. Oceniała, że źle dobrali repertuar, bo kwartet Brucknera za ciężki i na porę dnia, i na okoliczność. Nie chcąc wchodzić z nikim w komitywę, nie rozglądała się na boki, ale i tak nie obyło się bez natręctwa.

– Pani prezesowo kochana, dostaliśmy stolik przy drzwiach do kuchni. Czy mogłaby pani poświadczyć, że mój mąż był kierownikiem resortu?

Znała z widzenia kobietę w sukni z grubej żorżety, ale nigdy nie miała okazji zamienić z nią słowa.

– Obawiam się, że jeżeli ja wstawię się za panią, dostaną państwo stolik na korytarzu – odpowiedziała zgodnie z tym, jak oceniała sytuację.

– Tak pani prezesowa uważa? W takim razie życzę zdrowia i nie przeszkadzam. Ładnego ma pani synka... – Zniknęła jeszcze szybciej, niż się pojawiła.

Marek wrócił właśnie do stolika, bo oddawał komuś pióro, którego podobno potrzebował Janusz Korczak. Nic z tego nie rozumiała.

– Przepraszam, czy mogę się przysiąść? Na małą chwilkę.

Tego już było za wiele. Zirytowana podniosła głowę, i serce podeszło jej do gardła. Przy stoliku stał prokurator: gdyby miała broń, postrzeliłaby go w gołęń przynajmniej. Jej ojciec posiadał mały, inkrustowany browning, lecz bał się go wziąć ze sobą do getta i zostawił na przechowanie dozorczy, panu Stasiakowi. Przez głowę przeleciały jej setki zachowań, którymi mogłaby zastąpić strzał, jednak wygrał rozsądek i chęć dowiedzenia się czegoś, choćby od wroga. Bez słowa wskazała mu krzesło.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. Wilski jestem, Jan Wilski. Jako że w Łodzi nie mamy wyższej uczelni, poza oczywiście naszą Wszechnicą, w której nawet nie trzeba matury, rodzice wysłali mnie do Warszawy. Jak i pani studiowałem na wydziale prawa, ale nie miałem zaszczytu być przez szanowną panią zauważony. Nie, nie mam o to pretensji, zresztą byłem o rok wyżej...

Bez skrępowania spojrzała mu prosto w twarz, chcąc odgadnąć powód, dla którego się przysiadł, ale przede wszystkim zrozumieć, czym się kierowano, wybierając go na oskarżyciela.

– Zastanawia się pani, co sprawiło, że zgłosiłem swoją kandydaturę do tej sprawy?

Nie odpowiedziała, aby nie cieszył się swoją przenikliwością.

– Na pierwszy ogień niechże idzie chęć wydobycia się z nicości przy tak słynnym człowieku. Można też pomyśleć o obowiązku, bo przecież widziała pani sędziego. Nie należy też wykluczyć paskudnego charakteru. Może po prostu lubię wskazywać gorszych od siebie? Został jeszcze przypadek, jaki rządzi często naszymi poczynaniami, ale proszę też nie lekceważyć ewentualnej chęci zemsty. Kto wie, czy na przykład podpis pani małżonka nie widniał na dekrete, po którym straciłem kogoś bliskiego.

Mocno ścisnęła widelec, aby nie okazać słabości i nie powiedzieć czegoś, co natychmiast zakończyłoby rozmowę. Musiała jednak przyznać, że precyzyjnie nazwał wszystko, co było do nazwania.

– Proszę mi wierzyć, nie ma w tym nic osobistego, a jeśli nawet... – zawiesił głos niczym amant z teatru bulwarowego – ...to przede wszystkim życzliwość dla koleżanki ze studiów... Czy widzę nieufność w pani oczach? A gdybym dał dowód, że mogę się na coś przydać?...

Nie wiadomo czemu, ale spodziewała się tych słów. Podniosła głowę i jeszcze raz przyjrzała mu się uważnie. Miał teraz oczy proszące. Była prawie pewna, że jego narzucanie się nie jest tym samym, co namolność Gertlera. Ten łajdak rządzący gettem z za węgła, a potem zupełnie jawnie, naprzykrzał się jej fałszywą uprzejmością, aby tylko dowiedzieć się czegoś o słabościach prezesa.

Chciał zająć jego miejsce i bardzo dobrze, że został w końcu aresztowany przez tych samych Niemców, którym o wszystkim donosił.

– Niech pan mnie spróbuje przekonać do siebie.

– To nie będzie trudne. Widzi pani te schody? Prowadzą na galerię, są na niej okna. Kto wie, może przez okno przy ostatnim filarze zobaczy pani męża. – W jego uśmiechu nie było już nic proszącego. – Chłopiec niech tu zostanie... – Skłonił się i bez pośpiechu wyszedł z jadalni. Widziała, że kilka osób obejrzało się za nim i zaczęło szeptać między sobą.

Schody prowadzące na galerię zaczynały się blisko drzwi, przez które wnoszono potrawy, i mogła tam wejść niewidziana od strony stolików. Okrągłe okna ciągnęły się na całej długości balkonu przyklepionego do jednej ze ścian jadalni. Wyjrzała przez jedno z nich i rozpoznała w dole salę, w której toczyła się nędzna imitacja rozprawy sądowej. Były więc zaprojektowane po to, aby do pomieszczenia wpadło trochę światła z przeszklonej jadalni. Okno przy ostatnim filarze wychodziło na graciarnię pełną zdezelowanych krzesel, tablic i przedmiotów o nieznanym przeznaczeniu. Widziana z góry siwa głowa sędziego świeciła niczym latarnia, a on sam, ze śnieżnobiałą serwetą pod szyją, wyglądał jak król smakoszy. Nie jadł jednak, tylko patrzył na siedzącego przy szkolnym stoliku Chaima. Dopiero teraz zobaczyła, jak matowa i przerzedzona była siwizna, przed którą jeszcze niedawno wszyscy drżeli. Prezes skończył właśnie wylizywać buraczki, a wtedy sędzia z pewnym upodobaniem wypuścił z cygara tak obfitą chmurę dymu, że mogłaby zwiastować deszcz. Nozdrza Chaima zaczęły drgać, a on sam pochylił się w ławce, jakby chcąc, aby dym szybciej do nich dotarł. Sędzia to dostrzegł, położył na brzegu stołu paczkę z wystającym papierosem i wskazał ją palcem. Teraz nastąpiło coś, czego wolałaby nie widzieć: Chaim zerwał się ze swojej ławki i pobiegł po papierosa. Zrzucił przy tym na podłogę talerz, który na szczęście się nie potłukł. Dopiero kiedy wrócił na miejsce, przypomniał sobie, że należałoby podziękować. Nigdy nie przypuszczała, że umie się tak uklonić. Wtedy też otworzyły się drzwi i wszedł woźny, który mógł zobaczyć ją w oknie. Wycofała się więc na wszelki wypadek.

Jadalnia była już prawie pusta, a muzycy z kwartetu pożywiali się przy bocznym stoliku.

– Dobrze, że nie poszedłeś. Ten człowiek zażartował sobie ze mnie – powiedziała do Marka i kolejny raz pogłaskała go po głowie. Nie dał po sobie poznać, czy się ucieszył.

Do stojącego na podwyższeniu fortepianu podszedł chłopak z dziewczyną. Dałaby głowę, że to Julek Sztatler z Piramowicza. Znała go, bo pod piątym, na ostatnim piętrze od frontu, miała ukochaną ciotkę Aleksandrę. Przed samą wojną mówiono o nim, że ma zadatki na Rubinsteina. Teraz Julek, albo ktoś

podobny do niego, palcami jednej ręki przebiegł po klawiaturze i usiadł na taborecie. Nie wiadomo czemu spodziewała się nokturnu c-moll Chopina, który jej i Chaimowi zagrała niedawno Stella, cudowne dziecko getta, Julek wybrał jednak coś jazzowego, co także знаła, lecz nie mogła sobie przypomnieć tytułu. Kilka młodych osób, które pozostały w jadalni, zaczęło się rytmicznie poruszać, a dwie pary nawet zatańczyły. Potem dwóch chłopaków wciągnęło na podwyższenie niewysoką dziewczynę o błękitnych oczach. *Bei mir bist du schön* w jej wykonaniu zabrzmiało tak pięknie, że Marek otworzył usta z podziwu, a Regina przyłapała się na tym, że porusza rytmicznie stopą i próbuje sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz tańczyła. Pewnie w Warszawie na przyjęciu po wystawie formistów. Przebrała się wtedy za pierrota, a Maurycy Katz był kolombiną, co wzbudziło dużo śmiechu. Ledwie zaczęła o tym myśleć, drzwi jadalni otworzyły się gwałtownie i stanęła w nich kobieta energicznie wymachująca dzwonkiem. Natychmiast zapadła cisza, a Julek na wszelki wypadek zamknął klapę fortepianu.

Zapis z 6 września świadczy, że dwoistość sytuacji, w jakiej tkwiłem, znalazła wreszcie swój wyraz w dzienniku. Nie wiadomo dlaczego zajęła mnie utracona bezpowrotnie reputacja ojcowska Hermana Kafki. Zaraz po notatce, że po południu odwiedzili mnie przyjaciele w drodze do Bydgoszczy, z piękną córką na dodatek, napisałem: *Pozostanie biedaczysko w złej pamięci do końca świata, a to kara, jeśli by trzymać się tylko litery H., stosowna raczej dla Heroda czy Hitlera. Ten ostatni zresztą zawsze znajdzie obrońców, a za Hermanem nikt się nie ujmie. Ja także od kiedy pamiętam, myślałem o nim z niechęcią, może dlatego, że zbytnio ulegałem sile talentu jego syna. A przecież ten człowiek dokonał w życiu cudu. Wyrwał się z nędzy, i to uczciwą pracą. Syn wioskowego rzezaka, który co prawda potrafił podnieść zębami pięćdziesięciokilogramowy worek, ale jako że nie popisывał się tym w cyrku, był biedny jak mysz kościelna. Liczne dzieci siłacza odmrażały nogi i ręce, ciągnąc zimą wózek z mięsem po okolicznych klientach. Na szczęście Herman Kafka odziedziczył po ojcu siłę i potężny wzrost, co pozwoli mu nie tylko przetrwać w cesarsko-królewskiej armii, ale jeszcze dosłużyć się rangi.*

Przedtem jednak jako czternastolatek opuszcza dom rodzinny i utrzymuje się ze sprzedaży obnośnej, skrzętnie odkładając każdą zarobioną koronę. W Pradze, także sobie radzi, bo ktoś zamożny godzi się oddać mu córkę. Panna ma dwadzieścia sześć lat, co wtedy nie jest młodością, ale pochodzi z rodziny Iowy, z której wywodzą się rabini, uczeni i browarnicy. Niektórzy nazywają ich już z niemiecka *Lauer*. Czeski prowincjusz żydowskiego pochodzenia nie zna jeszcze biegle niemieckiego, lecz chciałby należeć do elity Pragi, która w tym czasie składa się przede wszystkim z Niemców. Udaje mu się to dzięki sklepowi założonemu przy pomocy teścia, browarnika właśnie, stosunkom



rodziny Löwy ale przede wszystkim własnej determinacji. Przydaje mu się i czeski, którym porozumiewa się od dzieciństwa, bo w rozruchach przeciwko dominacji niemieckiej sklep tego potężnego mężczyzny uznany zostanie za patriotyczny i nie straci ani jednej szyby. Na pierwsze większe mieszkanie stać go jednak dopiero, kiedy Franz kończy sześć lat, a urodzić się ma Gabriela.

Czy po tak owocnej pracy włożonej w wydobywanie się z nicości miałby odmówić sobie prawa do autorytarnych sądów o wszystkim? Czy jego doświadczenie w walce o godny byt nie jest najlepszą miarą postępowania? Eva Rubinstein opowiadała mi kiedyś o swoim ojcu, sławnym Arturze, geniuszu fortepianu. Ten uciekinier z łódzkiego podwórka, uwielbiany przez świat, wierzył, że ma patent na wiedzę o wszystkim. „Jeszcze nie zdążyłeś stworzyć ust, a on już mówił, że to nie tak, że nie masz racji. I wszystko, co powiedział mi o muzyce, broni się do dzisiaj, ale to, co powiedział mi o życiu, mało dla mnie znaczy”, twierdziła jego córka, która w życiu bardzo starała się wyzwolić od wpływu tej akurat mądrości. Herman miał więc prawo sądzić, że tylko siła, pracowitość i zaradność pozwalają dojść do sklepu z pasmanterią w pałacu Kinskich i godności zaprzysiężonego biegłego sądowego. Czy Franz zatem nie powinien zrobić kroku dalej i być już nie tylko biegłym, ale nawet sędzią w cesarsko-królewskich sądach? Zwłaszcza że wyrósł na mężczyznę bardzo wysokiego i gdyby nie brakujące pięćdziesiąt kilogramów wagi, które jego dziadek bez trudu podnosił zębami, można by go nazwać potężnie zbudowanym. Czy szwedzka gimnastyka i wystawianie w dzieciństwie na balkon nie powinny uczynić z niego herosa? Prawdopodobieństwo, że ktoś taki jak Herman zrozumie jakąkolwiek inność, było równe zeru. Pewnie nawet umierając, nie pomyślał, że był ojcem księcia na ziarnku grochu, i to nie dlatego, że nikt w dzieciństwie nie czytał mu Andersena.

Dlaczego jednak syn w swoim geniuszu nie mógł pojąć ograniczenia ojca? Dlaczego tak lubił się chwalić przodkami z rodziny Löwy, a chciał akceptacji od kogoś, kto z najprostszych względów nie mógł mu jej dać? Ten posłuszny, mądry niesamodzielny syn zemścił się piórem na niepotrafiącym go zrozumieć ojcu, jak przystało na geniusza: na wieczność, czyli dopóki człowiek będzie rozumiał słowo pisane. Można mieć tylko nadzieję, że jeśli się kiedyś spotkają na jakimś sądzie, Bóg pozwoli im się zrozumieć.

Tak więc 6 września pisałem w końcu o czymś, co wiązało się z rzeczywistością, w której tkwiłem po uszy. Pojawienie się Hermana Kafki było zapowiedzią napotkania jego dzieci, także słowo „sąd” nie mogło być przypadkowe. Być może, pisząc to, przeczuwałem już, że z moją głową źle się dzieje. Bo trzeba sporego zidiocenia, aby stłoczonych na ponurym korytarzu ludzi brać za aktorów lub naukowców, wcielających się w postaci, o których napisano grube tomy. Musieliby jak jeden mąż być potomkami największych tragików żydowskich lub jednej tylko Idy Kamińskiej. Co muszę sobie oddać,

nie przestraszyłem się zbyt, może dlatego, że nie pierwszy raz w życiu mój biedny mózg tak się rozdokazywał. Nie zdziwiło mnie nawet zbyt przywiązanie do chorych szczegółów, choć zarówno Paweł Lewy ze swoimi meblami do kuchni, jak i piękna kioskarka na dworcu byli w tym wszystkim niepotrzebni. Mimo pewnej ulgi po zrozumieniu sytuacji, w jakiej się znalazłem, zaraz wyrzuty sumienia, bo gdzieś tam chłop kosi, murarz buduje, a ja sobie majacze. Wybitnie nieprzyjemna sytuacja.

Na szczęście nie do końca. Od jakiegoś czasu nie mogłem oderwać oczu od dziewczyny, która niedawno uśmiechnęła się do mnie. Nie siedziała już, lecz stała, ciągle blisko starszej pani; fizyczne podobieństwo obu kobiet mówiło wszystko. W szarościach dotkniętych czernią, w stroju najskromniejszym z możliwych, wyglądała, jakby niewidoczny reflektor wydobywał ją z tłumu, oświetlając wspaniale czerwone włosy, szlachetnie jasną twarz i wdzięczny gest. Nie mogło być lepszego dowodu na to, że zwariowałem, jeśli zaaferowany ludek nawet jej nie zauważał i dalej kłębił się przy drzwiach. Dowodem równie dobrym było to, że ośmieliłem się wreszcie i podszedłem do niej. O dziwo, jakby na to czekała. Już po chwili rozmawiamy, jakbyśmy się znali od dawna. Na imię ma Dora. Do getta w Łodzi trafiła z matką prosto z Pragi. Matka milcząca, myślami gdzie indziej, ale kiedy się odzywa, złotousta:

– Pospacerujcie, dzieci. Niech pan uważa na nią. Jest taka delikatna. Jak będą wzywać, zawołam was.

Chodzimy więc sobie, nie nadużywając słów, aż wskazuje wzrokiem wyschniętą paprotkę nad kaloryferem w głębi korytarza.

– Może tak do parku?

Uśmiechnęła się tak pięknie, że zacząłem cieszyć się ze swojej choroby.

– Dobrze, nie zanosz się na deszcz.

W połowie drogi dogonił nas jednak Jurek.

– Poznałem siostry Franza Kafki! To te dwie na końcu korytarza. Ten łysawy pan to mąż starszej...

Gdyby ludzkość postanowiła zwariować, Jurek zrobiłby to ostatni, więc wyglądało na to, że nie ze swojej woli partnerował mi w chorobie. Nie wiadomo z czyjzego polecenia, ale trafił wybornie. Ile czasu straciłem kiedyś, aby się dowiedzieć, dlaczego Gabrieleę Hermannową i Valerię Pollakovą z mężem Josefem przywieziono akurat do Łodzi, a Ottylię Davidową zabrano potem do „lepszego” Teresina? Jakże często zapuszczałem się w stronę baraku stacji Redegast, aby uzmysłwić sobie, co zobaczyły, wysiadając zimą z pociągu w szczerym polu i idąc w poganianym tłumie wśród nędznych poletek i krzywych domów? Czy poczuły zapach nieczystości płynących w rynsztokach i czy

przestraszyły się wtedy tego tak innego świata? Tysiące ludzi przeszło tą drogą, lecz tylko z tymi damami coś mnie łączyło.

Miały być dla mnie namiastką Franza, który gdyby nie zbawienna gruźlica, mógł także znaleźć się w Łodzi? Wchodziłem do domów, w których mieszkały, aby zobaczyć to co one, kiedy wspinały się po schodach. Na ohyde tych podwórek mógł patrzeć ich brat. Czy wciśnięto by go do zapchanego pokoju na Gnieźnieńskiej, czy na Franciszkańską, tam gdzie Valeria z mężem? A Rumkowski? Pewnie nie wiedziałby nawet, kogo ma w getcie, bo to nie był jego towar, jakby powiedział Nachman Sonnabend, z którym przegadałem wiele godzin nie tylko o literaturze. Wyjechałby więc Franz ze swoimi siostrami 10 września 1942 roku pierwszym transportem do Chełmna. Jak wszystkich, i jego przywitałby uprzejmy esesman: „O ile wiem, nie mieliście państwo w Łodzi odpowiednich warunków do utrzymania czystości. Te ciężarówki podwiozą was do miejsca, w którym zajmiemy się higieną...” W jadącej ciężarówce męczyłby się jak wszyscy, bo od spalin umiera się dłużej niż od cyklonu B, który potem stosowano w Auschwitz. Dywagacje, co stanęłoby mu wtedy przed oczyma, zostawmy zdrowym na umyśle. Wypada tylko wspomnieć, że u wielu zatrutych spalinami mózgi mogły żyć jeszcze, kiedy rozbierano ich bezwładne ciała z sukien i tużurków, a kto wie, czy nie dłużej.

Czy można mi się dziwić, że wpatrywałem się we wskazane przez Jurka kobiety, starając się doszukać znanych wszystkim rysów? Znajdowałem godność i o dziwo, wysoko trzymane siwe głowy. Josef Pollak starszy od Valerii o osiem lat, a rok od Franza, wydał mi się sędziwym człowiekiem. A przecież nie miał jeszcze sześćdziesiątki. Może to łysina, a może poczucie bezsiły u tego żołnierza z pierwszej światowej? Jakże brzydko na ich tle wypadam z myślą, że wolałbym tu widzieć Ottlę. To przed nią Kafka nie miał tajemnic i to u niej pomieszkiwał w ostatnich latach życia. Swoim zdecydowanym charakterem przypominała ojca i jako jedyna potrafiła mu się sprzeciwić. Ośmieliła się nawet wyjść za mąż z własnej woli, i to za czeskiego katolika, z którym dla jego dobra rozejdzie się, kiedy zaczynają się prześladowania Żydów. W Teresinie Ottla zgłasza się jako wolontariuszka do opieki nad ponad tysiącem dzieci i na siedem godzin i czterdzieści pięć minut przyjedzie z nimi do Polski. Tyle czasu zabrało przeprowadzenie tego transportu przez komory gazowe w Auschwitz. Nie wypadało jednak narzekać. Nie było Ottli, powinienem cieszyć się z Gabrieli i Valerii, zwłaszcza że, jak mówiono, Ottla głucha na literaturę jak pień. Pewnie po ojcu.

– *Čteš Kafku v němčině? Ještě před válkou jsem uprosila mámu, abych si mohla koupit jeho „Gesammelte Schriften”. Mám všech šest svazků - Dora mówi to po czesku, a ja jakimś cudem rozumiem każde słowo, nawet šest svazků, co przecież brzmi inaczej niż polskie sześć tomów. Jurek wygląda na bardzo przejętego, wszystko więc wskazuje, że zachorował niezależnie ode mnie.*

Byłaby to epidemia? Nie mogłem tego wykluczyć. Chciałem obojgu powiedzieć coś mądrego, otworzyłem już nawet usta, kiedy ktoś położył mi rękę na ramieniu. Nieduży, żyłasty mężczyzna z konsekwentnie nieparzystymi brakami w uzębieniu. Przypominał woźnego z jednej ze szkół, w których przyszło mi szukać szczęścia. „Zapraszamy do klasy”. Ton niby żartobliwy, lecz nie wyglądało na to, że można mu odmówić. Jurek rusza ze mną, jednak wystarczy gest woźnego i zatrzymuje się w pół kroku. Zdażę jeszcze uśmiechnąć się do Dory i zostaje wepchnięty do sali; ludzie na korytarzu marzyli o dostaniu się do niej. Byłem człowiekiem z korytarza, a więc powinienem się cieszyć.

Sala jak sala, najważniejsze, że szybko zrozumiałem, co się w niej odbywa. Musiałem już wcześniej o tym myśleć, to więcej niż pewne. Dożyć jednak tej chwili, choćby w szaleństwie, było czymś niewyobrażalnym, i tylko uchwycenie się poręczy czyjegoś krzesła uratowało mnie przed omdleniem. Ktoś, komu zasłaniałem widok, syknął, a nawet trącił mnie w plecy, ktoś inny pociągnął w stronę wolnego miejsca, które okazało się kuchennym stołkiem. Siedząc niżej od innych, nic prawie nie widziałem, a przecież byłem szczęśliwy jak dziecko, które może dotknąć gorącej fajerki. Ze strachu albo, w co wolę wierzyć, z poczucia taktu, ominałem wzrokiem oblicze sędziego, starając się dojrzeć choćby czubek głowy człowieka, którego minione istnienie tyle wywołało sporów. Napisano o nim tomy, a ja oto widzę jego słynną siwiznę. Pochyla się nad nią chudzielec z miną Savonaroli; musiał przed chwilą powiedzieć coś zabawnego, bo kilka osób się zaśmiało. Choroba rządzi się jednak swoimi prawami i trudno w niej o logikę: niespodziewanie przestaje mnie obchodzić Rumkowski i całą uwagę skupiam na włosach upiętych w sposób dobrze mi znany ze zdjęć. Nie może być mowy o pomyłce, to ciotka mojego kolegi Pawła Weinbergera. On sam znał ją tylko z opowiadań ojca, ale ileśmy się nagadali o tej pięknej kobiecie, która zdecydowała się poślubić władcę getta, a dla nas wtedy trzystuletniego starucha. Według Pawła Regina chciała w ten sposób ratować chorych rodziców i chronić brata poetę, nieprzydatnego w getcie. Dla mnie była postacią demoniczną, skora do władania ludźmi, a *Salome*, mądry tytuł mojego nigdy nieskończonego opowiadania o niej, dobrze zaświadcza o myśleniu szesnastolatka. Nic więc dziwnego, że zawsze chciałem ją poznać, choć nie wiem, czy gdyby to ode mnie zależało, wybrałbym moment tak dla niej niezręczny. Brat poeta przeżył, bo nie uwierzył siostrze, że przy prezesie nic im nie grozi, i podczas likwidacji getta nie dał się wywieźć. Jednak Paweł powtarzał, że gdyby nie Regina, jego ojciec nigdy nie zgromadziłby odpowiedniego zapasu żywności, aby przetrwać w kryjówce.

Paweł już nie żyje, bo gdzieś w Denver sprzeciwił się trzem roslým amatorom swojego portfela, jego ojca pewnie już także nie ma na tym świecie,

a ja patrzę na kształtny tył głowy Reginy. Ośmielony tym nieuprawnionym cudem, rozglądam się po sali. Przy takiej spostrzegawczości aż chciało się być wariatem, choć nie miałem dobrego widoku, bo nie dość, że siedziałem nisko, to jeszcze drągał przede mną bardzo się kręcił.

– Pan obrońca powie nam teraz coś o dwóch światach, które rzekomo miało dzielić wszystko. Co prawda ja wiem o jednym świecie, ale może on ma lepsze rozeznanie... – Kiedy sędzia wypowiedział te słowa, wiedziałem już, dlaczego wezwano mnie właśnie w tym momencie.

– Jak pamiętamy, do przeludnionego już getta Niemcy wciskają nam ponad dwadzieścia tysięcy ludzi z Niemiec, Pragi, Wiednia, a nawet z Luksemburga. I jak się wtedy zachowuje pan prezes? Nie każdy ojciec zdobyłby się na takie przemówienie powitalne... – Jowialny grubas wyjął z kieszeni kartkę i pokazał ją Rumkowskiemu, który kiwnął przyzwalająco głową. Obrońca zaczął więc czytać, a po chwili mniej czytał, a bardziej przemawiał: – „Bracia i siostry! Zamierzam wam w pierwszym rzędzie zobrazować historię naszego getta. Zorganizowanie tu tak wzorowej gospodarki nie było łatwą sprawą. Na żadnych uniwersytetach świata tego nie uczą. Gdy otrzymałem nominację na przełożonego starszeństwa Żydów, czułem się w tej roli jak świeżo upieczony medyk przed przystąpieniem do praktyki lekarskiej. Ze łzami w oczach podjąłem się jednak tego zadania, ufając, iż opatrność będzie mi pomocna. Nie było wówczas w tej dzielnicy poważniejszych fabryk, była przede wszystkim nędza. Rozpocząłem więc z bardzo małym kapitałem powierzonym mi przez najbliższych przyjaciół. Równocześnie z problemami finansowymi od zarania mej władzy musiałem podjąć bezwzględną walkę ze światem przestępczym, który ustawicznie dążył do wywołania powszechnej dezorganizacji. Zwalczyć też trzeba było istną orgię szmugłu. Do walki z dużymi siłami podziemnego świata musiałem więc zorganizować policję...”

Podczas przemowy gruby pan spacerował między ludźmi, przewiercając ich wzrokiem. Do mnie miał za daleko, abyśmy mogli się sobie przyjrzeć. Wiedziałem już, skąd wziął się atak choroby. Jako młody chłopak kazałem sobie opowiadać historię, jak to ludzie z wielkiego świata przyjechali do mojego miasta i co się z nimi potem stało. Pulmanowskimi wagonami dojeżdżali do stacji w szczerym polu. Widzieli miasto pełne brudu, błota i mizernych, podupadłych ludzi. Do tego warunki higieniczne urągające przyzwoitości. Krótko mówiąc, widzieli straszliwą karykaturę Wschodu. Miejscowym, którzy nauczyli się już sztuki przetrwania, szybka wymiana kaszmirowych swetrów i złotych zegarków na brukiew i cebulę pozwalała odplacić za swój los i poniżenie. Przybysze nie zdawali sobie jeszcze w pełni sprawy z rozmiarów swojej klęski, miejscowi nie chcieli zrozumieć, że klęska jest obopólna. Spotkanie nie trwało długo, gdyż w pierwszej kolejności wysłano do gazu tych, którzy nie nadawali się do prac fizycznych. To nic, że umierali w zatrutowanych

spalinami ciężarówkach czy komorach gazowych Chełmna czy Auschwitzu. Dla ich przyjaciół w Pradze, w Wiedniu czy Berlinie to Łódź była miejscem, z którego dali ostatni znak życia. Zawsze mnie to obrażało. Nie wiem, co czuje mieszkaniec Oświęcimia, ale przecież może uważać za niesprawiedliwe, że jego miścinie, okolicznym domom i pagórkom, historia do końca świata wyznaczyła taką, a nie inną rolę.

Tymczasem obrońca czytał dalej, a w miarę czytania sprawiał wrażenie, że sam przemawia na placu Strażackim. Dobrze znałem to przemówienie, więc gdyby w tym stanie umysłu było to możliwe, z chęcią bym się zdrzemnął, aby dać odpocząć głowie.

Regina z ciekawością słuchała czytającego z kartki Bornsteina. Nie знаła tego przemówienia, a było w nim wszystko, co potrzebne do przekonania wszelkiej maści niedowiarków.

– „Kiedy dnia 6 kwietnia 1940 roku przeprowadziłem się do getta, zameldowałem prezydentowi miasta, że idę do kopalni złota. Na zdumione zapytanie odpowiedziałem krótko: «W getcie mam 40 tysięcy rąk zdolnych do pracy i to jest właśnie ta kopalnia złota». W miarę jak organizowałem tu pracę, władze niemieckie nadstawiały ucha na moje słowa i stopniowo zaczęły się ze mną liczyć. Po krótkim czasie, kosztem największego wysiłku, powstały fabryki, a z uzyskanych kredytów wywiązałem się najsumienniejszy i w razie potrzeby znowu otrzymam je bez trudności. Dzisiaj getto to nie tylko ośrodek pracy, lecz miasto produkcji. Dumny jestem, że uzyskuję od pracodawców pełną, stuprocentową zapłatę za robociznę. W innych ośrodkach Żydzi otrzymują tylko 50 procent normalnego wynagrodzenia. Mój trzymilionowy budżet miesięczny dostosowany jest do potrzeb dotychczasowej ludności getta i dwa są źródła jego pokrycia: praca i... rekwizycje. Otwarcie się do tego przyznaję, że obca jest mi troska o los pasożytów, którzy pochowali mienie w czasach, gdy masy stoją w obliczu śmierci głodowej. Majatki w getcie pozbawione są indywidualnego prawa własności, a bez obawy sankcji można mi także przekazywać dobra ukryte poza gettem. Mój specjalny oddział świetnie się wyspecjalizował w wykrywaniu tych skarbów. Nie oszczędzają oni ścian, podłóg i sufitów, gdy chodzi o wykrycie samolubnie pochowanych dóbr, które przecież składają się na cegiełki mego budżetu”. – Bornstein przerwał i podał jakieś zdjęcia staruszkowi, który tylko na to czekał. – „Także dlatego możemy poszczycić się tu nie lada osiągnięciami. Na początku posiadaliśmy zaledwie 227 szpitalnych łóżek, dziś mamy ich już 1600 i 200 dojdzie w najbliższym czasie. 7 szpitali, 7 aptek, 4 ambulatoria, szereg prewentoriów – to chyba dostatecznie imponujące cyfry, jak na biedne bałuckie getto... A wzorowe domy starców, ochronki dla dzieci i sierocińce? Podkreślić też warto, iż 14

tysięcy dzieci uczęszczało do szkół różnego rodzaju. W szkołach tych nie tylko pobierano nauki w zakresie normalnych programów, lecz także dożywiano. Niezależnie od tego akcją dożywiania objęte są wszystkie dzieci w wieku od dwóch do siedmiu lat. Troska o los dziecka jest bowiem sprawą najbliższą memu sercu...”

Staruszek uruchomił wreszcie maszynę do wyświetlania zdjęć i na tablicy, na którą narzucono prześcieradło, ukazali się lekarze w białych fartuchach, czyste sale szpitalne i bawiące się dzieci. Ku zdumieniu Reginy Chaim wstał nagle, odwrócił się w stronę sali i skłonił się. Kilka osób zaczęło klaskać.

– Niechże oskarżony nie pozwala sobie na demonstrację! – wykrzyknął Wilski, wyraźnie zdenerwowany.

– Jakaż to demonstracja? Potwierdzenie faktów za ledwie. – Bornstein był wyraźnie ucieszony z efektu. – A teraz poproszę o szczególną uwagę. Oto słowa, jakimi pan prezes powitał narzuconych mu gości ze świata, kiedy już wyjaśnił im swoją rolę w getcie: „Bracia i siostry, a teraz smutna prawda. Przyznaję szczerze, że kiedy zapowiedziano wasz przyjazd, bronilem się, jak tylko mogłem. Między wami a nami istniał zawsze wielki dystans. Dziś dystans ten jest dla mnie nieaktualny. Wszyscy bowiem jesteśmy braćmi połączonymi wspólnym nieszczęściem. Choć ponad wszystko stawiam dobro dzieci i młodzieży, to bez chwili zastanowienia, aczkolwiek z ciężkim sercem, zdecydowałem się zamknąć szkoły i pozbawić dzieci nauki, aby znaleźć dla was odpowiednie pomieszczenia. Myśmy was tutaj przyjęli z największą serdecznością i oddaliśmy wam własne schronienia. Otrzymujecie te same ilości chleba co pozostała ludność tylko dzięki temu, że każdy z mieszkańców oddaje wam codziennie 50 gramów ze swojej ubogiej porcji. Zasadniczy mój stosunek do was streszcza się w haśle: to samo co dla nas, to i dla was. Byłbym najgorszy z najgorszych, gdybym się inaczej do was ustosunkował. Oczywiście, nie można się łudzić, że czekają tu na was odpowiednie posady. Wskazany jest więc, aby osoby, które będą otrzymywać stałe przekazy pieniężne z tytułu rent czy emerytur, zrzekły się na razie prawa do pracy na rzecz bardziej potrzebujących. Przeświadczony jestem, że potrafcie się przystosować do ciężkich warunków tutejszego życia. Przrzekam, iż dam wam wszystko, co tylko będę mógł. Nie wolno jednak wymagać ode mnie tego, czego nie posiadam. W istocie rzeczy nie jestem waszym przełożonym, lecz uczciwym stróżem, czuwającym bez wytchnienia, aby wszyscy mogli spokojnie spać...” – obrońca skończył i rozejrzał się wkoło, szukając aprobaty. Panowała cisza, dodał więc jeszcze, tym razem patrząc w kartkę: – Przemówienie pana prezesa przerywane było kilkakrotnie burzliwymi oklaskami...

Ktoś zaklaskał, ale nieśmiało, i szybko przestał.

Wilski wstał i pokazał wszystkim białą chustkę, którą zaraz schował do kieszeni.

– Już miałem ochotę się wzruszyć tym powitaniem, a nawet otrzeć łzę. Jednak brzmi ono tak fałszywie, że nowo przybyli powinni od razu wiedzieć, co ich czeka. Ale niech będzie nazwane miłym gestem. Nie mijają jednak dwa tygodnie i pan prezes odkrywa inne oblicze. – Teraz on wręczył zdjęcia obsługującemu epidiaskop, a potem wyjął kartkę i zaczął czytać. – „Bracia i siostry – zobaczmy, jak łatwo człowiek nazywany prezesem używał tego zwrotu – o smutnych sprawach będę dzisiaj przemawiać. Dlatego życzę sobie, aby słowa moje trafiły głęboko do przekonania nowej gettowej ludności. Jeżeli nowo przybyli nie zechcą czy też nie potrafią przystosować do wymogów życia w getcie, to będę zmuszony zastosować wobec nich środki, które ich do naszych warunków dostosują. Nie pozwolę, by wniwecz poszły osiągnięcia sżyfowej pracy półtorarocznej autonomii getta. Chcę, abyście dobrze sobie zapamiętali, że wszystko zrobiłem, aby zapobiec możliwości przelewu krwi, a mimo to ciągle prowadzi się ze mną bezmyślną walkę. Nie rezygnuje się z żadnej okazji dokuczenia mi, choćby półsłówkami czy szeptem. Nigdy nie przypuszczałem, że wygnańcy, którzy do nas przybyli i zastali nas w tak strasznie ciężkiej sytuacji, zdobyć się mogą na tak nieprawdopodobną butę i bezczelność...”

Regina zobaczyła na ekranie zdjęcia przemawiającego Chaima. Była wtedy przy nim i pamiętała, że nie wyglądał tak strasznie jak na tych fotografiach.

– „...Ci, którzy przybyli, chcieliby może uczynić z nas swoich niewolników, a my dosyć tutaj mamy własnych naszych przedwojennych inteligentów. – Wilski prawie krzyczał. – Ten «artykuł» tu w getcie nie jest aktualny. Tu trzeba wziąć się do pracy potrzebnej ogółowi, do rzemiosła i do prostej fizycznej roboty. Rozumiem doskonale, że od tych perspektyw wolelibyście przyjemne popołudniowe spacerki dorożką. Pamiętajcie, że takiego stanu rzeczy tolerować nie będę!”

Z niechęcią musiała przyznać, że miał zdolności aktorskie, bo przemawiał tak sugestywnie, że kilka osób zaczęło się chować jedna za drugą.

– Panie sędzio, proszę o wzięcie w obronę publiczności. Oskarżyciel straszy, a oni dość już się bali w życiu. – Bornstein uniósł się w krześle.

– Oskarżyciel tylko cytuje pańskiego klienta. Proszę dalej...

– Dziękuję, panie sędzio. – Wilski zaczął czytać jeszcze groźniejszym tonem: – „Tu w getcie radcostwa dworskie trzeba sobie raz na zawsze z głowy wybić. Siostry i bracia, przyznaję się do winy wobec was. Okazuje się, że byłem niepoprawnym marzycielem. Raczej nie przed Cyganami w getcie trzeba



mi się było bronić, lepiej było umieścić ich tutaj chociażby ze dwadzieścia tysięcy zamiast przybyłych Żydów. Opamiętajcie się! Przed opresją nie uchroni nawet tytuł tajnego radcy. W dzisiejszych czasach tytuły nie odgrywają najmniejszej roli. Wielu z was ustosunkowuje się do pracy negatywnie. Mówicie sobie: po cóż mamy pracować, kiedy można żyć ze sprzedaży rzeczy lub z przywiezionych zasobów pieniężnych. A ja was nauczę pracować i przyzwyciężać się zachowywać, a przede wszystkim odzwyczaję was bezczelności!”

Na sali zrobiło się cicho, nie na długo jednak, bo obrońca zerwał się na równe nogi i wykrzyknął:

– I cóż ma wynikać z tego aktorskiego popisu? Nie sądzę, aby przysięgli po tych ojcowskich ostrzeżeniach uwierzyli w złe intencje pana prezesa. Owszem, widać kompleksy, a nawet pewną chęć odegrania się na tych ludziach. Jednak czy pan prezes nie miał racji, obawiając się, że wysiedlenie Żydów z Europy zaszkodzi jego wizji przetrwania?

– Kiedy kilka miesięcy później, na początku 1942 roku – oskarżyciel nie zwlekał z odpowiedzią – Niemcy zaczęli wywózkę do gazu, Rumkowski wybrał na pierwszy ogień element przestępczy i pobierających zasiłki, a potem blisko dziesięć tysięcy nowo przybyłych, a wśród nich profesorów, tuzy nauki światowej, ich żony i dzieci, a zatem ludzi, którzy może nie umieli robić butów albo czapek, ale mogliby być wzorem dla swoich łódzkich braci.

– Do tego jeszcze dojdziemy – przerwał mu sędzia.

– Przepraszam, panie sędzio, ale muszę odpowiedzieć teraz. Pan oskarżyciel raczył sobie zażartować. Chciałby, aby najpierw wysłać z Łodzi ludzi ciężkiej pracy, dzięki którym getto trwało, a oszczędzić przybyszów wykształconych. Zapytam teraz tych z państwa, którym los nie dał możliwości nauki, czy według nich powinni iść do gazu w pierwszej kolejności.

– Dostyc. Proszę mi tu nie robić głosowania. – Sędzia zdecydował stanowczo. – Poproszę teraz na świadka doktora Ulricha Schulza z Pragi.

Do pulpitu precyzyjnie się starszy elegancki mężczyzna w binoklach, który siedział trzy rzędy za Regimą. Nigdy o nim nie słyszała, więc była ciekawa, co powie. Sędzia chyba także, bo wskazał na ekran z prześcieradła, na którym ukazał się plakat oznajmiający po niemiecku i hebrajsku o zastrzeleniu doktora Ulricha Schulza z Pragi za stawianie oporu policji.

– Czy to o pana zastrzeleniu donoszą te obwieszczenia?

– Wątpię, aby w getcie był inny Ulrich Schulz z Pragi.

– Proszę opowiedzieć, jak do tego doszło.

– To proste, nie chciałem się dać wywieźć z getta.

– Dlaczego? Przecież nie mówiono ludziom, że jada na śmierć.

– Rozumowałem prosto. Jeżeli jako nieproduktywnych wyrzucano nas razem z przestępcami, to należało się spodziewać pogorszenia naszej sytuacji. A gorszą sytuacją mogła być według mnie tylko śmierć. Dlatego nie zgłosiłem się do punktu zbiorczego. Policja niemiecka znalazła mnie i zaczęła szarpać. Aby to jak najszybciej zakończyć, spoliczkowałem najstarszego stopniem. Strzelił więc...

– Jak wszyscy widzimy, komunikat o tym podpisał prezes Rumkowski. – Obrońca wstał i udawał, że przygląda się podpisowi. – Czy pan prezes był przy tym zajściu obecny?

– Skądże, po prostu do jego obowiązków należało podpisywanie wszelkich niemieckich komunikatów.

– A więc nie obwinia go pan za swoją śmierć?

– W najmniejszym stopniu.

– Nie mam więcej pytań.

– Dziękuję panu i przepraszam, że fatygowaliśmy na tak krótko – powiedział obrońca, nie wiadomo w czyim imieniu.

– Z przyjemnością stawię się na każde żądanie. – Schulz uklonił się i ruszył w kierunku drzwi zamiast wrócić na swoje miejsce.

Wilskiemu coś się nagle przypomniało, bo uderzył się w czoło i krzyknął:

– Jeszcze tylko jedno pytanie! Pan przebywał w getcie niecałe trzy miesiące. Wiem, że to mało, aby wyrobić sobie opinię, lecz sytuacja była szczególna. Czy mimo tak krótkiego czasu mógłby pan w jakiś sposób scharakteryzować pana prezesa?

Schulz dość długo zastanawiał się nad odpowiedzią, ale w końcu poprzestał tylko na jednym słowie, po którym skłonił się raz jeszcze i wyszedł.

Poczułem, jak wszyscy drgnęli, bo drgnąłem razem z nimi, a przecież epitet rzucony przez Schulza nie należał do najstraszniejszych. Oskarżyciel uśmiechnął się promiennie do obrońcy, a ja skupiłem uwagę na czerwieniącym się uchu Reginy Weinberger i gościu, jakim objęła siedzącego przy niej chłopca. Przy okazji zobaczyłem, że trzyma brodę wysoko niczym królowa, i gdyby nie czerwień wchodząca teraz na fragment policzka, można by sądzić, że nawet na szafocie nie straciłaby głowy.

Kiedy oderwałem od niej wzrok, na miejscu dla świadków stał przystojny mężczyzna w mocno pocerowanej, ale czystej marynarce. Nazywał się Krausse i przed wojną był radcą w Berlinie. Musiał często przemawiać, bo wypowiedział się z emfazą i wyraźnym zadowoleniem:

– Z bólem przychodzi mi to stwierdzić, ale my, Żydzi niemieccy, wstydziliśmy się za swoich braci ze Wschodu, a ich chasydzki mistycyzm uważaliśmy za ciemnotę i zacofanie. Chyba sądziliśmy nawet, że sami są trochę winni wegetacji w brudnych miasteczkach, pogromom i gettom ławkowym. I pchaliśmy im przed oczy naszych Einsteinów, kulturę i wstrzemięźliwość religijną. Czy mieli nas za to lubić? Cóż więc dziwnego, że kiedy nadarzyła się okazja, by nas zamiast siebie wysiedlić z getta, uczynili to bez wahania.

Obrońca zatarł ręce i z miną niewiniątka poprosił Kraussego o czysto hipotetyczne rozważenie kwestii, jak by się zachował, gdyby getto istniało w Berlinie, a szansą na jego przetrwanie było odesłanie przybyszów ze Wschodu.

– Myślę, że mogę odpowiedzieć bardzo konkretnie. Postąpiłbym tak samo. Tyle że odesłałbym swojego nieokrzesanego kuzyna, nieznającego języków ani literatury, takiego choćby jak pan Rumkowski, a zostawił bliższego mi duchem brata myślącego. Na szczęście Bóg oszczędził mi takiej próby. obrońca zatarł ręce.

– Panie prezesie, wiem, co pan przeżywa. Ośmielono się nazwać pana, nie bójmy się tego słowa, prostakiem, lecz proszę mi wierzyć, pan Krausse oddał panu wielką przysługę. Wierzę bowiem, że sędziowie przysięgli pochylią się nad złożonością sytuacji, w której przyszło panu prezesowi wybierać między swoimi a w pewnym sensie obcymi.

– To się jeszcze okaże – powiedział oskarżyciel. – Czym innym bowiem jest odesłanie, a czym innym wysłanie na pewną śmierć. A więc jest pan przekonany, panie Krausse, że nikt w getcie nie wiedział jeszcze, dokąd naprawdę jedziecie?

– Nie wiem, czy nikt, wiem tylko, że była to zbyt wielka tajemnica, aby dopuszczać do niej Żydów. W Chełmnie, którego nazwę poznałem dopiero dzisiaj, wysadzono nas z pociągu i poprowadzono szpalerem zieleni. Wszędzie równe alejki i bardzo czysto. Na jednym z baraków powiewała flaga Czerwonego Krzyża. Oficer niemiecki powitał nas grzecznie, przeproszał za trudy podróży i nawet żartował sobie. Kiedy jeszcze w Berlinie pokazałem dokumenty i Krzyż Żelazny, zostałem mocno uderzony, ten natomiast oficer zapewnił, że zapozna się z nimi później. Nie ukrywam, odczułem pewną ulgę. Potem tłumaczył, że w Łodzi na pewno nie było odpowiednich warunków higie-

nicznych, a więc mogliśmy przywieźć na sobie jakieś zarazki. Bardzo więc prosił o rozpoczęcie pobytu od kąpieli. Ciężarówka miała nas przewieźć do łaźni. Byliśmy potwornie zmęczeni i każdy chciał się jak najszybciej położyć. Naprawdę nie uważam się za człowieka najgłupszego, ale pierwszy wsiadłem do samochodu. Potem włączono motor, ale samochód nie ruszał, a my poczuliśmy spaliny...

– Właśnie tak było! – wykrzyknął obrońca. – A na dowód, że w getcie także nikt nie wiedział, co dzieje się z ludźmi, którzy je opuszczali, proszę pana sędziego o zgodę na przeczytanie fragmentu dziennika obecnego na sali Jakuba Poznańskiego. Jego słowa zaświadcza, że i prezes Rumkowski mógł nie mieć o niczym pojęcia.

Sędzia pozwolił i podziękował Kraussemu za szczerość i wnikliwe naświetlenie swojego punktu widzenia. Ten wyglądał na zawiedzionego, że to już koniec, lecz uklonił się grzecznie. Nie wyszedł jednak z sali, ale usiadł, i to niedaleko mnie. Rumkowski odprowadził go wzrokiem. Po raz pierwszy mogłem się dobrze przyjrzeć prezesowi. Na pewno wyglądał starzej niż na wszystkich znanych mi zdjęciach, ale rezonu nie stracił.

– Notatka z czwartego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego – przeczytał obrońca. – Przypominam, że getto warszawskie zaraz przestanie istnieć, a z łódzkiego wyprowadzono na śmierć blisko sto tysięcy ludzi – wtrącił jeszcze. – „W poniedziałek wyszła partia tysiąca ludzi, podobno częściowo na roboty, częściowo na wysiedlenie. Czy rzeczywiście ci, którzy są skazani na wysiedlenie, są właściwie skazani na zagładę przez zagazowanie? Nie chcę wierzyć i nie wierzę w ten masowy bestialski mord niewinnych ludzi, nawet Żydów, których partia narodowo-socjalistyczna uważa za swoich najgorszych wrogów. Wychodząc z getta, skazańcy śpiewali modlitwę żydowską. Dowód ich nastroju. Podobno otoczenie się rozpląkało i policja sprawnie kilku uratowała, skrywając ich przy przejściu”. – Obrońca podniósł wzrok znad kartki. – I taka też jest prawda o policji pana prezesa. Ale skupmy się na usłyszanych słowach. Napisał je człowiek dobrze wykształcony, rozumiejący sytuację w świecie, czego często w swoim dzienniku daje dowody. Czy według pana, panie Jakubie, inni też nie dawali temu wiary?

Starszy pan z wąsikami wstał, ale odpowiadał ze swojego miejsca:

– To niedowierzenie, że poza gettem rozgrywa się tak potworna zbrodnia, trzymało nas przy życiu.

– Fakt, że otoczenie się rozpląkało, muszę interpretować w ten sposób, i zwracam na to uwagę ławy przysięgłych, że domyślano się, gdzie idą ludzie, a jeżeli lud się domyślał, to władze getta wiedziały o tym dobrze – powiedział prokurator. – A korzystając z okazji, pozwolę sobie na prywatne pytanie do

autora zapisanych w dzienniku słów. Nazwisko Poznański, które pan nosi, należy do słynnego w Łodzi rodu fabrykanckiego, jak w takim razie...

– Proszę się nie trudzić, to zwykła zbieżność. Jestem skromnym inżynierem i z fabrykami mam tylko tyle wspólnego, że w nich ciężko pracowałem.

W drzwiach pojawił się mój woźny, podbiegł truchtem do sędziego i coś mu szepnął do ucha. Skuliłem się na wszelki wypadek, bo sędzia popatrzył po sali, na szczęście chodziło o kogoś innego.

– Mieliśmy teraz zapytać o kilka spraw pana Warszawskiego. Proszę go jednak o cierpliwość, bo mamy świadka z Ameryki, a wiecie wszyscy, jacy oni ważni. Nie mogą czekać. Spytamy teraz, jak funkcje rad żydowskich, wykonujących polecenia Niemców, są widziane przez ludzi potrafiących spojrzeć na sprawę z daleka i wysoka. Proszę państwa, chciałbym, abyśmy posłuchali, co też ma do powiedzenia pani Hannah Arendt.

Tego już było za wiele nawet na malignę czy podwojony atak natręctw. Pierwsze, co pomyślałem, to czy Jurek na korytarzu zorientuje się, kto wchodzi. Zawsze powtarzał, że od dziecka chciał ją poznać. Szukał kobiet potężnych w każdej kategorii, także w sferze ducha. Na sali nie nastąpiło poruszenie, czemu trudno się dziwić, a ja obrażony bezczelnością swojej choroby wyszedłem, aby wreszcie stanąć o sobie.

Regina nie miała pojęcia, po co wezwano kobietę, która nie znała getta w Łodzi. Podobne wątpliwości miał obrońca.

– Proszę o wybaczenie, ale nie bardzo rozumiem, co taki osąd może wnieść do sprawy mojego klienta.

– Wszyscy chcemy się tego dowiedzieć. Proszę wprowadzić świadka – odparł sędzia.

Otworzyły się drzwi i weszła kobieta niemłoda, skromnie ubrana, a jednak, na co Regina od razu zwróciła uwagę, patrząca śmieiej, niż to było w zwyczaju wielu kobiet. Także zapach perfum, który poczuła, z niczym jej się nie skojarzył.

– Witamy panią serdecznie – powiedział sędzia wyjątkowo głośno i wyraźnie. – W naszej nieco zatęchłej atmosferze jest pani powiewem wielkiego świata. Nie ukrywam, że chciałem panią poznać. Pani przecież była blisko z Immanuelem Kantem?

– Z Heideggerem. I nie wiem, co pan sędzia rozumie przez blisko.

– Tylko bliskość duchową. Z Heideggerem, mówi pani. No cóż... przystąpmy do pytań. Jestem przekonany, że świadek powie nam swoją prawdę i tylko prawdę. Do dzieła, panowie.

– Wielokrotnie dawała pani wyraz niechęci do działalności Judenratów. Czy podtrzymuje pani swój sąd? – Wilski miał minę, jakby dużo się o tej kobiecie dowiedział. Skąd, nie miała pojęcia.

– Uważałam rolę Judenratów za szkodliwą. Gdyby nie one, a szczególnie ich przywódcy, byłoby może mniej ofiar. Niemcy mieliby większe trudności w odnalezieniu Żydów. Tak w każdym razie sądziłam i w tym duchu pisałam o tym.

Po sposobie, w jaki Chaim nerwowo podrapał się po ciemieniu, poznała, że zdziwił się nie tyle usłyszonym sądem, ile tym, że wypowiedziała go kobieta, i to zupełnie śmiało.

– Czy nazwisko Rumkowski jest pani znane?

– Oczywiście.

– Co pani o nim sądzi?

– Wyjątkowo nieciekawa postać. Ta kareta, te banknoty z jego podpisem czy znaczki z podobizną. Albo zbieranie pochwalnych albumów na swój temat. Podobne zachowanie w tamtej sytuacji to więcej niż błąd, to zbrodnia.

– Przyznaję, że jako oskarżyciel odczuwam wyjątkową satysfakcję, słysząc, jak uczona tej miary potwierdza tezę o zbrodniczej działalności oskarżonego. Dziękuję pani, nie pozostaje mi nic innego. Nie mam więcej pytań.

Obrońca przez cały czas mówił coś do ucha Chaima. Wreszcie wyprostował się i powiedział:

– I mnie miło jest powitać słynną uczoną. Z tego, co wiem, to pani odkryła rad?

– Nie wiem, skąd pan to wie, ale uważam, że powinno się panu przyznać rację. – Kobieta miała nieodgadniony wyraz twarzy i patrzyła w punkt umieszczony dziesięć centymetrów ponad czołem Bornsteina. – Musi pan też wiedzieć, że dołożyłam się do teorii względności – dodała po chwili.

– Brawo! Podziwiając kogoś, łatwiej nam mu wierzyć. Powiedziała pani, że gdyby nie Judenraty, Niemcy mieliby większe trudności w odnalezieniu Żydów. Czy w takim razie byłaby pani uprzejma podpowiedzieć nam, gdzie Żydzi mieli się schować, kiedy Niemcy kazali im się wynosić z mieszkań i ofiarowali ich domy tubylcom?

– Ktoś by ich przecież ukrył.

Regina przyjrzała jej się uważnie, czy aby nie żartuje, ale nie, minę miała poważną.

– Jak pani wie – Bornstein stawał się coraz bardziej uprzejmy – we wszystkich podbitych krajach Niemcy tworzyli zarządy oparte na miejscowej ludności. Kierownikiem zarządu miejskiego Warszawy był Polak, pan Julian Kulski, szalenie przyzwoity człowiek, życzliwie współpracujący z Adamem Czerniakowem. We Francji merami nie zostawali Niemcy, byli nimi ciągle Francuzi. Także cały przemysł krajów podbitych pracował na potrzeby niemieckiego przemysłu zbrojeniowego. W Polsce chociażby fabryka traktorów Ursus. Jak więc w tej sytuacji mieli się zachować Żydzi? Czy mieli chować się po lasach? Była pani zimą w lesie? – Nie czekał na odpowiedź. – Więc może powinni jednak próbować w tym chaosie utrzymać szkoły, sierocińce, garkuchnie? Przecież nikt nie mógł przewidzieć, że żadnymi sposobami nie ocala życia. Co by pani poradziła starszyźnie żydowskiej, gdyby wtedy poproszono panią o radę?

– Nie mogłabym radzić, nie będąc na miejscu i nie przeżywając tego co oni.

– Wiadomo, noblistka. – obrońca wzniosł oczy do nieba z widocznym podziwem. – Jakże mądre słowa. Choć z drugiej strony, nie będąc tam wtedy, ocenia pani ich postępowanie.

– Tak jak my wszyscy. I będziemy się nad tym jeszcze długo zastanawiać. Wiadomo, że perfidny plan hitlerowców powiódł się. Zna pan zapewne słowa komisarza getta warszawskiego Auerswalda z końca 1941 roku: „Judenrat spełnił swoje zadania. Nienawiść ludności żydowskiej, zamiast przeciwko nam, skierowana jest przeciwko Judenratowi”.

– Dlaczego więc pozwala sobie pani nienawidzić Judenratów, wiedząc już, że nasza nienawiść do nich była zaplanowana przez hitlerowców?

– Nie nienawidzę ich. Boleję nad nimi. A wracając do pańskiego klienta, to w życiu ważny jest styl, w jakim człowiek cierpi i raduje się, żyje i umiera. Mogę tylko powiedzieć, że jeżeli nawet pan Rumkowski cierpiał z powodu tego, co musiał później zrobić, to robił to w stylu urągającym przyzwoitości.

Regina po raz kolejny zastanowiła się, czy w razie czego znajdzie się na sali lekarz. Poszukała wzrokiem i z ulgą dostrzegła doktora Zachariasza, który miał nawet na szyi stetoskop. Nic dziwnego, bo jeśli dobrze pamiętała, zastrzelono go, kiedy badał pacjenta.

– Czyli według pani Adam Czerniakow, który w Warszawie popełnił samobójstwo, dowiedziawszy się, co ma się stać z Żydami, żył i umarł w lepszym stylu?

– Tak, bo jakby pamiętał rabinacką maksymę: „Niechby cię zabili, lecz nie posuwaj się poza ustaloną granicę” – odpowiedziała bez zastanowienia, a po chwili dodała: – W każdym razie zachował się godnie.

– A jednak dobrze pani wie, że w getcie zarzucano mu sprzyjanie Żydom zasymilowanym, a jego samobójstwo uznano za słabość charakteru. Nie wspomnę o tym, że getto warszawskie przestało istnieć w 1943 roku, a getto łódzkie zostało zlikwidowane jako ostatnie w Europie. Stało się tak przede wszystkim dzięki człowiekowi, którego tak łatwo pani lekceważy.

– Moja ocena siłą rzeczy jest oceną *ex post*, co ma dobre i złe strony. Zła to oczywiście brak osobistego doświadczenia, dobra to wiedza historyczna, a przede wszystkim dystans. Dlatego nie ma chyba człowieka, który nie pochylił czoła przed Adamem Czerniakowem, natomiast z pana klientem jest już inaczej.

– A więc nie szkodliwa rola Judenratów, ale tylko niektórych ich przywódców?

– Nie popieram istnienia Judenratów i wolałabym, aby rządili Niemcy i cała odpowiedzialność spadła na nich. Natomiast co do przywódców, to oczywiście nie można ich wsadzać do jednego worka. Byli wśród nich ludzie przyzwoici, a przydarzył się i Rumkowski.

– Czyli człowiek, dzięki któremu ludzie w łódzkim getcie żyli dłużej niż w jakimkolwiek innym.

– Nie sądzę, aby miało to dla nich szczególne znaczenie. Co im było po chederze, teatrze żydowskim i głodowych racjach, jeżeli i tak zostali wymordowani, tyle że trochę później.

Chaim zerwał się na równe nogi, szczęśliwie Bornstein skoczył w jego stronę i złapał go wpół. Zaczynała podziwiać tego grubaska, nawet się nie zapał, poprawił tylko zmierzwiony kosmyk na czole. Wszystko odbyło się tak szybko, że na sali tylko Marek krzyknął z wrażenia.

– Umawiam się z tu obecnymi, że nikt nie widział tego, co zaszło, a ja niczego nie pamiętam. – Sędzia gestem nakazał obrońcy kontynuować. Na niego także spojrziała z podziwem, choć domyślała się, że nic mu po jej podziwie.

– Była pani łaskawa powiedzieć, że i tak zostali wymordowani, tyle że trochę później – zaczął zadowolony Bornstein, i wiedziała już, z której strony zaatakuje. – To trochę później, proszę pani, to jednak życie. Na sali wśród świadków, a także gości mamy wielu przeciwników pana prezesa. – Zwrócił się do publiczności: – Dlatego właśnie od was chciałbym usłyszeć, czy żyć trochę krócej bądź trochę dłużej to niewielka różnica.



Sala zareagowała tak, jak się tego spodziewał. Hałas potworny, krzyki.

– Bzdura! Szkoda, że jej z nami nie było.

Sędzia zirytował się bardzo, uderzył pięścią w stół, i to trzykrotnie.

– Cisza, bo każę opróżnić salę!

Dopiero teraz spostrzegła w ostatnim rzędzie kilku chłopaków o wyglądzie uliczników. Jeden z nich wstał, gwizdnął, aby zwrócić na siebie uwagę, i krzyknął na cały głos:

– A może do gazu z nami?

Trzeba przyznać, że umiał rozbroić publiczność, bo ludzie stopniowo się uciszyli. Ją jednak zaskoczyła śmiałość, z jaką wadził się z kimś tak ważnym. Żadnego leżenia plackiem, to robiło wrażenie.

– Zwracam uwagę panu sędziemu i państwu z ławy przysięgłych, że obrona stosuje nieznaną w cywilizowanym świecie procedurę. Jak tak dalej pójdzie, pan obrońca sam wyda wyrok. – Oskarżyciel także wstał z krzesła.

– Widzę to bardzo dobrze i boleję nad tym – powiedział sędzia. – Jednak taki sąd, jakie okoliczności. Zresztą umawialiśmy się, że w sytuacji niezwykłej i dla dobra sprawy nie należy bać się nowych rozwiązań. Nie sądziłem jednak, że to przybierze takie rozmiary, i proszę pana obrońcę o umiar.

– Dziękuję za zwrócenie uwagi i przepraszam. – Obrońca wyglądał na prawdziwie skruszony. – Nie zamierzam podważać pani sądów, lecz spytam o to, co w nauce najważniejsze, o fakty. Z wyczuwalną satysfakcją napisała pani, że pan prezes jeździł po getcie kareta. Pisanie o karecie w getcie w naukowej pracy ma wymiar oskarżenia szczególnego, bo przecież nawet Hitlera nikt nie widział paradującego w karecie. A prawda jest taka, że pan prezes jeździł najzwyczajszą w świecie dorożką. Na sali jest obecny dorożkarz, który go woził. Panie Abramie, proszę się ukłonić pani z dalekiej Ameryki...

Regina знаła dobrze Abrama, który teraz wstał i ukłonił się. Mimo że jej nie lubił, prosiła, aby go zabrać, kiedy opuszczali getto, lecz Chaim nie chciał o tym słyszeć.

– Rozumiem legendy, którymi obrasta życie każdej postaci nietuzinkowej. Rozumiem pomyłki piszących o historii żurnalistów, ale mylić się do tego stopnia w pracy naukowej?

Chyba za wcześnie uwierzył, że ją zjadł na śniadanie, bo uśmiechnęła się i odpowiedziała z największym spokojem:

– To pan się myli, przykładając wagę do takiego szczegółu. Widzę w tym tylko błąd w tłumaczeniu ze źródeł, które posiadałam. Jednak umysł, który

przykłada wagę do tego rodzaju błędu, wybaczy pan, trzeba nazwać odrobinę młodzieńczym, co, jeśli pan chce, proszę uznać za komplement. Myślę jednak, że w swojej pracy dostrzegłam istotę rzeczy, a to chyba ważniejsze. I panu także radzę więcej rozumieć niż wiedzieć.

– Dochodzę do wniosku, że mój klient miał rację, decydując się nie zabierać głosu. – Bomstein jednak nie umiał przegrywać. – Obawiam się, że żadne jego słowo nie naruszyłoby pani poglądów.

– Gdyby pański klient wiedział, jakimi słowami będzie potraktowany przez historię, nie wychyliłby nosa z sierocińca, gdzie mógł królować bezkarnie. A co do pana, mecenasie, to proszę zażywać myślenia. Rano, wieczorem, kiedy pan tylko może. To umiejętność nie każdemu dana, ale ćwiczyć warto. Dziękuję, panie sędzio, że był pan łaskaw o mnie pamiętać, ale pójdę już, aby nie nadużywać pańskiej i swojej cierpliwości.

Regina przyłapała się na podziwie dla tej drobnej kobiety, która mówiła tak śmiało i umiała postawić na swoim. Kiedy wychodziła, jakby celowo głośno stukając bucikami, nie było nikogo, kto nie patrzyłby na nią z szacunkiem, a Abram wstał nawet i nisko się uklonił.

*U Szolema znajduję historię dwóch braci Bernaysów (ich bratanica wyszła za Zygmunta Freuda). Jakob – najwyższej rangi filolog klasyczny, dochował niemal neurotycznej wierności najściślejszej żydowskiej ortodoksji; Michael porzucił judaizm, by rozpocząć jeszcze bardziej olśniewającą karierę germanisty i komentatora Goethego. Rozstawszy się, bracia już nigdy się do siebie nie odezwali. Postanawiam odnaleźć ich w Łodzi. Siedzą na korytarzu obok siebie, a nawet, czy to z powodu ciasnoty, czy pragnienia bliskości, dotykają się ramionami. Jednak nadal nie zamieniają słowa.*

Zapis w dzienniku z 8 września świadczy, że któraś, pewnie lewa, półkula mózgu myślała o *Fabryce muchołapek*. W lewej więc, jeśli przy niej pozostać, umiar i pisarski spokój, prawa natomiast, bezbronna, wciąga mnie na drugą stronę, i to dosłownie, bo wariactwo wygrywa na całej linii i słyszę swój głos pytający Dorę, czy nie chciałaby się choćby na trochę wydostać z zatęchłego gmaszyska. Na smutne stwierdzenie, że nie wolno wychodzić, odpowiadam, że może dość się już w życiu nasłuchiwała rozkazów. Ma jeszcze wątpliwości, co z mamą, ale przekonuję ją, że mama nie tylko się zgodzi, ale i będzie zadowolona:

– Chce przecież, abyś coś zobaczyła, zresztą mój przyjaciel z chęcią się nią zaopiekuje.

Jurek patrzy na mnie, jakby odzyskiwał zdrowie.

– Na pewno wiesz, co robisz?

Obok wybucha sprzeczka. Dwaj przyzwoicie ubrani mężczyźni zaczynają mówić zbyt głośno, nawet jak na harmider panujący na korytarzu. Mniejszy wygląda na zaperzonego.

– Jak pan tak myślisz, to pan wcale nie jesteś Żydem, zwłaszcza z Wiednia.

– A kim jestem według szanownego pana? – drugi pyta spokojnie, ale widzę, że aż się trzęsie.

– Pan jesteś Żydówką z Drohobycza, i to dawno przekwitła!

Na wszelki wypadek odsuwam się trochę i staję przy trzech mężczyznach i kobiecie, którzy nie podnoszą głosu. Wydaje mi się, że znam ich ze spacerów po Piotrkowskiej, ale jest to tak samo możliwe jak to, że oni znają mnie. Na szczęście nawet nie zauważyli, że się zbliżyłem.

– Nie chcę nikogo oskarżać, ale jak były robione listy na wywóz, to każdy leciał do niego, aby bronić swoich ludzi. Wtedy był dobry?

– Nie ma co ukrywać, to było wygodne, że ktoś taki istnieje.

– W jakim sensie, panie mecenasie?

– Każdy mógł sobie powiedzieć: to on jest winny, bo mówi, że jak jest gangrena, to trzeba uciąć rękę albo nogę, aby ratować życie... Ale przecież ktoś to musiał powiedzieć.

– Nie jestem w stanie wejść w jego skórę i nie sędzę, aby ktokolwiek mógł w nią wejść. W końcu utrzymał to getto jeszcze dwa lata... Moja siostrzenica na przykład zdołała się uratować i, mam nadzieję, czci, jak należy, naszą pamięć. A co pan o tym sądzi, młody człowieku?

Nie drgnąłem nawet, bo nazwanie mnie młodym człowiekiem byłoby zbyt wyrafinowanym żartem, a jednak patrzyli na mnie, co znaczyło, że w chorobie nie ma przebaczenia. Robię mądrą minę i liczę na cud, który następuje, bo wraca Dora.

– Mama jeszcze mnie namawiała. Kazała tylko wziąć sweter... – Oczy jej płoną i choćby dla blasku tych oczu opłacało się zwariować. Kłaniam się państwu chcącym poznać moje zdanie i odchodzimy.

Wspaniałomyślność Jurka („Odprowadzę was dla bezpieczeństwa...”) świadczy o tym, że zbyt pochopnie uznałem go za zdrowiejącego. Wiedział, że olbrzymka na bramce czuje coś do niego, ale nie mógł być pewien, czy o tym pamiętała. Od czego jednak potęga amerykańskiej myśli filozoficznej i łódzka zaradność. Kiedy z sali wyszła Hannah Arendt i podpisywała woźnemu

delegację albo coś ważniejszego jeszcze, natychmiast, nawet na siebie nie spojrzawszy, wiedzieliśmy, co trzeba zrobić.

– Czy możemy poznać pani najbliższe plany? – Jurek udaje dziennikarza, który spędził tydzień pod drzwiami, aby zadać mądre pytanie. Podziało, bo mogła być trochę smutna, że nikt jej nie rozpoznał.

– Odpocząć od tego towarzystwa.

– A potem? To prawda, że postanowiła pani napisać powieść? – Podążając za wspaniałą kobietą, mijaliśmy gmatwaninę korytarzy, w których, co trzeba jej oddać, orientowała się lepiej od nas.

– Bzdura. Ja myślę, a nie wymyślam. Zresztą o czym miałabym pisać?

– O miłości. – Niespodziewane odezwanie się Dory, której Jurek nałożył na głowę swoją bejsbolówkę, sprawia, że Hannah Arendt zwalnia, a my razem z nią. – Uważa pani, że to jeszcze temat?

– Miłość jest wieczna. – W głosie Dory jest taka pewność, że wszyscy spoglądamy na nią z szacunkiem, a Arendt uśmiecha się nawet, co uznaję za duże przeżycie.

– Masz rację, dziecko, a już na pewno pierwsza miłość. Z jakiej gazety jesteście?

– „Praski Golem” – odpowiadam bez zastanowienia.

– Brzmi pretensjonalnie. Czym się tam zajmujecie, alchemią?

– Ale tylko we wtorki. – Jurek w dobrym humorze i Arendt zaszczyca go uważnym spojrzeniem. Dobrze, że nie chciał wyjść z nami na miasto, bo kto wie, czym by się to skończyło.

Jeszcze jeden zakręt i wychodzimy na dawną przychodnię lekarską, która jest dla Dory bramą do wszystkiego dobrego. Przez uchylone drzwi na ulicę wpada światło słoneczne, tworząc na posadzce jasny trójkąt. Czuję już powiew świeżego powietrza, jednak olbrzymka w fartuchu nie jest sama. Towarzyszy jej kilku mężczyzn ubranych w ciemne garnitury, podobnych do Hugo Wallace'a Weavinga z wiadomego filmu. Rozparci w krzesłach, mogli być wszystkim, nawet koszmarem sennym. Na nasz widok wstali i zaczęli się zbliżać. Z podziwem myślę o Stanach Zjednoczonych, a zwłaszcza Wschodnim Wybrzeżu, bo pani Arendt nie tylko się ich nie przestraszyła, ale nawet nie zwróciła na nich uwagi. My zależeliśmy od olbrzymia, która stanęła nam na drodze; domyśliłem się, że to pod jej fartuchem bije serce najważniejszego ranga. Spojrzała uważnie na Dorę i błysnęła ostro zakończonym zębem ze szczerego złota. Wtedy też Jurek wysunął się naprzód i z uśmiechem, który obiecywał za dużo, coś jej szepnął do ucha. Nie wiem, co to były za słowa, ale

na własne oczy widziałem, jak pod smoczyką zadrżały nogi. Objęła go ramieniem, nabrała powietrza w płuca, a my szybko przekroczyliśmy próg.

Powietrze łódzkie tak przejrzyste i świeże jak jeszcze nigdy, a ruiny wokół łnią w jesiennym słońcu tak bardzo, że Dora mruży oczy przed nieoczekiwaną jasnością, ja zresztą też, choć przecież nie wyszedłem z grobu. Ze stojącego przed wejściem czarnego buicka z amerykańską flagą na masce wysiadł szofer i otworzył drzwi przed panią Arendt. Spytała grzecznie, czy ma nas gdzieś podwieźć, a kiedy podziękowałem, pokiwała ręką na pożegnanie. Przyznaję, wielką miałem ochotę przejechać się z nią po mieście, wiedziałem jednak, że jeśli wsiałę do samochodu, gotów jestem wyzdrowieć ze strachu, a tego Dorze nie mogłem zrobić. Buick minął nas bezszelestnie i pojechał na wschód, w stronę Warszawy, na lotnisko chyba. Kiedy już odeszliśmy z Dorą na bezpieczną odległość, nie odmówiłem sobie satysfakcji i spojrzałem na dom, z którego nie każdy mógł wyjść. Dałbym głowę, że w oknie na drugim piętrze widzę chłopca, który siedział na sali przy Reginie Weinberger. Wyraźnie do nas machał. Ale zanim uniosłem rękę, aby go pozdrowić, już go nie było.

Sędzia niespodziewanie zarządził przerwę („Chyba wiecie, że nie tylko was mam na głowie. Ma być cisza, bo wszystko widzę.”), więc wykorzystwała moment i wyjęła z torebki papierosy Chaima. Gdyby się przesunęła z krzesłem do przodu, mogłaby mu je włożyć do kieszeni marynarki. Miała jednak inny plan. Usiadła na miejscu Marka, który znowu gdzieś się zawieruszył, a z jego krzesła miała już tylko trzy kroki do karku Wilskiego. Ten udawał, że czyta. Była tego pewna, bo kark nawet mu nie drgnął. Mógł też drzemać, lecz zaryzykowała, podeszła i powiedziała cicho:

– Chcę podać mężowi papierosy. Myślę, że pozbawienie go papierosów to zbyt surowa kara.

A jednak drzemał, bo wzdrygnął się i wstał zaraz.

– Bardzo chciałbym pomóc, lecz niewiele mogę.

– Kiedy szeptał, głos miał przyjemny, a nawet melodyjny. – Sama pani widzi, co to za sąd, ostateczny, można by zażartować, gdyby się człowiek nie bał.

– Dzięki panu widziałam przez okno, że sędzia pozwolił mężowi zapalić.

– Bywa łaskawy. Jednak trzeba pamiętać, że tylko on ma prawo do takich faworów. Proszę dać, spróbuję coś zrobić. – Wyciągnął rękę po papierosy. – Czy pani naprawdę nie przypomina sobie naszej rozmowy w Warszawie?

Zobaczyła, że Bornstein wskazuje na nią Chaimowi, chyba tylko po to, aby go zdenerwować. Nic jej to jednak nie obeszło.

– Teraz coś mi świta. Stołówka w Bratniaku? Czy to nie za panem oglądały się wszystkie dziewczyny?

– Wiedziała, że dużo ryzykuje, bo mógł to wziąć za drwinę, ale nie obraził się, choć na wszelki wypadek popatrzył jej w oczy. Postarała się, aby znalazł w nich tylko życzliwość.

– Panie Horbach – powiedział sędzia, który nie wiadomo kiedy pojawił się znowu. – Niech pan powie, o co chodzi, bo nie mamy za dużo czasu.

Szybko wróciła na swoje miejsce.

– Wielokrotnie składałem petycję na ręce pana prezesa w sprawie zorganizowania w getcie fabryki zegarów ściennych. Moja rodzina w Wiedniu ma w tym duże doświadczenie. Nawet nie dostałem odpowiedzi. – Mężczyzna stojący daleko od miejsca dla świadków sprawiał miłe wrażenie mimo ciemnego znamienia na czole.

– Przecież pan prezes oświadczał kilkakrotnie, że kierowanie próśb i zażaleń bezpośrednio do władz jest bezcelowe. Wszelkie pisma należy składać do specjalnej skrzynki. – Bornstein uśmiechnął się do Horbacha jak do niezbyt rozgarniętego dziecka.

– Tam też złożyłem podanie. I żadnej odpowiedzi. Z podobnym traktowaniem nigdy w życiu się nie zetknąłem. – Horbach nie dawał się zbić z tropu.

– A zastanowił się pan, czy ścienne zegary mogą się w czasie wojny do czegoś przydać?

– Gotowy jestem pogodzić się ze swoją naiwnością, ale nigdy się nie zgodzę na arogancję urzędu.

Obrońca przestał się uśmiechać. Widziała, że teraz zaatakuje z innej strony.

– Mam w takim razie pytanie. Kiedy zabierano pana z Wiednia do Łodzi, próbował pan się ukryć w skrzyni na strychu. Z tego, co wiemy, zadenuncjował pana sąsiad, niejaki Egon Holzer. Wydawało się, że pana lubi, znali się jeszcze wasi ojcowie. Dlaczego więc nie ma pan pretensji do niego, a skarży się pan na prezesa?

– Bo nie jestem na procesie Egona.

– Co racja, to racja, panie Horbach – wtrącił się sędzia. – Przyjmuję pana skargę. Widzę, że wszyscy jesteście już trochę zmęczeni. Niedługo zarządzę

przerwę nocną. Jeszcze tylko Dawid. Czy ktoś go widział na korytarzu? Jeśli nie, dawajcie pierwszego z brzegu...

Coś ciekawego zostaje w głowie na zawsze – pomyślał Marek. Od kiedy zobaczył czerwoną ciężarówkę z białymi literami, nie mógł się skupić na niczym innym. Przestał się nawet zakładać sam ze sobą, czy kolejną wezwaną osobą będzie kobieta czy mężczyzna. Siedział na krześle bokiem, przycajony niczym Zene Grey, aż zdrętwiała mu noga, na której miał się opierać, gdyby przyszło wstać nagle. Wreszcie się doczekał, bo łysy pan o smutnej twarzy, uznając, że bliskie pokrewieństwo upoważnia go do tego, podał się za swoją siostrę. Przyparty do muru, stwierdził, że w takim razie jest własnym bratem, który zresztą miał być wezwany dopiero po nim, a więc żadna korzyść z takiej zamiany. Nie chciał ustąpić, mimo że sędzia straszył go groźną miną. Na sali zapanowało zamieszanie, wołano nawet woźnych.

Skorzystał z okazji i wymknął się na korytarz. W kłębiącym się tłumie nikt nie zwracał na niego uwagi. Chodził między ludźmi, słuchał rozmów, które przeważnie były narzekaniem, i jeśli musiał się czegoś wystrzegać, to kobiet, bo jakby się zmówiły, aby go głaskać po głowie. Z daleka zobaczył piękną dziewczynę, od której pożyczał pióro. Z rumieńcem na twarzy rozmawiała z dwoma mężczyznami; kiedy weszli spóźnieni, wziął ich za kłownów. Znudziło mu się wreszcie i kiedy na korytarzu powstało małe zamieszanie, zaryzykował i przekroczył linię, której nie było, a której nikt nie ośmielał się przekraczać. Szedł bez pośpiechu, jak ktoś, kto ma dobrą przepustkę. Poskutkowało, bo nikt go nie gonił ani za nim nie krzyczał.

Znajome drzwi były otwarte, odwrócony kosz na śmieci stał tam, gdzie go zostawił. Bez wahania podciągnął się do okna, tym razem tak udanie, że już nie stał na koszu, lecz klęczał na parapecie, jedną ręką trzymając się klamki. Słońce świeciło mu prosto w oczy, lecz widział duży fragment ulicy i nie tylko najbliższej stojące drzewo, ale kilka drzew, a dokładnie trzy. Mimo że nie drgnął żaden liść, a na trotuarze nie poruszył się najmniejszy papiererek, wszystko zdawało się żyć tak prawdziwie, że jego własne życie, mimo bolących kolan, wydało mu się nierealne. Już raz rozważał podobną kwestię. Czarno-biały świat w filmie *Kościuszko pod Racławicami* wydał mu się prawdziwszy nie tylko od tego na widowni, ale potem także od tego na ulicy, gdy wracał z rodzicami do domu. Nie mógł wtedy zasnąć, zastanawiał się, kim w takim razie jest on, Marek, dla naczelnika Kościuszki.

Już po chwili zobaczył samochód. Nie czerwony tym razem, lecz czarny, ze śmiesznymi skrzydełkami z tyłu i małą flagą na masce. Z wrażenia nie dostrzegł, co to za flaga, ale i tak był szczęśliwy, jakby nie tylko Kościuszko, ale sam Tom Mix przejechał ulicą na białym rumaku. Ręką, którą trzymał się

klamki, zaczynała drętwieć, ale czekał dalej: jeśli dwa razy z tego miejsca mógł zobaczyć samochód, to dlaczego nie trzeci. Wiara została nagrodzona, bo choć auto się już nie pojawiło, to zobaczył dziewczynę, od której pożyczał pióro i która jeszcze niedawno stała na korytarzu. Nie mogło być mowy o pomyłce, obok niej szedł jeden z cyrkowców. A więc można się było wydostać do świata, który nieważne, czy prawdziwszy, ale na pewno lepszy. Nie zważając na to, że może spaść, robił wszystko, aby go zauważyli. Machał, uderzał w szybę, krzyczał nawet, i stało się, cyrkowiec go dostrzegł. W tym samym jednak momencie otworzyły się drzwi i stanęła w nich duża pani, którą już raz widział. Zaciągnęła się trzymanym w palcach papierosem i wypuściła w jego stronę chmurę dymu, zza której prawie nie było jej widać. Miał jeszcze nadzieję, że to cyrkowa sztuczka i kobieta za chwilę zniknie, ale nie, dym opadł, a ona zrobiła krok w jego stronę.

Co nakazało mi wyjść stamtąd i jeszcze wyprowadzić Dorę? Każde osłabienie umysłu ma przecież swoje granice. Jeszcze raz biorę pod uwagę omam senny, choć efekt szczypania się po przegubach wielokrotnie go wykluczył. Jedyna pociecha w tym wszystkim, że przestaję być biernym obserwatorem i wreszcie coś ode mnie zależy. Mogę iść w lewo, w prawo lub przed siebie, co we śnie lub chorobie głowy nieczęsto się zdarza. Zanim ruszam, sprawdzam dyskretnie, czy majak nadal gra ze mną uczciwie. Trudno mu coś zarzucić, bo koperta z pieniędzmi jakby nawet zgrubiała.

Nie wiedziałem, gdzie jest najbliższy postój, od czego jednak przepięknie filmowa narracja, w której wystarczy zamachać rękami lub gwizdnąć, a taksówka nadjedzie, choćby Broadway był nie wiadomo jak zapchany. Nie gwizdnąłem ze względu na Dorę, lecz wystarczyło, że podniosłem rękę. Samochód zahamował z piskiem opon. Taksówkarza znałem z dawnych lat, każdy kurs zaczynał od przeczytania swojego wiersza, i to zawsze innego. Dopiero przed moim wyjazdem do Wrocławia przerzucił się na prozę hipotetyczną i niczym Borges sugerował tylko możliwe fabuły.

– Pan się chyba domyśla, że moje życie to gotowa powieść? Jakbym panu opowiedział kilka kawałków, a pan by to opisał, obaj bylibyśmy bogaci. W wojsku mieliśmy takiego kaprała, co nie tylko był głupkiem, ale jeszcze Łódź reprezentował. Od czego jednak moja głowa...

Teraz pan, Zenon chyba, nawet nie pyta, dokąd jechać, tylko pruje przed siebie, co już graniczy z cudem, bo we wstecznym lusterku widzę jego oczy wpatrujące się w Dorę niczym w obraz. Im dłużej trwa jazda, tym lepiej widzę, jak bardzo mylił się słynny reżyser z Hollywoodu, twierdząc, że Łódź to miasto ludzi przegranych, którzy bohatercko nie przyjmują tego do wiadomości.



Niechby im się, mądrała, przyjrzał jak ja teraz, a zobaczyłby, że sam jest przegrany.

Wreszcie Dora zaczyna się nudzić, każe więc zatrzymać przy domu na Przejździe, w którym jako dzieci mieszkali bracia Brandysowie, przyszli pisarze. Ich przodek, słynny lekarz, jak i Dora, przybył do Polski z Czech, tyle że nie do getta, ale wezwany do łóża króla Władysława IV Wazy. Powinna się więc cieszyć, że jej krajana przypomnę. Jako zawołany tropiciel śladów po czymś, czego nie ma, nakręciłem niegdyś kilka krótkich filmów pod zbiorczym tytułem *Złe miasto*. Znak zapytania miał śmiało sugerować, że to niezasłużona opinia. Spotykając się z ludźmi, którzy mieszkali w Łodzi przed wojną, chciałem się od nich dowiedzieć, jakim miastem była wtedy i co się z nią stało, kiedy do pięknych i niepięknych kamienic wprowadzili się mieszkańcy okolicznych wiosek. W filmie o sobie właśnie Marian Brandys powiedział do nowych ludzi w mieście: „Chciałbym wierzyć, że teraz, kiedy Łódź zamieszkują zgoła inni mieszkańcy, duch tolerancji wciąż jest tutaj obecny”. Mimo grzecznej ufności pana Mariana, dom Brandysów nie uczynił na Dorze wielkiego wrażenia i nie chciała nawet wejść na klatkę schodową, chociaż zapewniałem, że ładne z niej widać podwórko.

Poszliśmy więc wzdłuż placu, na którym, jak opowiadał mi ojciec, jeździło się przed wojną na łyżwach, i powoli zbliżaliśmy się do najśłynniejszej ulicy w mieście. Trzeba było przejść obok kina i tego trochę się obawiałem, pamiętając, że już wcześniej piękny budynek umierał niczym sowa uderzona kamieniem przez chama. Przechowuję świadectwo z szóstej klasy, w którym przypisano mi trzysta godzin nieusprawiedliwionej absencji. Jeżeli słusznie, to jako dwunastolatek mogłem je spędzić tylko tutaj, w moim własnym kinie Paradiso. Dora na szczęście nie dostrzegła śladów kina ani nawet sowy na nim, bo z ciekawością wpatrywała się w chmarę ludzi na coraz bliższej Piotrkowskiej. Trzeba mi było omal dotknąć słynnej niegdyś ulicy, abym zrozumiał, jaką nieostrożnością, a przede wszystkim nietaktem będzie wprowadzenie Dory między kolorowo ubranych i kto wie, czy nie mądrze rozprawiających, ludzi. Od czego jednak kobieca intuicja: gdzieś o trzydzieści kroków od głównego nurtu ulicy Dora zatrzymała się nagle.

– Znasz ulicę Spacerową? Mieszkałam tam, zanim nas wywieźli. Byłby to duży kłopot, gdybyśmy tam poszli?

Jakże skwapliwie korzystam z okazji i nie wiadomo kiedy i jak znajdujemy się w dawnym getcie, na ulicy o nazwie zwodniczej, bo spacerowanie po niej trudno sobie wyobrazić. Wiele się – myślę – nie zmieniło, tyle że bruk i domy starsze o sześćdziesiąt lat. W bramach chłopaki, którym kaptury i spodnie pozwalałyby czuć się swojsko w każdym miejscu świata. Byli wolni, mogli iść, dokąd chcieli, a nawet gdyby się puścili pieszo, dojść w

dwadzieścia minut do Piotrkowskiej, a przecież nie wyglądali na zadowolonych z tego powodu. Dora ze swoją jasną, piękną twarzą, w staroświeckiej sukni sprawiała tu trochę niestosowne wrażenie, jednak nie padło w naszą stronę żadne złe słowo, ba, próbowali nawet udawać, że nic ich nie obchodzimy. Wybrała, trzeba przyznać, najbrzydszą bramę i bez wahania poprowadziła mnie prosto między czterech młodzieńców, którzy na szczęście grzecznie się rozstąpili.

Klatka schodowa przerażająco smutna, nawet jak na chorobę z kategorii ciężkich. Stęchły zapach kapusty, a przede wszystkim biedy, mimo że na podwórku jakieś samochody. Dorze to nie przeszkadzało, wchodziła po schodach szybko, a zwolniła dopiero przed drzwiami na samej górze, które ostatni raz mogły być malowane na rozkaz Rumkowskiego. Wiedziałem, czego ode mnie oczekuje. Jednak starsza kobieta, która usłyszała ruch na schodach, otworzyła, zanim zdążyłem zapukać. Oświadczyła, że nic nie kupuje, ale drzwi nie zamknęła. Opowiedziałem o kuzynce, której rodzice mieszkali tu w wojnę, i poprosiłem, aby pozwoliła nam chwilę posiedzieć, najlepiej przy oknie.

– Myślicie, kochaniutcy, że głupia jestem? Ja się w tym domu urodziłam, i to w samą wojnę, bo w czterdziestym czwartym, kiedy rodzice dostali od Niemców przydział na to mieszkanie. Idźcie sobie, bo zawołam kogo trzeba... – Zatrzasnęła nam drzwi przed nosem, ale nie gwałtownie, więc pewnie i bez złości. Nie było też słyhać, aby poszła w głąb mieszkania. Schodziliśmy po schodach wolno, a Dora zatrzymywała się przed każdymi drzwiami.

– Tu mieszkał pan Ciechocki... Poznaje po klamce. Taki był dobry, że chociaż sam umierał z głodu, to jeszcze znosił jedzenie dziecku, które Peichelowie ukryli w piwnicy. W czasie wywózki schował się w skrzyni na węgiel. Powinny być na niej jeszcze dziury po kulach...

Nie mogłem tego słuchać. Poprosiłem, aby usiadła na parapecie, a sam zszedłem do bramy. Kiedy wróciłem, wpatrywała się w okno po drugiej stronie podwórka.

Może nie była to duma, ale na pewno poczuł zadowolenie, kiedy wszystkie oczy skierowały się na niego. Spodziewano się pewnie kogoś dorosłego, a to tylko on, Marek, co prawda trzymany za kołnier przez kobietę wyższą od najwyższego mężczyzny. Niestosowność tego gestu pierwszy zauważył sędzia.

– Dziękujemy za gorliwość, pani Stanisłavo, jednak proszę grzeczniej traktować tego chłopca. Jego ciekawość dobrze o nim świadczy. A jeśli jeszcze raz zobaczę cię z papierosem na sali sądowej, to pierwsza dowiesz się, moja

panno, czym jest mój gniew. – Sędzia podniósł głos bardziej dla wywołania efektu niż przestraszenia kogokolwiek, ale i tak ściany się lekko zatrzęsły.

Przez twarz kobiety przemknęło kilka buntowniczych min. Zwyciężyła jednak dyscyplina, bo skłoniła się i nawet pogłaskała go po głowie.

– Siadaj na swoim miejscu – powiedział pogodnie sędzia. – A my skorzystamy z twojej obecności i poprosimy kogoś bardzo ważnego...

Nie miał pretensji do dużej kobiety. Nie od dzisiaj wiedział, że najważniejsze jest nie dać się schwytać, i jeżeli chęć walenia w szybę była silniejsza od ostrożności, to nic dziwnego, że przegrał. Przy następnej próbie postanowił zacząć od otworzenia okna, żeby poszukać najbliższej rynny, jak to zrobił, kiedy do sierocińca przyszedli wojskowi. Rynna nie była gorsza od drzewa, a jeśli trzymała się mocno, to nawet wolał rynnę. Przestał o tym myśleć, kiedy przed pulpitem dla świadków zobaczył szesnastolatka może, który, sądząc po ciszy na sali, słuchany był niczym dorosły, i to mądry. Nie chciałby jednak za kilka lat być tak chudy i mieć płonące od gorączki oczy.

– Panie Dawidzie, proszę przypomnieć nam, jak pan wspominał otwarcie przez prezesa Rumkowskiego pensjonatu dla zasłużonych pracowników gminy, w którym wielu żyło się lepiej niż przed wojną. – Prokurator mówił tak grzecznie, jakby urodził się adwokatem.

– Uważałem, że to okropny wrzód i plama na cielsku gminy i że w przyszłości nie znajdzie przebaczenia. – Chłopak powiedział to z przekonaniem, a Marek poczuł głaskanie po dłoni, jakby pani Regina chciała go pocieszyć. – Wkrótce potem dowiedzieliśmy się, że powstaje w getcie sąd doraźny z karą śmierci za tak zwane przestępstwa polityczne: słuchanie radia, rozpowszechnianie fałszywych wieści. Napisałem więc, że lepszego od Rumkowskiego nie mogli sobie Niemcy znaleźć.

Na sali panowała cisza, a kilka osób otworzyło nawet usta z wrażenia.

– Mniej więcej rok później, bo w czerwcu czterdziestego drugiego roku, jeszcze przed wysłaniem na śmierć dzieci i starców, wspominał pan, że kiedy pana bliscy jedli już łupiny, dygnitarze objadali się jak nigdy, i że w getcie są ludzie, którzy mają wcale niezłe mająteczki na czas powojenny.

– Tak właśnie było. Instruktorzy, policja i inne bandy nierobów otrzymywali coraz lepsze talony, a reszta ludności zdychała z głodu.

Marek pomyślał, że pięknie jest być młodym, kiedy się potrafi zmusić dorosłych do słuchania.

– Czy nadal podtrzymuje pan swój sąd o panu prezesie?

– W całej rozciągłości. – W głosie Dawida nie było śladu zagniewania, co sprawiało jeszcze większe wrażenie.

– Nie mam więcej pytań. – Prokurator zadowolony zatarł ręce. – A przy okazji chcę panu podziękować, panie Dawidzie, za pański pamiętnik, którego nauczyłem się omalże na pamięć...

– Proszę wszystkich o uwagę, oskarżenie pokazuje swoją ludzką twarz! – wykrzyknął obrońca i podszedł do Dawida. – Proszę mi wierzyć, ja także bardzo pana cenię. Przypadła mi jednak rola obrońcy pana prezesa i muszę z pańskich spostrzeżeń, jakże błyskotliwych jak na chłopca w tym wieku, wybrać te, z których wynika pański szacunek do jego działań. Napisał pan bodaj w sierpniu czterdziestego roku, że getto rozwija się wspaniale. Powstaje ogromna ilość nowych szopów i fabryk, które wraz z istniejącymi tworzą, jak to żartobliwie nazywano, Żydowski Okręg Przemysłowy. Wylicza pan te wszystkie fabryczki stworzone przez pana prezesa, wspomina, że w jednej z nich znalazł zajęcie pana ojciec i że tysiące ludzi znajduje zatrudnienie, i wszystko zdaje się iść ku lepszemu...

– Napisałem: zdawałoby się iść ku lepszemu, gdyby nie ta wcale się niezmniejszająca śmiertelność i głód. – Dawid nie wydawał się speszony.

– No właśnie, ten przekłety głód towarzyszący życiu w getcie i zabierający tyle istnień ludzkich. Kuzynka pańskiej mamy, której udało się tu przedostać z Warszawy, opowiedziała, że na skutek handlu prywatnego, szmuglu i większej swobody wytworzyła się tam specyficzna atmosfera wojenna, w której człowiek obrotny i sprytny zarabia tysiące i może żyć jak król. Ale tysiące ludzi umiera na ulicach i nie zostaje pogrzebanych, co w Łodzi jest już doskonale zorganizowane. W pańskim przytoczeniu jej słów zauważam podziw dla służb porządkowych w łódzkim getcie, a jednocześnie żal, że pan prezes nie pozwala bogacić się szmuglerom i spryciarzom. Poznaliśmy pańskie szlachetne poglądy, proszę mi więc wytłumaczyć, czy nie sprawiedliwszy jest wspólny głód z nadzieją na przeżycie od królewskiego życia spryciarzy.

Dawid zastanowił się, chcąc zapewne odpowiedzieć z największą rozwagą.

– Na pewno jest sprawiedliwszy. Jednak u nas nie istniała sprawiedliwość głodu. Wąska grupa obżerała się dzięki przywilejom nadanym z łaski pana prezesa.

Obrońca wysłuchał tych słów z przechyloną głową, co miało znamionować najwyższą uwagę, potem pomyślał chwilę i powiedział:

– Rozumiem, że tak to wyglądało z dołu piramidy, jednak chyba niepotrzebnie dewaluuje pan pracę fachowców, którzy tworzyli te państwowe fabryczki i głowili się, jak zrobić coś z niczego. To przecież najbardziej

wartościowa kadra, z pomocą której pan prezes stworzył swoje dzieło. Nie uważa pan, że lepsze ich opłacanie było czymś normalnym?

– To właśnie uważam za najbardziej demoralizujące i złe. W sytuacji, w jakiej się znaleźliśmy, każdy powinien dawać z siebie to, co umie najlepiej, i nieważne, czy chodzi o przyszcycie guzika, czy o prowadzenie ministerstwa finansów. To niewola i upokorzenie, a nie zwyczajny świat. Dodatkowa zupa, zgoda, ale nie tak obrażający każdego kontrast. – Dawid obstawał przy swoim.

– Szanuję to idealistyczne myślenie, ale dam panu przykład, który pewnie go nie podważy, ale może chociaż nadweręży. Zgodzi się pan ze mną, że w dającym choćby szansę przetrwania państwie trzeba karać złodziei, fałszerzy pieniędzy, nie będę wyliczał, kogo tam jeszcze. Mam tu na myśli zwykłą praworządność. Myśli pan, że ktokolwiek chciałby być policjantem, gdyby nie dobra zapłata? Zgodziłby się pan być policjantem?

– Każdy by się zgodził, przecież każda posada to jedzenie, a więc życie.

– A może pan prezes chciał, aby dobrze opłacany policjant był uczciwym policjantem? Zostawmy jednak sprawy nierównego podziału dóbr, a przejdźmy do tematu tak bliskiego panu. Był pan wzorowym uczniem, udzielał licznych korepetycji, samemu ucząc się trzech języków...

– Do czasu, bo później z głodu nie mogłem nawet czytać – przerwał mu Dawid.

– Zostawmy to na później. Skończył pan w getcie gimnazjum?

– Tak.

– Napisał pan: „W szkole rozpoczęły się egzaminy maturalne. To już druga matura w getcie. Naturalnie, że jak i w zeszłym roku dla maturzystów naszykował Rumkowski posady. Tego, zdaje się, i przed wojną nie bywało. Szkoda tylko, że uniwersytetu nie ma”. Można dopatrywać się pewnej ironii w ostatnim zdaniu, ale nie wiem, czy się pan orientuje, że w tym samym czasie w pańskim mieście Łodzi poza szkołami zawodowymi nie istniało już nauczanie dla Polaków.

– Nie wiedziałem o tym.

– Proszę też pamiętać, że wśród czterdziestu pięciu szkół mieliśmy szkoły dla głuchoniemych, dla dzieci niezbyt rozwiniętych, a nawet dla młodocianych przestępców. A szkoły muzyczna albo przemysłowa? Czy to, że istniały tak krótko, było winą pana prezesa? A może jednak osiągnięciem?

– Patrząc z perspektywy człowieka za drutami, na pewno miał się czym pochwalić. Ale też wiem, że moi koledzy w Warszawie jeszcze w czterdziestym

pierwszym także się uczyli. Więc może to nie całkiem zasługa pana Rumkowskiego, ale po prostu ówczesna polityka Niemców.

– Opowiada pan o tej Warszawie jak o ziemi obiecanej. Wspomina pan kolegę Stefka Kałuszynera, który w czerwcu, pierwszego dnia po dostaniu się do getta w Warszawie, tak się objadł, że przez tydzień leżał z gorączką. Píše pan: „Lecz z pewnością poczuł się syty, czego ja od dwóch lat nie doświadczyłem”.

– Tak właśnie było.

– W takim razie pozwoli pan, że poproszę pańskiego kolegę, aby zechciał powiedzieć dwa słowa. Panie Kałuszyner, czy może pan podejść?

Trzeba przyznać, że obrońca zaskoczył wszystkich. Nawet sędzia podniósł głowę i przyglądał się młodemu mężczyźnie, a Marek aż podskoczył z wrażenia, bo chłopak, choć w podartej marynarce, miał za paskiem spodni rewolwer. Pewnie nienabity, bo przecież inaczej nie wpuściliby go na salę, ale zawsze. Kałuszyner, nie zważając na sądowe obyczaje, podszedł do Dawida. Uścisnęli się z pewnym niedowierzaniem.

– Wiemy o pana bohaterstwie, wiemy o ostatnim naboju... – zaczął obrońca.

– Nie wszyscy, niech opowiada! Prosimy! – rozległy się zachęcające okrzyki. Marek poczuł nawet, że ma gorące uszy, a było tak zawsze, kiedy czegoś bardzo pragnął.

– Drodzy mojemu sercu, że was tak nazwę na pocieszenie – powiedział sędzia – pan obrońca nie uzgadniał ze mną obecności tego świadka, o co zresztą nie mam do niego pretensji. Pan Stefan i jego bohaterscy przyjaciele jeszcze nie raz opowiedzą nam swoją historię. Teraz jednak niech bunkier na Milej w Warszawie nie przysłoni nam sprawy, dla której się zebraliśmy. Bardzo więc proszę o pytania mające związek z łódzką historią.

– Czy kiedy pańskim rodzicom i panu udało się wyjechać do Warszawy, był pan z tego zadowolony?

– Byłem szczęśliwy, że wydostaliśmy się z folwarku tego człowieka. – Marek zobaczył, że Stefan nie boi się spojrzeć na pana prezesa, który z kolei odwraca od niego głowę.

– Pół roku później getto w Warszawie przestało istnieć.

– Rodzice nie mogli tego przewidzieć. Żałuję, że nie udało nam się wyjechać wcześniej.

– Może jednak gdyby zostali w Łodzi, żyliby dłużej. Nasze getto głodne, bo głodne, jednak istniało jeszcze prawie dwa lata. – obrońca szukał wzrokiem choćby śladu poparcia dla swoich słów.

– Nie mogę mówić za rodziców. Jeżeli chodzi o mnie, to sam fakt, że mogłem walczyć, był dla mnie czymś ważniejszym od życia.

– Pańska chęć walki była chwalebna, lecz proszę wziąć pod uwagę, że tutaj uratowało się trochę ludzi. Bardzo dziękuję, że pofatygował się pan do nas.

Krótki uścisk dłoni z Dawidem i Stefan Kałuszyner zniknął tak szybko, jak się zjawiał. Wszyscy byli pod takim wrażeniem, że nikt nie powiedział słowa. obrońca chwilę patrzył za nim, a potem przeniósł wzrok na Dawida.

– W takim razie spytam raz jeszcze. Czy wiedząc o tym, co stanie się z ludźmi, którym udało się znaleźć w Warszawie, tak samo cieszyłby się pan z tego, że mogą się najeść?

– Pan zdaje się nie wiedzieć, co to głód. Może to pan w getcie rozdzielał żywność innym? – Dawid po raz pierwszy trochę się zdenerwował. – I może dlatego zgodził się pan bronić prezesa? Ja, aby się wreszcie najeść, gotowy byłbym zapłacić za to życiem, i to od razu, po ostatnim kęsie...

– Bardzo zaboląły mnie pańskie słowa. – obrońca wyglądał na dotkniętego. – Gdyby pan wiedział, co mnie spotkało w getcie, śmierć w łóżku wydałaby się panu szczęśliwą okolicznością. Nie gniewam się, bo wiem, co to rozgoryczenie. Proszę tylko o przemyślenie następującej kwestii. Czy to pan prezes Rumkowski był winien głodu? Czy tworząc swoje małe, wzorowo prowadzone państwo, nie mógł mieć nadziei, że nas uratuje? Przecież wszyscy żyliśmy nadzieją.

– Jestem za młody, aby siedzieć w głowie pana prezesa, jednak myślę, że nadzieja nie zwalnia od pewnej przyzwoitości. Czy wyobraża pan sobie Mojżesza, który każe rzucać żydowskie dzieci pod koła egipskich rydwanów, aby opóźnić pościg za wychodzącymi z Egiptu?

– Obawiam się, że mogę to sobie wyobrazić... – obrońca wypowiedział te słowa cicho, ale zabrzmiały jak wystrzał.

Na sali rozległy się krzyki, które sędzia uciszył podniesieniem palca.

– A teraz nie pozostaje mi nic innego jak podziękować, że zechciał pan do nas przyjść. Proszę pamiętać, że rozważam pańskie słowa o przyzwoitości. – obrońca podał Dawidowi rękę.

– Mam jeszcze małe pytanie, jeśli można. – Oskarżyciel przypomniał sobie o czymś. – Kiedy rozeszła się wiadomość, że do Łodzi przybywają Żydzi z

Wiednia, napisał pan: „To podobno sami chrześcijanie i hitlerowcy, którym udowodniono babki Żydówki. Jeszcze tu w getcie związek antysemicki założą”. Co pan miał na myśli?

– Dałem tym chyba wyraz powszechnych obaw mieszkańców getta przed światem innym od naszego. Już kiedy zobaczyliśmy, jak są ubrani, jakie mają walizy... Po prostu wszyscy wyglądali jak bogacze, a byli tylko normalnymi ludźmi z cywilizowanych krajów. Zakasują nas chyba całkiem, pomyślałem sobie wtedy...

– Czy ten świat okazał się taki straszny?

– Przeciwnie. Chodziłem potem do chłopaków z Czech i Luksemburga. Byli inteligentni, czyści, sympatyczni i otwarci. Niezwykle przyjemnie się z nimi przebywało. Najbardziej dziwili się tutejszemu brudowi i obawiali chorób. Zobaczyłem więc ten inny świat i żałuję, że nie było mi dane poznać go bliżej. Świat ludzi, którzy raczej nie chcieliby jechać do Palestyny z prezesem Rumkowskim.

– Czy myśli pan, że to właśnie niechęć prezesa do tych ludzi sprawiła, że bez wahania umieścił przybyszów na swojej liście? – spytał prokurator z miną doskonale obojętną.

– Tego rodzaju oceny nie należą do świadka – przerwał sędzia i wstał. – Zresztą świadek nie znał osobiście człowieka, którego tu osądzamy, a więc na pewno nie chciałby się wypowiadać o jego chęciach czy niechęciach. A teraz pozwólcie, że ostatnie słowo będzie należało do mnie. Powiem krótko: byłbym dumny, gdybym mógł być twoim ojcem, Dawidzie Sierakowiaku. Nie mogę, bo masz już ojca, i to bardzo porządnego człowieka. Dlatego pozwól, że chociaż głośno nazwę cię swoim dzieckiem, a wiedz, że nie każdego miałbym ochotę tak nazwać...

– Tylko nie rozgłaszaj tego za bardzo, chłopcze! – krzyknął ktoś z sali i wszyscy się roześmieli.

– Panie Rubin, dobrze, że pan jeszcze potrafi być wesoły – powiedział sędzia bez złości. – A ciebie, Dawidzie, zapewniam o jednym. Na wieki pozostaniesz wzorem, i to nie tylko żydowskiego dziecka.

Wszystkie myśli Marka krążyły wokół jednego. Czym mógłby sobie zasłużyć w przyszłości na podobne słowa? Nic mu nie przychodziło do głowy, więc skupił się na tym, jak się zachowa, jeśli je kiedyś usłyszy. Chciałby, jak Dawid, być szczerze zdziwiony, dobrze byłoby także odwrócić się przy samych drzwiach i otworzyć usta, jakby z chęcią powiedzenia czegoś jeszcze. Rozmarzył się tak bardzo, że nie usłyszał sędziego, który ogłosił nocną przerwę, i pani Regina musiała pociągnąć go do wyjścia.



Trudno uwierzyć, ale chłopak, z którym się umówiłem, dotrzymał słowa. Kiedy się tylko ściemniło, poszliśmy na róg Młynarskiej; czekał już i z daleka wymachiwał kluczem. Miał na imię Patryk i sprawiał wrażenie kogoś, kto bez kaptura mógłby wiele osiągnąć.

– Babka poszła spać do matki. I dobrze, bo się wreszcie nagadają...

Weszliśmy do bramy. Tym razem jego koledzy patrzyli na nas z nieukrywaniem apetytem. Przeszło mi nawet przez myśl, że może za dużo mu zapłaciłem i poszła o tym legenda, z drugiej jednak strony nie było jeszcze późno i mogli być przed kolacją. Na górze szybko otworzył drzwi, zapalił w mieszkaniu światło i wprowadził nas do środka. Pokój nie był duży, a wrażenie to potęgował jeszcze skośny sufit. Wersalka, bufet ze szklaną nadstawką, szafa z czasów Gomułki, trochę późniejszy telewizor i dużo serwetek na każdym sprzęcie. Trzeba przyznać, że wszystko to niezwykle czyste. Dora natychmiast wyjrzała przez uchylone okno. Wręczyłem Patrykowi drugą część zapłaty. Przeliczył dwa razy, a miał co liczyć. Powiedział, że możemy pobyć do rana, i schował pieniądze do kieszeni. Nie wiem dlaczego, bo nie była to moja sprawa, ale poprosiłem, aby w rozliczeniu nie zapomniał o babci.

– A jak. Stratna nie będzie. Potrzeba coś jeszcze? – zapytał.

Nie odpowiedzieliśmy, on jednak nie wychodził. Zainteresował się kroplą wody kapiącą z kuchennego kranu; obawiałem się już, że na moich oczach zacznie wymieniać uszczelkę, lecz był tylko spragniony. Z babcinego słoja nalał sobie soku, dobrze go z wodą wymieszał i pił długo małymi łyčzkami. Wypił w końcu i dalej nie myślał łapać za klamkę. Stęskniony, bo dawno u babci nie był – osądziłem chłopaka surowo, jednak kiedy uważnie mu się przyjrzałem, zrozumiałem, że niespodziewany uśmiech fortuny nie był dla niego najważniejszy. Chciał jeszcze zgłębić, jak mogło do niego dojść, a już najbardziej, co się za nim kryło. Sam małe miałem o tym pojęcie, ale trud, który sobie zadał dla zrozumienia niepojętej sytuacji, dobrze o nim świadczył.

– Ale nic babce nie podpierdolicie? – spytał wreszcie.

– Miałaby coś do podpierdolenia? – zainteresowałem się grzecznie. Roześmiał się tylko i wyszedł uspokojony.

– O co pytał? – Dora odwróciła wreszcie głowę od okna.

– Czy lubimy Brahmsa, bo on za nim przepada.

Przyjemnie było patrzeć, jak teraz ona zamyśla się głęboko.

– Ciekawe... bo wyglądał raczej na miłośnika jazz-bandu.

Mama nigdy nie dawała się nabrać, kiedy udawał, że śpi, a tak naprawdę chciał jeszcze poczytać przy latarce. Siadała wtedy na brzegu łóżka i trzymając go za rękę, zostawała tak długo, aż zasnął. Kiedy umarła, ojciec nie umiał przypilnować nawet siebie, aż w końcu pomylił drogę do domu i wyszedł prosto na strzał z budki strażniczej. W sierocińcu kontrolowano sypialnie, jednak Marek umiał już udawać sen tak dobrze, że nigdy nie zatrzymano się przy jego łóżku. Teraz też udawał, ale przez delikatność, bo wiedział, że pani Regina, którą lubił, bo nie kazała mu nazywać się mamą, będzie się rozbierać. Usłyszał tylko szorstki szelest zdejmowanego żakietu, a potem spódnicy, i czekał na jedwabisty szmer halki. Zamiast niego oboje usłyszeli delikatne pukanie do drzwi. Nie wiedział, czy może otworzyć oczy, więc udał po prostu, że go to nie obudziło. Pani Regina podeszła do drzwi, a kiedy pukanie powtórzyło się, spytała, o co chodzi.

– Chcę porozmawiać w ważnej dla pani sprawie. – Głos na pewno należał do mężczyzny, lecz ze swojego łóżka Marek nie rozpoznał, czy to ktoś znajomy.

– Nie mogę otworzyć, bo jesteśmy zamknięci. – Pani Regina powiedziała to, co i on by powiedział.

– A chciałaby pani otworzyć?

– Tak, jeżeli to ważna sprawa...

– W takim razie będę czekał w restauracji...

Zaraz po tych słowach usłyszał odgłos przekręcanego klucza, a potem szelest wkładanego przez panią Reginę ubrania. Był ciekawy, czy spojrzy na niego przed wyjściem, ale że nie mógł tego sprawdzić, po prostu uwierzył, że spojrzała. Kiedy zamknęła za sobą drzwi, policzył do stu i zerwał się na równe nogi. Dawno nie ubierał się tak szybko i nie poruszał tak cicho. Na pewno przypominał Gwiżdżącego Dana, bohatera książki, na której czytaniu dwukrotnie został przyłapany w sierocińcu, i gdyby nie wstawiennictwo siostry Heleny, miałby kłopoty. To po tej książce postanowił zostać pisarzem i jak jej autor mieć co najmniej pięć różnych pseudonimów, z których jeden już sobie wybrał. Teraz nie myślał o pisaniu, coraz bardziej upodabniał się do Dana, a jego ruchy stały się powściągliwe i celowe. Po prostu był wysokim blondynem z koltem u pasa.

Ostrożnie wyjrzał na korytarz wyłożony kokosowym chodnikiem. Wszędzie panowała cisza, a światło padało z jednej pomalowanej na czerwono żarówki, wskazującej wyjście na schody. Bezszelestnie podszedł do pokoju człowieka, któremu wszystko zawdzięczał. Delikatnie nacisnął klamkę. Drzwi były zamknięte, ale i tak otrzymał swoją nagrodę, bo usłyszał coś, co wydało mu się muzyką. Rytmiczne chrapanie: zduszony bas pnący się w górę i zakończony niemalże świstem. Tak mógł chrapać tylko człowiek niewinny. To

przesłanie jakby dodało Markowi skrzydeł. Pobiegnął lekko w stronę schodów, potem skręcił w korytarz z pięknymi obrazami i stanął przed wejściem do schowka na szczotki. Jeszcze nigdy nie naciskał klamki z taką nadzieją... i stało się. Otworzyły się nie tylko pierwsze drzwi, ale i drugie, pozwalające zapomnieć o szczotkach.

Dobiegł do korytarzy sądowych i nawet się nie zadyszał. Puste i słabo oświetlone, wydały się bezpieczne i miłe. Drzwi do toalety nie były zamknięte, wszedł więc do środka i natychmiast wspiał się na parapet. Od najbliższej latarni dzieliła go spora odległość, ale widział wszystko, a najwyraźniej drzewo, którego liście poruszały się na nocnym wietrze. Tego właśnie ruchu najbardziej liściom pozazdrościł. Wystarczyło otworzyć okno i poszukać wzrokiem najbliższej rynny. Jeżeli będzie blisko, dojdzie do niej po gzymsie, a jeśli daleko, spróbuje fruwania. W Warszawie niejaki Szymek ukrywał się na strychu po aryjskiej stronie, a kiedy wybuchło powstanie w getcie, pofrunął w jego stronę, i to z granatem w ręce. Marek nie pamiętał, kto mu o tym opowiadał, lecz teraz nie było to ważne. Ostrożnie, aby nie spaść z parapetu, złapał za klamkę. Dała się łatwo przekręcić, okno jednak nawet nie drgnęło. Wtedy dostrzegł potężne gwoździe, którymi było przybite. Od dawna nauczył się nie okazywać humorów i kto wie, czy nie dlatego polecono go w sierocińcu panu prezesowi. Jednak kiedy zeskoczył z parapetu, z całej siły kopnął kosz, który tak dobrze służył mu za drabinę.

Nie chciał wracać do łóżka, szedł więc przed siebie, pogwizdując cicho, i łapał za klamki mijanych drzwi. Co dziwne, tylko drzwi do sali, w której sadzono pana prezesa, były otwarte. Z wrażenia przestał gwizdać i ostrożnie zajrzał do środka. Nie zobaczył nikogo. Ostrożnie, aby się nie potknąć, podszedł do swojego krzesła i przysiadłszy na nim, czekał, czy ktoś to zauważy. Ośmielony ciszą wstał i zbliżył się do stolika sędziego. Przyszło mu do głowy, aby podrzeć papiery, nad którymi sędzia często się pochylał. Na stoliku nic jednak nie leżało, za to rzutnik stał na swoim miejscu. Zdjęcia gdzieś pochowano, ale i tak wiedział, co zrobić. Wykręcił z projektora żarówkę i wsunął ją zaraz pod poduszkę leżącą na jednym z krzeseł. Wyobraził sobie minę pana oskarżyciela, kiedy na niej usiadzie, i pomyślał, że czas schronić się w górach Nevady.

Nie byłby jednak prawdziwym kowbojem, gdyby nie przypomniał sobie o sali jadalnej, z której także mogło być wyjście na stronę bezkresnych prerii i poruszających się na wietrze liści. Poszedł tam bez pośpiechu, prowadząc konia za uzdę. Z daleka, w nikłym świetle zobaczył ludzkie istoty, i nie byli to Indianie. Przy jednym ze stolików siedziała pani Regina, a pochylony mężczyzna całował właśnie jej dłoń. Rozpoznał oskarżyciela. Schowana pod poduszką żarówka jeszcze bardziej go ucieszyła. Pani Regina wstała, nie namyślając się więc długo, popędził konia w stronę schowka na szczotki, a

stamtąd prosto do łóżka. Kiedy weszła do pokoju i zaczęła się rozbierać, Gwiżdżący Dan już spał, i to bez udawania.

Nie wypada rozglądać się po cudzym mieszkaniu, ale cóż było robić, kiedy Dora tkwiła przy oknie i wpatrywała się w dom naprzeciwko. Z uwagą obejrzałem portrety dwóch papieży, z których Polak przeważał formatem i szerokością ramki, i pochyliłem się nad nadstawką kredensu, aby obejrzyć książki. Było ich siedem, co mogło znaczyć, że starsza pani pod szczęśliwą urodziła się gwiazdą. Trzy tomy *Krystyny, córki Lawransa*, Mała Encyklopedia Zdrowia i po mężu zapewne odziedziczony podręcznik skrawania. Pięknie o niej świadczyło, że miała go w poszanowaniu. Szóstą książkę obłożono w szary papier, a więc musiała się zniszczyć od częstego czytania. Obstawilem w myśli trzy tytuły i aby się sprawdzić, ostrożnie odsunąłem szybę w kredensie. Ostrożnie, nie znaczyło, nie przewracając słonia z grupą dzieci. Spłoszony spojrzałem na Dorę, ale niczego nie zauważyła. Wyglądała na zadowoloną, bo w którymś oknie rozpoznała z daleka kredens kuchenny służący kiedyś rodzinie Singerów.

– A tam, gdzie się teraz zapaliło światło, miałam koleżankę. Studiowała w Heidelbergu i była strasznie przemądrzała. Ale lubiłam ją... – Wiedziałem, co będzie dalej, bo los Hany Vantuchovej był mi znany z opowieści mojej przyjaciółki Violi Fischerovej z Pragi. Jednak nie przerywałem Dorze, bo teraz ona była najważniejsza, co nie znaczy, że nie wolałbym zagłuszyć w myślach relacji o tym, jak Hana, kiedy jej matka umarła z głodu, rzuciła się z okna. Piętra koślawych kamieniczek nie były wysokie i mogła się długo męczyć. Nie chciałem nawet słyszeć słynnego już zdania, które powiedziała do pochylającego się nad nią żołdaka. Dennis Hopper, który w *Prawdziwym romansie*, aby nie zdradzić syna i bez tortur dostać upragnioną kulę, mówi Christopherowi Walkenowi, skąd się wzięli Sycylijczycy, wydawał się przy Hanie krasomówcą. Ale to ona została zastrzelona, zanim postawiła kropkę.

Porcelanowe słonie dały się ustawić w kolejności od najmłodszego i mogłem już sięgnąć po obłożoną w papier książkę. Nie trafiłem jednak z tytułem, nawet nie byłem blisko. Kiedy ją odkładałem, siódma, najcieńsza książka odsłoniła się trochę i dopiero teraz dostrzegłem, że swoim welinowym grzbietem nie bardzo pasuje do koleżanek.

– *Une saison en enfer!* – Dora, której brak żywej reakcji na wszystko, co jej w Łodzi pokazywałem, trochę mnie irytował, zerwała się z krzesła i podbiegła do mnie. Wyrwała mi książkę z ręki i bez oglądania przycisnęła do serca. – Dostałam ją od ojca. Patrz, to dedykacja od niego... – Wodziła palcem po słowach napisanych pięknym charakterem pisma: „Kochanej Dorze, której ojciec zawsze pomoże, Praha, 1938”. – Dał mi ją na siedemnaste urodziny ze

słowami, że Rimbaud przestał w tym wieku pisać wiersze... Przestrzegł mnie w ten sposób przed uprawianiem złej poezji. W niczym nie lubił amator-szczyzny...

Wiedziałem, co należało zrobić.

– Kupimy tę książkę od właścicielki, na pewno z chęcią się jej pozbędzie.

A jednak Dora się nie zgodziła.

– Jeśli ta pani trzymają w tym miejscu, to na pewno jest dla niej ważna. Niech tu zostanie. Zresztą może jej wnuczek, który tak lubi Brahmsa, także pisze wiersze? A wiesz, że dedykacja napisana była tym piórem? To też prezent, tyle że od mamy... – Wyjęła eleganckie pióro z pudełeczka wyłożonego ciemnozielonym aksamitem. Aby jej zrobić przyjemność, oglądałem je długo.

Została przy oknie, liczyła zapalające się światła, gotowa opowiedzieć o każdym, kto przed laty przekręcił kontakt w którymś z mieszkań naprzeciwko. Nie chciałem tego słuchać z obawy, że jak to u mnie bywa, historie zaczną żyć własnym życiem, a potrzebne mi było choćby złudzenie, że panuję nad sytuacją. Do tego wszystkiego mebel, nie wiedzieć czemu zwany wersalką. Dość niewygodny co prawda, ale i tak czułem, że jeśli natychmiast z niego nie wstanę, zasnę, a to groziło już snieniem zbyt daleko posuniętym.

– Myślisz, że jesteśmy w sobie zakochani? – Pytanie niespodziewane, a Dora patrzy najpoważniej.

– Kto wie, czy to nie miłość od pierwszego wejrzenia. – Nic piękniejszego nie mogłem jej ofiarować. Może dlatego powiedziałem to po czesku, którego nie znałem.

– Ale to wszystko jest przecież niemożliwe.

– Tak? To w takim razie co tu robimy? – Jak u paranoików w zwyczaju, musiałem przygwoździć ją żelazną logiką. – Zresztą nie myśl o tym. Zamknij oczy. Odpocznij... – Aby jej pokazać, że to nietrudne, sam na chwilę zamknąłem oczy.

Kiedy je otworzyłem, zaczęło robić się jasno, a Dory nigdzie nie było.

Chciała zapomnieć o słowach usłyszanych w nocy, a jednak trudno je było wyrzucić z pamięci. Tym bardziej, że kiedy tylko weszła na salę, Wilski skorzystał z nieobecności sędziego i pozwolił jej i Markowi usiąść na chwilę obok Chaima. Bornstein był wyraźnie niezadowolony, choć przecież powinno być odwrotnie. Chaim także nie sprawiał wrażenia uszczęśliwionego, ale to akurat mogła zrozumieć, bo nie był człowiekiem, który chciałby się obnosić ze swoim poniżeniem. Wystarczyło, że poklepał ją po dłoni, zapewne, aby

pocieszyć. Marek nie doczekał się nawet spojrzenia, lecz chciała wierzyć, że tylko z chęci oszczędzenia mu smutku.

Rozprawa zaczęła się z opóźnieniem, a ona wróciła myślami do śniadania. Mężczyzna z bandażem na szyi rano znowu grzecznie jej się uklonił, i wreszcie go rozpoznała. Prawdę mówiąc, to Marek go rozpoznał i ze zgrozą wyszeptał jego nazwisko. Nie mogła uwierzyć, że tak się można zmienić w krótkim czasie. Kiedy opalony żegnał ich na Radegaście, wyglądał niczym sportsmen. Zamyślona, ledwie zwróciła uwagę na słowa sędziego, który niespodziewanie przerwał świadkowi.

– Panie Fliegelson, dowiedziałem się właśnie, że czas nas jednak goni. Jeśli więc pan pozwoli, zrezygnujemy z wysłuchania pańskiej wzruszającej historii. Czy państwo mają coś przeciwko temu? – Spojrzał w stronę ławy przysięgłych, co najmniej dwóch mężczyzn spało. Co do trzeciego nie było pewności, mógł nawet nie oddychać. – Nie? W takim razie, panie Fliegelson, niech pan wraca tam, skąd pan do nas przybył.

Znała tego Fliegelsona, który teraz nie umiał ukryć swojego rozczarowania. Przez całe życie był suflerem. Zaczął, jak mówiono, przypadkiem. Miał ambicję zostać wielkim tragikiem, jednak etatowy sufler zachorował i trzeba było ratować przedstawienie. Potem tak się w tym wprawił, że Irena Solska występowała w Łodzi pod warunkiem, że Fliegelson będzie siedział w budce. Gdzie sprawiedliwość – pomyślała – jeżeli nawet przy takiej okazji nie pozwala się biedakowi wystąpić w pełnym świetle? Czy człowiek, rodząc się Fliegelsonem, jest skazany na pecha do samego końca, jakkolwiek ten koniec by był?

– Chciałby się pan przysłuchiwać naszej rozprawie? – Na szczęście sędzia także się zorientował, że wyrządził suflerowi przykrość. – Niech pan sobie z nami posiedzi. W drugim rzędzie widzę dobre miejsce dla pana...

Fliegelson przyglądał swoją artystyczną plerezę, potoczył wokół pałacym spojrzeniem i dla każdego, kto widział na scenie Juliusza Osterwę, podobieństwo musiało być uderzające. Potem z dumą i bez pośpiechu usiadł na wskazanym miejscu. A więc może istnieje sprawiedliwość i ten małeńki występ to właśnie zapłata za uczciwe życie Fliegelsona? Poczula przyływ nadziei.

– A teraz rozstajemy się już z wielkim światem Berlina, Pragi i Wiednia – powiedział sędzia. – Hitlerowcy żądają właśnie od getta jego dzieci i chorych.

– Tak! – wykrzyknął Wilski. – Trzeba oddać na śmierć „małe brylanciki”, jak lubił nazywać dzieci ich dobroczyńca. Zobaczmy, jak się wtedy zachowa...

– Protestuję. Czy wiedział, że na pewną śmierć? Wątpię! – Bornstein zerwał się tak szybko, że niemal przewrócił krzesło.

– W takim razie proszę pana sędziego i sędziów postronnych o wzięcie w obronę pana Rumkowskiego przed jego własnym obrońcą, który uważa swojego klienta za pozbawionego rozumu.

– Panowie, to nie czas i miejsce na tego rodzaju popisy. – Zniecierpliwiony sędzia uderzył otwartą ręką w blat stołu, ale niezbyt silnie i żadna z czterech popielniczek nie podskoczyła. – Kontynuujcie, proszę.

Wilski podszedł do ławy przysięgłych.

– Jak pamiętamy, cytowane już były przemówienia charakteryzujące oskarżonego! – powiedział to wystarczająco głośno, aby dwaj śpiący poprawili się w krzesłach; trzeci nie drgnął nawet. – Teraz jednak przedstawię coś wyjątkowego. Jesteśmy w posiadaniu błony filmowej naświetlonej domową kamerą; nikt przed nami filmu nie widział, nawet sam operator. Głos Chaima Rumkowskiego został z kolei nagrany za jego zgodą i przez jego własnych archiwistów. Nie ręczę za zgodność obrazu i dźwięku, lecz zapewniam, widzimy i słyszymy prezesa właśnie tego historycznego dnia...

Regina dopiero teraz zauważyła projektor ustawiony obok epidiaskopu. Człowiek, który umiał obsługiwać maszyny, nałożył szpule. Marek kręcił się w krześle, ale mogła go zrozumieć, bo sama czuła niepokój. Projektor zaczął terkotać i wszyscy zobaczyli rynek, tłum ludzi i Chaima rozmawiającego z Jakubowiczem, którego poznała po marynarce w kratę, bo stał tyłem. Chaim zaczął mówić i wiedziała, co powie. W domu przestrzegała go przed aktorstwem i prosiła, aby te straszne słowa wypowiadał najprościej. Mogła sobie prosić. Gestykulował z emfazą, zawieszał głos z nieznośną manierą człowieka, który lubi przemawiać. Pierwszy raz wydał jej się głupi, kiedy wyznał, że posiadanie władzy nadaje sens życiu i jest słodkie jak karmel. Już wtedy przyszło jej na myśl, że może posunęła się za daleko, gdy chcąc ratować życie rodzicom i bratu, nie odrzuciła jego żalosnych umizgów. Dlatego z przyjemnością wpatrywała się teraz w ekran, na którym stary dureń stroił miny, i cieszyła się, że głośnik oddaje jego piszczący głos.

– „Na getto spadł ogromny smutek. Żądają od nas, abyśmy oddali, co mamy najdroższego: dzieci i ludzi starszych. Ja nie miałem tego szczęścia, aby mieć własne dzieci, dlatego poświęcałem najlepsze lata mego życia dzieciom cudzym. Nigdy nie przypuszczałem, że to moje ręce będą składały taką ofiarę na ołtarzu. Przypadło mi w losie, że muszę dziś wyciągnąć do was ramiona i błagać: bracia i siostry, ojcowie i matki – wydajcie mi swoje dzieci...”

Mikrofon nagrał szlochanie tłumy zebranego na placu Strażackim, ale słyszała także szloch na sali.

– „...Wczoraj po południu dostaliśmy rozkaz, aby deportować dwadzieścia tysięcy ludzi z getta. Jeśli nie – powiedziano nam – zrobimy to sami.

Stanęliśmy przed dylematem: czy zrobimy to my, czy zostawimy to im. Z myślą o tym – nie ilu zginie, ale ilu potrafimy uratować, ja i moi najbliżsi współpracownicy doszliśmy do wniosku, że jakkolwiek jest to dla nas straszne, musimy wziąć na siebie odpowiedzialność za wypełnienie tego dekretu. Muszę przeprowadzić tę krwawą operację. Muszę amputować członki, aby ratować ciało. Muszę odebrać wam dzieci, bo inaczej inni zginą wraz z nimi. Nie przyszedłem, aby was pocieszać, nie przyszedłem, by ulżyć na sercu, przyszedłem jak złodziej, by ukraść, co macie najdroższego. Nie szczędziłem sił, by ten dekret unieważnić. Nie chcieli na to przystać. Jedyna rzecz mi się udała: dzieci od lat dziesięciu wzwyż nie podlegają dekretowi. Niech to nam będzie jakąś pociechą...”

Wszyscy mogli zobaczyć, jak Chaim wyciera pot z czoła chusteczką, którą mu włożyła do marynarki. Nie powinna mu jej wkładać. Gdyby nic nie znalazł w kieszeni i otarł twarz dłonią, wyglądałby prawdziwiej.

– „...Mamy w getcie wielką ilość zakażonych gruźlicą, którym pozostaje parę dni, może tygodni życia – mówił dalej. – Nie wiem, może to plan diabelski, ale muszę zwrócić się do was: wydajcie tych chorych, aby na ich miejsce ratować zdrowych. Niech zdrowy rozsądek dyktuje nam, aby ratować tych, którzy mają szansę przeżycia, a nie tych, którzy umrą tak czy owak. Każdy z nas utrzymuje chorego przy życiu kosztem własnego zdrowia, dajemy choremu naszą rację chleba, naszą kostkę cukru, nasz kęs mięsa – w rezultacie jego to nie ratuje, a my sami zapadamy na zdrowiu. Rozumiem, takie ofiary są szlachetne. Ale gdy stoi przede mną wybór, czy ratować chorych, czy zdrowych, nie mogę się długo wahać. Nakazałem lekarzom, aby wydali wszystkich nieuleczalnie chorych, aby w ich miejsce uratować tych, którzy chcą i mogą żyć...”

Teraz już płacz, jęki i biadanie ludzi lepiej były słyszalne z sali niż z głośnika.

– „...Ja was rozumiem, matki, widzę wasze łzy. Czuję smutek waszego serca, ojcowie. Wiem to wszystko i serce mi pęka. Od wczoraj po południu, gdy mi obwieszczono ten dekret, jestem złamany, dzielę wasz ból, nie wiem, skąd wziąć resztki sił, by to przeżyć. Jedną rzecz wam powiem, żądanie było na dwadzieścia cztery tysiące ofiar. Trzy tysiące dziennie przez osiem dni, ale udało mi się wytargować tę cyfrę do dwudziestu tysięcy, a może i nieco mniej, ale tylko pod warunkiem, że pójda wszystkie dzieci do dziesiątego roku życia. Ponieważ dzieci i starców jest tylko trzysta tysięcy, musimy dopełnić kwoty, wydając ludzi chorych. Trudno mi mówić, siły mnie opuszczają. Zwracam się do was z apelem: pomóżcie mi wykonać tę akcję. Drzę na myśl, że broń Boże, inne ręce tę akcję przeprowadzą...”



Teraz nastąpił moment, po którym, gdyby mogła, wyszłaby i nigdy nie wróciła. Rozłożył szeroko ramiona niczym prorok i wykrzyknął, choć prosiła, aby to akurat wyszeptał.

– „Wyciągam do was ramiona i błagam: oddajcie w me ręce te ofiary, chroniąc nas od większych ofiar, chroniąc społeczność stu tysięcy Żydów...”

Zapanowała cisza, w której słyhać było trzepot taśmy wirującej na szpulii, ale po chwili i ona się zatrzymała. Jak na komendę znowu zrobiło się jasno. Teraz dopiero zobaczyła, jakie mimo wszystko zrobił wrażenie. Nie tylko kobiety płakały, a człowiek z ławy przysięgłych, o którym myślała, że nie żyje, aż się złapał za głowę.

– Bardzo to przejmujące, ale co udowadnia?

– Widziała, że Bornstein mimo swojego spokojnego tonu zażył przed chwilą kropel z małej buteleczki.

– Przede wszystkim tragedię człowieka, który stanął przed wyborem nieznanym dotąd ludzkości...

– Chyba jesteś takim samym potworem jak on! – rozległ się krzyk z sali. Krzyczała kobieta, której siwe włosy nie pasowały do młodej jeszcze twarzy. – Panie sędzio, policjanci siłą wyrywali dzieci z naszych ramion! Prezes obiecał im, że ich własne dzieci zostaną oszczędzone. O, tu siedzi jeden z tych łajdaków... Patrzcie, jaki zadowolony z siebie! – Kobieta wskazała młodego mężczyznę w kordowej marynarce.

– Nigdy nie miałem dziecka! – mężczyzna zrobił się blady jak ściana, widząc spojrzenia skierowane na siebie. – Wykonywaliśmy tylko rozkazy, a koledzy także stracili dzieci.

– Ale dwa lata dłużej żyły! Panie sędzio, niech pan go skaże. Mój Iser miał już trzy lata i on mógł pracować, a przyszedł ten drań z wojskiem, i go zabrali...

– Saro, ty się uspokój – powiedział niespodziewanie sędzia. – I wy też na sali. Udawajcie chociaż, że to zwyczajny sąd i że obowiązują tu jakieś procedury.

Zapanowała cisza, przede wszystkim ze zdumienia, że sędzia mógł znać imię skromnej krawcowej Sary Grunspan mieszkającej na Legionów przy Cmentarnej. Nie trzeba było długo czekać, aby znalazł się jakiś zuch, który pomyślał, że cud może dotyczyć także jego. Był pierwszy, bo kilku innych także otwierało usta.

– Panie sędzio – powiedział cicho, lecz wyraźnie. – Czy mógłbym wyjść za potrzebą? Obiecuję, że zaraz wrócę...

– Nie ma takiej potrzeby, z którą nie mógłbyś poczekać, Danielu. Najlepiej zrobisz, jeśli zastanowisz się nad odpowiedzią na pytanie, które ci zostanie zadane. Tak samo jak wy wszyscy!

Zrobiło się cicho, a Daniel Lewiński, zecer „Głosu Porannego”, szczęśliwy, że sędzia go zna, zamyślił się zaraz, jak mu kazano.

– Niech pan kontynuuje, panie obrońco, bo wieczność tu posiedzimy...

Regina widziała, że Bornstein jest zadowolony z nieoczekiwanej przerwy. Widocznie coś mu przyszło do głowy.

– Skoro jesteśmy przy filmie, to poproszę o cofnięcie taśmy...

Mężczyzna obsługujący projektor przez dłuższą chwilę nie mógł utrafić w moment, o który chodziło.

– O tu, proszę zatrzymać. Jeszcze trochę do przodu. Dziękuję, tak. Proszę wszystkich o przyjrzenie się. Co znaczy ten nienaturalny błysk w oku? To bez wątpienia łza... Ten człowiek płacze.

– To, co pan bierze za łzę, jest przypadkowym błyskiem światła – wykrzyknął zirytowany Wilski.

– To łza najczystsza.

– Pańskie pobożne życzenie raczej. Ale niech będzie. W takim razie także poproszę o przewinięcie taśmy. Na samym początku zauważyłem coś bardzo charakterystycznego. Jeszcze, jeszcze... O tutaj, zanim wszedł na mównicę. Proszę wszystkich, by zechcieli zauważyć, z jaką gracją nasz Mordechaj wyciąga grzebyk i poprawia fryzurę. Czy o ładnym wyglądzie myśli człowiek przejęty, który za chwilę zapłacze?

– To nerwowy odruch kogoś, kto za chwilę wejdzie na szafot. Gdyby pan prokurator znalazł się kiedykolwiek w podobnej sytuacji, kto wie, czy nie zechciałby się poczesać, aby zająć czymś ręce... – Bornstein nie skończył jeszcze, a Regina wiedziała, do czego obrońca zmierza. Nie pomyliła się, bo dało się słyszeć kilka parsknięć, a prokurator nerwowo potarł łyse ciemię. – Pan prezes zapłakał, bo dzieci były całym jego życiem. Każdy chyba wie, że gdyby mógł oddać rękę za uratowanie choćby jednego dziecka, uczyniłby to z ochotą.

– Dziękuję obronie za to „chyba”. Przewodniczący Judenratu w pobliskiej Zduńskiej Woli, kiedy kazano mu dostarczyć do wysłania na śmierć tysiąc Żydów, odpowiedział, że może przyprowadzić ich tylko czworo. Siebie, swoją żonę i dwoje dzieci. Za to właśnie stracił nie rękę, lecz życie.

– Czy coś dobrego wyniknęło dla Żydów ze Zduńskiej Woli z tego szlachetnego gestu?

– Zginęli wszyscy, tak samo jak Żydzi w Łodzi, gdzie zamiast szlachetności nikczemność.

– Panie sędzio, proszę, aby oskarżyciel nie obrażał człowieka, któremu nie dorasta do pięt. Dzięki swojemu pragmatyzmowi pan prezes jako jedyny w świecie mógł uratować jeszcze siedemdziesiąt tysięcy Żydów. Byłby wtedy ich dobroczyńcą. Tej oczywistej prawdy nie są w stanie podważyć jego najwięksi krytycy.

– A ja poproszę pana sędziego o możliwość zadania pytania pani Jetli Jabłońskiej, mimo że nie przewidywaliśmy jej jako świadka. Pani w czarnym swetrze siedząca w przedostatnim rzędzie. – Oskarżyciel wskazywał kogoś ręką.

– Proszę pytać, ale krótko. – Sędzia oparł łokcie na stole i objął głowę rękami. Wyglądało na to, że myśli o czymś intensywnie albo jest nieobecny duchem.

– Pani Jetlo, przechodziła pani Łagiewnicką, kiedy gestapo przyszło do szpitala po dzieci i chorych, o których wydanie tak ładnie prosił nas wszystkich zarządca getta...

– Protestuję! Nazwanie pana prezesa zarządcą getta jest ze strony oskarżenia próbą zrównania go z władzą niemiecką – zaproponował Bornstein.

Pomyślała, że jako obrońca też by zareagowała. Nie można było pozwolić na takie porównanie.

– A ja proszę pana obrońcę, aby nie zajmował naszego najwyższego sędziego nieistotnymi drobiazgami, bo może się to źle skończyć dla jego klienta. – Wilski jakby postanowił utrzymać nosa jej myślom. – Wiem, nie powinienem doradzać obronie, ale taki już ze mnie dobry człowiek. Proszę mówić. Biegnie pani na Łagiewnicką, aby zabrać stamtąd ojca...

Zanim Jetla Jabłońska powiedziała cokolwiek, musiała się wykaszleć. Była kiedyś piękną kobietą, a gdyby się dobrze przyjrzeć, była nią i teraz. Jej kaszel nie pozostawiał jednak żadnych wątpliwości, nie mogła już długo żyć.

– Wiedziałam, że zaczną od zbierania dzieci i chorych po szpitalach. Miałam w szpitalu ojca, który zaraził się gdzieś gruźlicą. W domu mogłam go chociaż schować; gdyby przyszli po niego, to by się go położyło pod łóżkiem... łóżko mieliśmy wysokie...

– Z całym szacunkiem dla tatusia pani, proszę jednak opowiedzieć nam o tym, co działo się pod szpitalem. Dostałem pozwolenie tylko na krótką rozmowę...

– Niosłam płaszcz dla ojca, aby go włożył na piżamę, i tak mieliśmy wyjść. Z daleka zobaczyłam samochody i kordon, który nie dopuszczał w pobliże szpitala. Wiedziałam już, że się spóźniłam. Stałam tak i płakałam...

– I co pani zobaczyła?

– Widziałam, jak z wyższych pięter gestapowcy wyrzucają poduszki. Zastanawiałam się nawet, dlaczego to robią, bo przecież wszystko można było o nich powiedzieć, ale nie to, że są nieoszczędni. Na drugi dzień dowiedziałam się, że to były małe dzieci wyrzucane razem z pościelą. Ojca mojego oczywiście...

– Dziękujemy bardzo za pani opowieść. – Wilski skłonił się i zwrócił do obecnych: – Tak oto dzieci, o których wydanie prosił nasz dobroczyńca, opuszczały jego państwo. Zauważmy, państwo stworzone przez byłego dyrektora sierocińca. Aż strach pomyśleć, że mógł być przed wojną kimś innym...

Nie cierpiała tego człowieka, który popisывał się niczym tenor na występie w szkole prowadzonej przez jej matkę, ale wiedziała, że nie może tego okazać. Trzeba jednak przyznać, że z małpią zręcznością grał na emocjach. Nie miałyby z nim szans na sali sądowej, a jedyną pociechą było to, że nikt w Łodzi by nie miał. Może jej patron Emil Montlak z Piotrkowskiej zapędziłby go w kozi róg, ale i to nie jest pewne.

– Jakże pięknie popisał się pan oskarżyciel. Usiłuje nam dać do zrozumienia, że to, co stało się z Żydami, to wina pana prezesa. Wysłuchałem tej, nazwijmy to po imieniu, ordynarnej insynuacji z wielkim smutkiem, ale i pewnym podziwem dla umiejętności wodzenia nas za nos. Skorzystam więc z okazji, że pan sędzia zamyślony i pozwala na podobne brewerie, i także przepytam świadka niezgłoszonego wcześniej. Panie Bornstein, proszę o zajęcie miejsca dla świadków...

Wszyscy zaczęli się rozglądać, szukając wzrokiem wezwanego, lecz nikt nie podnosił się z krzesła, a woźny nie wychodził z sali. Regina pierwsza zorientowała się, że obrońca sam staje za pulpitem. W pierwszej chwili pomyślała, że zwariował.

– Nazywam się Henryk Bornstein – przedstawił się. I zaraz sam siebie zapytał:

– Czy może pan opowiedzieć o swojej siostrze? – Przytaknął ruchem głowy i zaczął mówić:

– Miała na imię Miriam, czyli tak samo jak ta, która dla chrześcijan stała się potem Marią. Była pięknym dzieckiem i w wieku lat pięciu czytała w trzech językach.

– Czy byłby pan tak uprzejmy skracać się trochę? – skarcił sam siebie.

– Oczywiście. W getcie zachorowała na dyfteryt i oddaliśmy ją do szpitala. Kiedy dowiedziałem się o żądaniach Niemców, poszedłem, aby ją stamtąd zabrać, tak samo jak pani Jabłońska, która chciała zabrać swojego ojca. Miał mi w tym pomóc mój przyjaciel doktor Halberstadt, który co prawda pracował w innym szpitalu, na Drewnowskiej, lecz miał legitymację lekarską, dzięki której mógł chodzić wszędzie. Na Łagiewnickiej stały budy wojskowe i słychać było rozdzierające krzyki. Nie wiedziałem, co robić, jednak Ludwik, bo tak miał na imię Halberstadt, i chcę, aby to zapamiętano, kazał mi czekać i przeszedł przez strażę, nawet nie pokazując legitymacji. Stałem pod szpitalem i miałem nadzieję, że uda mu się gdzieś schować Miriam. Wtedy, jak i pani Jabłońska, widziałem wyrzucane z okien tłumoki. Kiedy samochody odjechały i biegłem do szpitala, usłyszałem kwilenie dobywające się z jednej z poduszek. Dopiero wtedy pojąłem, że to były dzieci wyrzucane przez okna razem z becikami, czy jak się to nazywa... Na pytanie, które na pewno teraz padnie: czy moja siostra została uratowana, odpowiadam – nie. Na pytanie drugie: co z doktorem Halberstadtem, odpowiadam, że żył jeszcze, kiedy go znalazłem, i chciał coś powiedzieć, jednak kula w gardle nie pozwoliła mu na to. Jak mówili inni lekarze, został przyłapany na próbie schowania dziecka. O jakie dziecko chodziło, nie wiedzieli, bo podobno panowało tam piekło.

– Jeśli to już wszystko, dziękujemy świadkowi – zakończył i wyszedł zza pulpitu.

Regina wiedziała, że ten rodzaj ciszy rzadko zapada na salach sądowych, a już nigdy na takiej, gdzie każdy tylko czeka, aby opowiedzieć straszną historię, która nie miała prawa się wydarzyć.

– Czy w związku ze śmiercią dzieci getta, w tym także mojej siostry – Henryk Bornstein podszedł do przysięgłych i przypatrywał się każdemu z osobna – miałbym o tę tragedię oskarżyć pana prezesa? A dlaczego nie siebie, jeśli w obronie siostry nie rzuciłem się na gestapowców, którzy konwojowali odjeżdżające samochody? Nie mam zamiaru wzywać teraz na świadka pana prokuratora i pytać, co robił tego dnia, kiedy z getta zabierano dzieci, i jak mu się wtedy pracowało w archiwum, które, jak wszyscy wiemy, często chwaliło oskarżonego. Nie spytam go nawet, choć odmawiam sobie tego z trudem, czy pamięta swój solowy taniec na akademii zorganizowanej przez komando szczotkarzy z okazji imienin pana prezesa.

Każdy krok wracającego na swoje miejsce Wilskiego był krokiem człowieka mocno uderzonego w nerki. Kiedy wreszcie z wyraźną ulgą opadł na krzesło, rozległ się brzęk miażdżonego szkła, więc nie dość, że cierpiący, to musiał jeszcze podskoczyć ze strachu. Regina zobaczyła, że sędzia kieruje wzrok w jej stronę, ale jak to bywa ze wszystkim widzącymi, mógł też patrzeć na

Marka. Gotowa była się przestraszyć, gdyby ku swojemu największemu zdumieniu nie dostrzegła na twarzy sędziego cienia uśmiechu.

*Z Paryża przyjechał Ludwik Lewin. Lubię go, bo jest jednym wielkim przemieszanym melancholii i pogody ducha. Tym razem jednak tylko smutny, a nawet narzekający, Rumuni dali światu Ionesco, Ciorana, Eliadego, Sebastiana. Canetti urodził się w Bułgarii? Gdzie byli wtedy Polacy? Najbardziej dostaje się od Ludwika polskim Żydom, którzy jak twierdzi, nie dość dobre widać mieli głowy. Przy trzeciej butelce zamierzamy obaj pozwać komitet noblowski do Strasburga za to, że Jaan Kross nie został jeszcze nagrodzony.*

Tym razem zapis z dziennika wyraźnie sugeruje rychłe spotkanie ze znawcami Czaadajewa. I to w sytuacji, która bardziej realna się zdaje, bo bez kropli wina przeżyta.

Budzę się rano w mieszkaniu staruszki. W szarości świtu ledwie widać zarys pokoju, w którym na pewno jednak nie ma Dory. Ze znajomych przedmiotów rozpoznaję tomik Rimbauda i pudełko z piórem leżące na stole. Zanim wybiegnę na poszukiwanie dziewczyny, schowam do kieszeni pióro, a książkę wsunę na półkę w taki sposób, aby jej grzbiet wystawał nieco. Chcę pewnie, aby miłośnik Brahmsa zauważył ją po śmierci babci.

Pierwsze promienie słońca i lekka mgła sprawiają, że Spacerowa tonie w półprzejrzystej żółci i wydaje się, że Utrillo mógłby się pożywić jej nieoczywistym pięknem. Dora na szczęście nie odeszła daleko i na rogu Łagiewnickiej rozmawia z trzema mężczyznami siedzącymi na schodach zamkniętego jeszcze sklepu. Jak przystało na Utrilla, żadna z nich łobuzeria, zwyczajni miłośnicy destrukcji. Trudno dociec, gdzie spali tej nocy, w każdym razie wychynęli skądś i grzali się teraz we wschodzącym słońcu. Starzec po niezwykłych przejściach, o twarzy pulsującej biskupim fioletem, mógł być też czterdziestolatkiem po przejściach najprostszych. Mimo życiowej niedyspozycji pamiętał jednak o goleniu, a jeśli nie wstawał, zwracając się do Dory, to tylko z braku sił.

– Musi pani wiedzieć, że chyba za sprawą diabła urodziłem się w tym kraju ze swoim sercem i talentem. – Niby się skarżył, lecz z pogodą ducha.

– Tak źle? – Troska Dory najszczersza.

– Gdyby pani dłużej z nami została, zadziwiłaby panią pustka i odosobnienie naszej egzystencji.

– Dobrze mówi. Nie chce nas świat, ale też, prawdę mówiąc, nie za wiele mu daliśmy. Słyszała pani o jakiejś nowej idei lub choćby pożytecznej myśli

zrodzonej w tej okolicy? – Młodzieniec, który go poparł, okręcił szyję szalikiem uczynionym z żółtej taśmy, jaką policja na całym świecie odgradza się od gapiów. – Często budzę się z krzykiem, kiedy we śnie przychodzi mi do głowy, że może stanowimy lukę w moralnym porządku...

– Czy w naszym wzroku nie zauważa pani szczególnej mglistości?– wyszeptał najmłodszy z mężczyzn, dziecko prawie, którego nałóg musiał dopaść w kołysce. Nie miał siły otworzyć oczu, ale dzielnie podnosił głowę w stronę, z której dobiegał głos Dory. – Czy niemota naszych twarzy nie przypomina pani oblicza ludów znajdujących się na najniższych szczeblach rozwoju? Proszę dobrze się przyjrzeć mojemu starszemu koledze... – Wskazywał brodą najstarszego, który nie tylko się nie obraził, ale dla uczynienia odpowiedniego wrażenia jeszcze bardziej się wykrzywił.

Nie wiadomo skąd i kiedy pojawił się między nimi policjant. Młody, ale już z umiejętnością noszenia munduru. Nikogo jednak nie przestraszył.

– Czeszka? Znałem jedną Czeszkę. Nie wiem, jak pani, ale zagraniczni zawsze nas chwala za odwagę i inne ładne cechy młodych narodów, a nie potrafią się jakoś dopatrzeć choćby jednej zalety, w które bogate są narody dojrzałe i o wysokiej kulturze.

Z okna nad sklepem wychylił się atletyczny jegomość w podkoszulku na ramiączkach:

– Do jasnej cholery! Czy Chrystus dopuściłby, abyśmy najpóźniej ze wszystkich dowiedzieli się o jego istnieniu, gdyby nie miał wobec nas planu? Mamy naprawiać błędy i sprzątać po tych, którzy pierwsi głosili jego sławę, a teraz go odrzucają.

– Przy okazji, panie Janiak, radzę pamiętać, że słowa „do cholery” obok imienia Chrystusa i przy kobiecie nie są na miejscu. – Policjant niby dla żartów pogłaskał pojemnik z gazem. Nestor wśród obecnych zaczął mieć wątpliwości, czy warto było nawracać się na chrześcijaństwo.

– Świat już katedry stawiał, gdy my palisadą z bierwion mogliśmy się popisać. Gdyby tak wtedy przy Światowidzie pozostać, który nie bez przyczyny na cztery strony świata filował, to bylibyśmy szanowani chociaż za oryginalność. Sztuka, panowie, się liczy. Picasso z Murzynów zżynał, to i ze Światowida by uszczknał.

Nie mogłem tego słuchać. Kompromitowali nie tylko siebie, ale i Polskę. I brał w tym udział funkcjonariusz państwowy. Choć majakiem byli, może nawet nieuleczalnym, zapragnąłem wyciągnąć szablę. Przed oczyma stanął mi obraz z domu dziadka Antoniego, przedstawiający księcia Józefa z dumną miną rzucającego się w nurty Elstery. Zrobiłem krok do przodu i pociągnąłem Dorę za sobą.

– Chodźmy już, to nie towarzystwo dla ciebie.

– Rozumiem, że to pani znajomy? Inaczej jakbym mu pierdolnął, to łeb by mu z płucami odleciał.

Podobało mi się, że nawet zdemaskowani jako zwidy, do końca trzymali fason.

– Bardzo dziękuję za rozmowę – powiedziała Dora i pięknie się do wszystkich uśmiechnęła.

Jak jeden mąż skłonili głowy, policjant zasalutował, a chłopak, który nie miał sił uporać się z podniesieniem powiek, uniósł nawet rękę.

– Przepraszam, że cię zostawiłam śpiącego, ale nie mogłam tam już dłużej wytrzymać... Tych panów źle zrozumiałeś. Zacytowali tylko zdanie Puszkina o urodzeniu w niewłaściwym miejscu, bo zdradziłam im wcześniej, że sama w Pradze marzyłam o Berlinie. Potem na moją cześć zainscenizowali fragment o Rosji z *Listów filozoficznych* Czaadajewa. Może coś przekręcili i poczułeś się urażony, zresztą przybycie pana policjanta poplątało im wątki... Chcieli mi zrobić przyjemność, bo znali mojego ojca, który tu mieszkał. Napisał o Rosji wiele książek, a jego przyjaciel, nasz prezydent Masaryk, często zasięgał u niego rady, jeśli chodzi o wschód Europy.

Słońce, które zaczynało przygrzewać, schowało się za chmury, jednak było ciepło. Objąłem Dorę ramieniem i poszliśmy na północ. Jako wzorowy wariat obliczyłem szybko, że idąc z prędkością pięciu kilometrów na godzinę, za sześćdziesiąt godzin pokażę jej morze.

– Ojciec nie mógł znieść upokorzenia, które tu przeżywał. Powtarzał jeszcze, że musi się opiekować mamą i mną, lecz zrezygnował z życia. Nie popełnił samobójstwa, jak jego przyjaciel profesor Hlavny, lecz niespodziewanie zaczął siusiać krwią. On, który nigdy nie miał nawet kataru. – Kiedy się zaczerwieniła, była jeszcze piękniejsza. – Umarł po tygodniu, choć lekarze robili wszystko, aby go ratować. Gdzieś tutaj powinien być ten szpital.

Dopiero wtedy zrozumiałem, co zobaczy, zanim dojdziemy do morza. Szpital, przedwojenna Kasa Chorych, perła łódzkiego art deco, który na zdjęciach z getta wyglądał pięknie, był teraz ruiną, obrabowaną z każdego elementu nadającego się na sprzedaż. Mogłem liczyć, że Dora nie pozna tego miejsca i minie obojętnie stertę gruzu. Na wypadek, gdyby się zorientowała, przygotowałem sobie opowieść o bombardowaniu szpitala przez trzy noce i trzy dni przez Niemców, którzy bronili Łodzi do końca, zamieniając ją w Festung Litzmannstadt. Na dowód, że tak bywało w innych miastach, wystarczyło jej pokazać w księgarni powieść *Festung Breslau*. Wybrałem jednak wyjście trzecie. Zawróciłem.



Wspomniała swoją pierwszą wygraną, sprawę Kudanowski *versus* Urząd Skarbowy. Od tego procesu inaczej wchodziła na salę sądową. Przyszło jej to do głowy, kiedy patrzyła na Bornsteina, który od czasu udanego skarcenia prokuratora inaczej się poruszał, a nawet wyprzystojniał, jeżeli w jego wypadku było to możliwe. Ośmielony, próbował nawet wadzić się z sędzią.

– Myślę, że najwyższy czas na pytanie do wysokiego sądu – powiedział. – Nie widzę tu nigdzie najbliższych współpracowników pana prezesa. Gdzie ci, którzy, kiedy mój klient położył już uszy po sobie, przejęli faktyczne rządy w getcie? Dlaczego nie stoi przed nami osławiony Marek Kligier, którego doskonale scharakteryzował nam świadek Szwarcenberg. Gdzie Dawid Gertler, który po czterdziestym drugim roku o wszystkim decydował, wyznaczał nagrody i przeprowadzał kontrole, a pana prezesa wysuwał na czoło, kiedy trzeba było zawiadomić getto o brankach? Starzec mógł mieć złudzenie, że jeszcze rządzi, i wysłuchiwać akademii na swoją cześć. Czy człowiek, o którym mówiono, że dla gestapo wyszukiwał bogatych Żydów, nie jest godny tego, aby stanąć przed twoim sądem, panie sędzio?

Regina widziała, że Chaim zachnął się na słowo starzec, jednak sędzia, wyglądający na jeszcze starszego, nie rozgniewał się i zaczął wyjaśniać.

– Nie zebraliśmy się po to, aby osądzać całe zło świata. Jak pan zapewne zauważył, nie dowieziono nam wielu historycznych zbrodniarzy. Skupiamy się na pańskim prezesie, bo stał się on pewnym symbolem, a przy tym, jak większość z was tutaj, jest także ofiarą. Jeżeli jednak chce pan większych emocji, oto one... Proszę wszystkich o powstrzymanie naturalnego odruchu. Niech nie słyszę żadnych okrzyków przerażenia. Poprosiłem do nas Hansa Biewowa. Znajac jego niemiecką akuratność, wejdzie tu za mniej więcej trzydzieści sekund... Kto przyjmie zakład?

Oprócz Chaima nie było nikogo, kto nie odwróciłby się w stronę drzwi wejściowych. Tylko dwie osoby, którym udało się jeszcze zachować zegarki, spojrzały na nie teraz. Kiedy na salę wszedł mężczyzna z bandażem na szyi, zrobiła się cisza. Przy śniadaniu ledwie go rozpoznała, a teraz znowu jej się uklonił, co już było irytujące.

– Przyznaję, panie Biewow, że dużo o panu wiem – powiedział sędzia. – Na początek niech pan nam opowie coś dobrego o sobie, na przykład, jaki to z pana szlachetny człowiek.

– Nie ośmieliłbym siebie tak nazwać, ale na pewno byłem szanowanym kupcem w mieście Brema, zanim przybyłem do Łodzi. W Łodzi zresztą także starałem się jak najlepiej wypełniać swoje obowiązki. – Biewow mówił spokojnie, choć niewyraźnie.

– Niech pan opowie, jak pan tu trafił.

– Zostałem wezwany, aby objąć stanowisko w sektorze gospodarczym. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że chodzi o getto i że mam być jego administratorem.

– Czy zmuszano pana do objęcia tego stanowiska? – Sędzia patrzył gdzieś ponad głową Biebową.

– Przyjąłem je dobrowolnie, ale gdybym tego nie uczynił, myślę, że byłbym do tego zmuszony.

– A więc został pan szefem getta, wiedząc, że ludzie zostali tam osiedleni przemocą?

– O tym dowiedziałem się dopiero później.

– Czyli przypuszczał pan, że Żydzi poszli tam z własnej woli i sami otoczyli się drutem kolczastym?

Usłyszała kilka chichotów, ale dość niepewnych.

– Nie widzę u pana chęci zgłębiania szczegółów, proszę więc odpowiedzieć, poza protokołem oczywiście, na jedno moje pytanie. – Sędzia pochylił się w krzesło, jakby rzeczywiście zaintrygowany. – Przyznam, że zadaję je każdemu członkowi NSDAP, jeśli już przede mną stanie. Czy nic pan nie zauważył w człowieku, którego wybraliście na Führera?

– Nie bardzo rozumiem pana sędziego. Wódz to wódz.

– I nie przeszkadzało wam, że Bóg uczynił go cokolwiek śmiesznym?

– Skoro pan sędzia był łaskaw wspomnieć Boga, to odpowiem tylko, że pozwolił on także Adolfowi Hitlerowi zostać naszym przywódcą.

– No tak, jest w tym pewna racja. W takim razie proszę powiedzieć, czy wiedział pan, jaki program ma partia hitlerowska w stosunku do Żydów?

– Kiedy przystępowałem do partii, nie dostrzegłem w jej programie dążenia do fizycznego wyniszczenia Żydów.

– Czytał pan *Mein Kampf*?

– Prawdę powiedziawszy, rozpocząłem, ale nie dokończyłem.

Tym razem sala zareagowała nerwowo i Regina usłyszała nawet krzyki. Dałaby głowę, że rozpoznała głos Tamary Koteckiej, która tak pięknie śpiewała przed wojną. Ale mógł to być omam, bo nie słyszała o niej w getcie.

– Proszę obecnych o zachowanie spokoju – powiedział sędzia nie za głośno, jakby zdawał sobie sprawę, że dużo tym nie załatwi. – Panie Biebow, niech nam pan powie, czy był pan najważniejszą osobą w getcie?

– Jeżeli chodzi o sprawy gospodarcze, można tak powiedzieć. Jednak o wszystkim innym decydowała linia partii reprezentowana przez gestapo.

– Czy wiedział pan, na czym polegało wszystko inne?

– Nigdy nie wiedziałem o wysyłaniu Żydów na śmierć, moje wizyty w obozach zagłady, jak je się teraz nazywa, miały charakter wyłącznie urzędowy.

– Panie Biebow! – W głosie sędziego pojawiła się gniewna nuta.

– Może inaczej: wiedzieć nie wiedziałem, ale mogłem się domyślać.

– Panie Biebow, czy muszę przypominać, że z naszej strony nic panu nie grozi? Wiem, że chciałby pan dobrze wypaść, ale zaręczam, nie ma to sensu. Jediną konsekwencją mówienia nieprawdy będzie ośmieszenie się, a tego chyba pan nie chce.

– Właściwie to racja. Nic mi już nie grozi. Nie ma więc co ukrywać. Wiedziałem o wszystkim. Ostatecznie nie jestem głupi.

– Oczywiście, że nie. Dlaczego jednak wygłaszał pan te kłamliwe mowy: „Ja, Biebow, wasz dobry przyjaciel, chcę, żebyście tę wojnę przeżyli. Zaufajcie mi, przeniosę was w bezpieczne miejsce”. A potem tych, którzy słusznie nie dowierzali, osobiście wyłapywał pan po piwnicach.

– To z kolei, bez obrazy pana sędziego, dwa różne, zupełnie nieprzystające do siebie zarzuty. Pierwszy, o kłamliwości moich przemówień, odeprę bez trudu. Po prostu uważałem się za opiekuna tych ludzi. Wiedziałem, że większość z nich zginie, a co mogłem im dać piękniejszego niż jeszcze jeden dzień nadziei? A więc chociażby za to mógłbym spodziewać się wdzięczności.

– Czy jednak nie przypisuje pan sobie cudzej zasługi? Przecież cała polityka pańskich przełożonych opierała się na podobnym myśleniu. Aby zabić miliony ludzi i nie dopuścić do najmniejszej próby obrony, trzeba było ich oszukiwać, dopóki nie przekroczą progu komór gazowych.

– Zgoda, takie były instrukcje. Jednak można je było wykonać poprawnie lub z prawdziwym zaangażowaniem. Ja wygłaszałem swoje przemówienia z przeświadczeniem, że robię dla tych ludzi coś w rodzaju dobrego uczynku.

– A dlaczego nie zwykły dobry uczynek? – zainteresował się sędzia.

– Muszę przyznać, że niechętnie używam religijnych pojęć, gdyż po niesprawiedliwości, której doznałem, trudno mi uwierzyć w istnienie Boga.

– Proszę mówić dalej.

– Natomiast mój osobisty wkład w znajdowanie tych, którzy nie chcieli dobrowolnie udać się do transportu, to już inna sprawa. Wstydę się tego. Jednak otrzymywałem rozkazy o dostarczeniu tylu i tylu Żydów i gdybym tego

nie wykonał, poniósłbym surowe konsekwencje. W moim postępowaniu nie było osobistej wrogości.

– Żadnej?

– Mam na to niepodważalny dowód. Kiedy odprowadzałem na wywózkę Jakubowicza, prawą rękę prezesa Rumkowskiego, nawet się z nim pocałowałem. Zresztą przeżył, z tego, co wiem. Miałem też dentystę Żyda... Szmulowicz jego nazwisko. O, ten mostek, trójka i dwa zęby mądrości. – Biebow otworzył szeroko usta, aby lepiej było widać. – Czy gdybym się kimś brzydził, pozwoliłbym mu grzebać paluchami w swoich ustach?

– Tak, to przekonujące. – Sędzia był wyraźnie zmęczony. – Wiem mniej więcej wszystko, co chciałem wiedzieć. Niech teraz inni przepytają pana. Pano-  
wie... Pan obrońca pierwszy?

Bornstein miał minę człowieka, który musi wskoczyć do latryny dla ratowania cudzego życia. Wreszcie wziął głęboki oddech i wskoczył.

– Czy rozpoznaje pan siedzącego tutaj mężczyznę? – Wskazał Chaima, który drgnął na te słowa.

– Tak, to przewodniczący Starszeństwa Żydów, Herr Rumkowski.

– Za co był odpowiedzialny w getcie?

– Za wszystko.

– A więc musiał pan wykonywać jego rozkazy?

– No nie, on wykonywał moje.

– Czy można ponosić jakąkolwiek odpowiedzialność, jeśli wykonuje się cudze rozkazy?

– Wszyscy kogoś słuchaliśmy. Ja wypełniałem polecenia tych, którzy byli w hierarchii wyżej ode mnie.

– Czy pan Rumkowski chciał, aby Żydzi z getta zginęli?

– Nie, na pewno nie.

– Gdyby pan odmówił roli administratora getta, zostałby pan wysłany na front?

– Tym by to się skończyło.

– A gdyby pan Rumkowski odmówił przyjęcia starszeństwa nad Żydami, czy zostałby zastrzelony jak członkowie poprzedniej rady żydowskiej?

– Na pewno.

– Dlaczego więc jest pan uprzejmy porównywać waszą odpowiedzialność?

– No cóż, na froncie też mógłbym zginać od kuli.

– To jedyna analogia, która przychodzi panu do głowy?

– W tej chwili tak.

– Jak układały się stosunki między panem a prezesem Rumkowskim?

– Myślę, że jeżeli nie były wzorowe, to w każdym razie życzylibym sobie takich z każdym współpracownikiem.

– To stary człowiek, prawda?

– Wiem, co ma pan na myśli. Kiedy getto dzięki talentom organizacyjnym pana prezesa pracowało już całą parą, postanowiłem zostawić mu zadania reprezentacyjne, a w pracy oprzeć się na jego młodszych zastępcach. Na Jakubowiczu, na Kligierze. Choć z tego ostatniego niezły typek.

– Nie to miałem na myśli. Czy w Bemie bije się starców? Bo pan przecież pobił tego siwowłosego człowieka.

– Między ludźmi, którzy działają we wspólnej sprawie, a taką sprawą była dla mnie ochrona Żydów, może dojść do różnicy zdań. Podczas wojny ta różnica zdań może być wyrażana inaczej niż w czasie pokoju, w kawiarni. Może z niej zrodzić się chwilowa agresja, której potem obie strony żałują. Może nawet dojść do bójki.

– Nazywa pan bójką skatowanie starca, który potem przez sześć tygodni leczy się w szpitalu? Mam tu zeznanie świadka, zduna z zawodu, który opowiada, że rozwalił pan panem prezesem całą instalację ogrzewczą.

– To było już bardzo skorodowane urządzenie. Myślę też, że leczenie trwało tak długo, bo pan prezes trochę się ze sobą pieścił i nie chciał ludziom pokazać kilku zadrapań. Panie prezesie, chyba nie było tak strasznie? Mieliśmy też parę dobrych chwil. Ja wierzyłem w pana, a pan we mnie. Być może zawiodłem, bo jednak pana rodacy nie trafili do Palestyny, jak im pan obiecywał, ale czyja sam miałem potem lekko?

Regina obserwowała żyłę na skroni Chaima. Pulsowała nieregularnie, a wiadomo, czym się to zawsze kończyło. Teraz też zerwał się i o mało nie upadł, bo od długiego siedzenia nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Na szczęście Bornstein zręcznie złapał go wpół.

– Panie Rumkowski! – wykrzyknął sędzia z wyraźnie udanym oburzeniem. – Pan, przewodniczący, prezes, król, orędownik, i takie gesty? Doprawdy nie uchodzi. Proszę wracać na miejsce. Przepraszam pana, panie Biebow. Ja wiem, że wielu na tej sali miałooby ochotę zachować się podobnie, ale przecież nie po to się tu zebraliśmy. – Zwrócił się w stronę obrońcy i dodał:

– Proszę, aby podobna sytuacja się nie powtórzyła... Niech pan przewiduje, co się może wydarzyć.

– Ze względu na szacunek, ale i strach nie powiem, że gdyby pan sędzia zechciał parę razy przewidzieć, co się może wydarzyć, nie spotkalibyśmy się tu dzisiaj, a już na pewno nie w tej sprawie... – Nie spodziewała się, że Bornstein ośmieli się coś takiego powiedzieć. Sędzia już otwierał usta i bała się, że jego reakcja będzie ostra, ale wtrącił się Biebow.

– Do końca, tu na tej sali, próbowałem dobrze mówić o Herr Rumkowskim. Ale teraz wykrzyczę. Nie pamiętasz, psie, jak wezwany przed komisję, obsmarowałeś mnie przed władzami? Myślałeś, że Niemcy nie są solidarni? Wiedziałem o wszystkim, zanim zdażyłeś wrócić do getta. Zamiast złoić ci skórę powinienem strzelić w twoją pustą głowę...

– Panie Biebow...

– Wiem, słowa za mocne, ale spod serca płynące. Czego to ja nie robiłem dla dobra getta. Ile się na mieście naprosiłem o lokowanie u nas zamówień. Ile kosztownych prezentów musiałem ofiarować, aby zainteresować klientów. A władze? Do końca zapewniałem, że tańszej siły roboczej, produkującej równie dobre i przydatne towary, nie znajdziemy nigdzie, a przysięgam, nie było łatwo przekonać tych, którzy ideologię i osobiste uprzedzenia stawiali wyżej od wyliczeń ekonomicznych. Przypominam też, że często na prośbę żydowskich pracowników interweniowałem, choćby w sprawie podziału żywności. Wchodząc tu na salę, zauważyłem człowieka, który złożył petycję, że na Marysinie wypoczywają głównie kierownicy działów, a nie najciężiej pracujący. Sprawdziłem to i kazałem rozpedzić całe towarzystwo. Czy tak było? Proszę obecnych o potwierdzenie tego faktu...

Nikt na sali się nie odezwał, a zniecierpliwiony Bornstein podniósł głos.

– Panie Biebow, proszę tylko odpowiadać na pytania. Pamięta pan, ilu w getcie było nie-Żydów?

– Oczywiście. Dwadzieścia dwie osoby. Polacy i Polki oraz dwie Niemki.

– Skąd się tam wzięli?

– To były najczęściej małżeństwa mieszane, które nie chciały się rozdzielić.

– Czy w getcie traktowano ich tak samo jak Żydów?

– Nie mieli żadnych przywilejów. Ostatecznie sami wybrali swój los.

– Chciałbym, abyśmy wszyscy wysłuchali teraz kogoś, kto w sposób najbardziej bezstronny opowie, jak w getcie widziano osobę świadka. Panie

Biebow, zechce pan sobie usiąść na chwilę, o właśnie, tu jest wolne krzesło, a panią Janinę Wąsik poproszę, aby odpowiadała ze swojego miejsca.

Wszyscy się obejrżeli, bo kobieta siedziała w ostatnim rzędzie. Teraz wstała, podpierając się kulą. Mogły być w tym samym wieku, jednak Regina nie dostrzegła w niej najmniejszych śladów urody czy choćby wdzięku. Jedyne, czego nie można jej było odmówić, to poczciwość twarzy.

– Proszę nam powiedzieć, jak pani, Polka i chrześcijanka, znalazła się w getcie. – Bornstein przemówił tak grzecznie, że Regina baczenie mu się przyjrzała.

– Byłam sierotą. Wuj na wsi nie chciał mnie trzymać ze względu na kalectwo, więc jakieś dziesięć lat przed wojną przyjechałam do Łodzi. – Janina, o dziwo, głos miała delikatny, zupełnie niepasujący do szerokich kości policzkowych. – Wuj za pracę dał mi tylko na pociąg i dwa dni głodna chodziłam po mieście. Będąc u kresu sił, trafiłam do warsztatu kaletniczego na Cegielnianej. Mira i Zygmunt Zuckermanowie nakarmili mnie i pozwolili się przespać w sklepie. A potem już zostałam u nich...

– Na służbie?

– Najpierw może trochę, bo sprzątałam w sklepie, ale jak zobaczyli, że mam dryg do zawodu, to tata zaczął mnie uczyć kaletnictwa i już po dwóch latach zrobiłam pierwszą torebkę, którą kupiła bardzo elegancka pani.

– Powiedziała pani „tata”?

– Nie mieli dzieci i byłam przez nich traktowana jak córka. Jak Niemcy zaczęli wyganiać do getta, to się spakowałam i poszliśmy razem, bo przecież poza nimi nie miałam nikogo na świecie.

– W getcie byli także inni chrześcijanie. Czy pani kogoś z nich poznała?

– Nie było takiej możliwości. Jak to w wielkim mieście, znało się tylko sąsiadów i ludzi z fabryki.

– Pracowała pani w resorcie skórzanym?

– Tak, razem z mamą i tatą.

– Widziała pani w getcie pana prezesa Rumkowskiego?

– Dwa razy. Raz wizytował nasz oddział... Trochę się wtedy zdenerwował i walił łaską tych, co się za bardzo pchali do niego...

– W jakim celu się pchali? Mieli jakieś pretensje?

– Chcieli dostać przydział na tygodniowy odpoczynek w Marysinie, a on miał na nasz oddział tylko pięć skierowań, które wręczył kierownikowi... Za drugim razem widziałam go, kiedy byłam na rewii wystawionej na jego cześć

przez nasz oddział. Każdy oddział popisywał się takim występem. Chcieli nawet, żebym wystąpiła, ale przecież ja nie do tańca, a do śpiewania za nieśmiała jestem. Pan prezes siedział wtedy w pierwszym rzędzie i chyba bardzo mu się podobało, bo bił brawo. I to wszystko... Aha, wiem jeszcze, że chwalił za dobrą robotę i potrafił być ostry, kiedy ludzie go nie słuchali.

– Jakim człowiekiem w porównaniu z panem prezesem był obecny tu niemiecki władca getta, pan Biebow? Widziała go pani kiedyś?

– Z bliska, broń mnie Boże, a i z daleka lepiej było zejść mu z drogi. Jak to się mówi, prawdziwy pan życia i śmierci. Zanim wyprawił wszystkich do gazu, ograbił ich dokumentnie. Pod koniec to już kazał nawet oddawać pióra wieczne, zapalniczki... Wszystko, co mogło się przydać jego dyrektorom.

– Była pani w getcie prawie do końca. Nie chciała pani jechać ze swoimi przybranymi rodzicami?

– Pewnie, że chciałam. Było już słyhać armaty, więc wytrzymaliśmy w kryjówce do samego końca, ale mama straciła zupełnie siły, a tym, co się dobrowolnie zgłosili, dawali po jednym chlebie. Powiedziała, że jeżeli za chwilę czegoś nie zje, to i tak umrze, więc niech się dzieje, co chce. Pojechałabym z nimi, ale nie chcieli o tym słyszeć. Odprowadziłam ich do transportu.

– I wtedy pani po raz pierwszy zobaczyła Biebowa z bliska?

– Może nie z bliska, ale mogłam mu się przyjrzeć. Pamiętam, miał białą koszulę z krótkimi rękawami i dwa pistolety za pasem. Był grzeczny i pytał nawet ludzi z transportu, czy mają między sobą dobrą kucharkę, bo na miejscu bardzo się taka przyda. Pozwólcie mi jechać, powiedziałam do mamy, bo gotować umiem, a jak będę w kuchni, to więcej zjecie. Uparli się jednak. Zostań, mówią, bo chyba jedziemy na zatracenie. Ale ty żyj i powiedz gdzieś dobre słowo o nas... I mówię, gdzie mogę... – Głos Janiny zadrżał i jeszcze chwila, a by się rozplakała.

– Bardzo pani dziękujemy. Wszyscy – powiedział Bornstein. – Będziemy pamiętać o Mirze i Zygmuncie Zuckermanach. Panie sędzio, czy mógłbym już o nic nie pytać tego całego Biebowa?

– To pańska sprawa, panie mecenasie. Panie prokuratorze, pańska kolej. Nadarza się świetna okazja do oskarżenia pana prezesa o obcowanie z ludźmi pokroju Herr Biebowa.

– Przepraszam, panie sędzio, ale domagam się poważnego traktowania. W swoim oskarżeniu nie mogę przecież posługiwać się kanałą. Mamy tony zeznań i dokumentów potwierdzających to, że Biebow własnymi rękami zamordował kilku ludzi, dziesiątki tysięcy wysłał na śmierć, gwałcił i poniżał kobiety. O grabieży nie wspomnę. Odmawiam zadawania mu pytań. Nie ma



takiej nadrzędnej racji, dla której warto by to robić. Kat, morderca, gwałcieciel drwi sobie z nas w żywe oczy, a ja mam z nim na poważnie? Powiem więcej, solidaryzuję się w tym względzie z panem Rumkowskim, i sam z chęcią użyłbym pięści.

Na przeraźliwie białej twarzy Biebowa pojawił się różowy odcień. Regina знаła się na takich stanach i wiedziała, co nastąpi za chwilę. Nie myliła się.

– *Maul halten!* Co to za gadanie? Zgodziłem się tu przyjść, bo chciałem wyciągnąć rękę do zgody. Myślicie, psy, że po to całe piętnaście minut pękał mi na stryczku stos pacierzowy, abym teraz musiał wysłuchiwać impertynencji? A moje plamy opadowe? Jakże byłem głupi, że dla dobrego imienia dałem się wam, Żydzi, nabrać. Jednak dosyć już tego! – Biebow kopnął stojący przed nim stojak na nuty. – I cieszę się, że tego dentystę też wysłałem do gazu...

Odwrócił się i szybkim krokiem poszedł w stronę drzwi. W przejściu jeden z siedzących z brzegu młodych mężczyzn podłożył mu nogę i Biebow z najwyższym trudem utrzymał równowagę. Gdzieniegdzie rozległy się śmiechy, ale urwały się zaraz, bo ten najwyraźniej szukał po kieszeniach pistoletu. Wtedy sędzia przypomniał o swoim istnieniu.

– Baczość! – wykrzyknął głosem tak strasznym, że fala powietrza owionęła wszystkich.

Biebow natychmiast wyprostował się z rękami wzdłuż tułowia.

– Padnij!

Nie był to wzorowy pad, bo sztywny i na kilka skłonów tułowia, ale jednak był padem. Regina pomyślała, że jeśli to prawda z tym pękającym stosem pacierzowym, to jest teraz świadkiem czegoś na kształt cudu.

– Powstań! – zakomenderował sędzia głosem już spokojnym.

Wstawanie trwało dłużej, ale też się udało i Biebow stał wyprostowany, czekając na dalsze komendy.

– Jak pan sądzi, z kim ma pan do czynienia w mojej osobie, panie Biebow? – spytał grzecznie sędzia.

– Nie bardzo się orientuję, ale z wysokim sądem, jak mogę się domyślać.

– Niech pan spokojnie to rozważy. A teraz precz!

Regina pomyślała, że jeśli ktoś zniknął jak zdmuchnięty wiatrem, to właśnie Hans Biebow. Bardzo ją to ucieszyło, i pewnie nie tylko ją, bo dało się słyszeć zbiorowe westchnienie, które mogło być tylko westchnieniem ulgi. Sędzia myślał już o czymś innym, i nie chciała wierzyć własnym uszom, kiedy powiedział:

– Marku, widzę, że się nudzisz z nami...

Marek oczywiście gapił się na drzwi, za którymi zniknął Biebow, i musiała dać mu kuksańca, aby zrozumiał, że słowa są skierowane do niego.

– Zdradzę ci pewną tajemnicę: piętro wyżej są drzwi pomalowane na zielono. Idź tam i wyjrzyj sobie oknem. Postaram się, aby nikt ci nie przeszkodził. Tylko, proszę, nie próbuj spuszczać się po rynnie, bo to z różnych przyczyn niemożliwe... – Sędzia uśmiechnął się łagodnie.

Małemu nie trzeba było tego powtarzać, jednak spojrzął na nią i dopiero gdy skinęła głową, wstał i uklonił się grzecznie sędziemu, a potem karkowi Chaima. Ruszył i widziała, że z trudem się powstrzymuje, aby nie podskakiwać z radości.

W dzienniku notuję słowa Henryka Elzenberga z jego *W poszukiwaniu idei polskiej*, a w tym mniej więcej czasie sam szukam wyższych rejonów i wchodzę z Dorą na wieżę kościoła przy Zgierskiej. Jak każda wędrownica w górę, i ta musi kosztować, szczęśliwie jednak stać mnie na to, aby być hojnym donatorem. Ksiądz, sześćdziesięcioletni może, o dobrodusznej twarzy, prowadzi nas po schodach, które na samej górze bardziej do drabiny podobne. Zaczynam się obawiać, że ze swoim lękiem wysokości rozchoruję się zaraz jeszcze poważniej, na szczęście stajemy wreszcie na ostatnim postumencie, a z wąskich okien wieży roztacza się widok na miasto.

– Patrz, tam jest Piotrkowska, najdłuższa ulica Łodzi, a może i świata. A tam Kościuszko... wódz! Polski Żiżka. – Recytowałem niestety w próżnię, bo Dora patrzyła w inną stronę i także coś pokazywała.

– Widzę Bałucki Rynek, a na dole Urząd Statystyczny, w którym pracowałam! Ta siedziba gestapo taka mała z góry.

Niespodziewanie w lewym uchu szept księdza.

– Czy ona może mojżeszowego wyznania? – Tak, jeżeli to księdzu nie przeszkadza.

– Czemu miałoby przeszkadzać? Bardzo stara religia... Mało się orientuję, co było w Łodzi przed wojną, bo dopiero pięć lat temu nastąpiłem... Wiem tylko, że z tego kościoła Niemcy uczynili magazyn... Przedtem w Szadku pełniłem posługę. Znać Szadek? Nie? Też podobno przed wojną dużo Żydów było... – Ksiądz mówi cicho, a Dora krzyczy:

– Z tego domku prezes Rumkowski wydawał rozkazy! Poznają po tych okienkach na górze.

– Nie wiem, o czym mówi, ale słyszę polskie nazwisko. Rumkowski, tak? Musicie wiedzieć, że ja z podobnego pnia, bo matka z domu Rynkowska była... Ale nie Żydówka, broń Boże... Znaczą się, nie broń Boże, bo to nic złego, tylko chodzi o to, że nazwiska podobne. – Speszył się, co dodało mu uroku i utwierdziło mnie w przekonaniu, że trafiłem na porządnego człeka. Prosił potem na plebanie, a kiedy powiedziałem, że musimy iść dalej, życzył nam wiele szczęścia.

Spodziewałem się tego, a jednak kiedy w końcu Dora spytała, co znaczą gwiazdy Dawida wymalowane na murach i słowo *Jude* często się przy nich powtarzające, dość się speszyłem. Już w *Pociągu do podróży* próbowałem odczarować ten zwyczaj zdobienia domów, opisując halucynację, jakiej uległ subiekt mojego ulubionego pana Jedwabia: *Choremu umysłowi jawiła się bliżej nieokreślona przyszłość, kiedy to poznikają z Łodzi nie tylko Niemcy, którzy ją stworzyli, ale i Żydzi, i Rosjanie. Na ich miejscu widział okolicznych kmieci w liczbie trzynastu milionów, zamieszkujących opuszczone dekoracje z kamienia. Niestety, dzieciśka nowych mieszkańców miały malować na murach słowo Jude pod każdym nazwiskiem nielubianego sportowca, choćby ten był jasnowłosym parobczakiem.* Jedwab odpowiadał na to: *We wszystko mógłbym uwierzyć, ale nie w to, że w tym mieście kiedykolwiek pojawi się na murach napis obrażający kogokolwiek.* Teraz jednak, sam chory i to chyba poważniej od pana subiekta, musiałem zmierzyć się z rzeczywistością. Kaszlę długo i zapamiętałem, czym wymuszam zatroskane spojrzenie, i wreszcie znajduję odpowiedź.

– Tymi napisami hitlerowcy sygnowali domy żydowskie przeznaczone do rozbiórki. Czytałaś *Ali Babę i czterdziestu rozbójników*? Pamiętasz, że Ali Baba oznaczył kredą wszystkie domy w pobliżu tego, oznaczonego wcześniej przez rozbójników? Tak samo postąpili mieszkańcy Łodzi. Nocą wszędzie malowali napisy i gdyby trzymać się tych znaków, trzeba by zburzyć pół miasta. Potem pokryto napisy bezbarwnym lakierem, aby pozostały na wieczną pamiątkę bohaterskiego fortelu tutejszych ludzi.

Szczęście, którego życzył nam ksiądz, nadeszło wreszcie, bo wszystko wskazywało na to, że zrobiłem na Dorze odpowiednie wrażenie. Kilkakrotnie nawet pokręciła z podziwem głową.

Korytarz wydał mu się mniej zatłoczony, może dlatego, że wszystkie ławki były zajęte, a ci, dla których zabrakło miejsca, ze zmęczenia podpierali ściany. Chociaż miał pozwolenie wejścia na wyższe piętro, dobrze pamiętał gauleitera, który pozwolił jemu i Aronowi przejść przez most przerzucony nad Zgierską. Przejście było właśnie zamykane, ale oficer dał ręką znak, że mogą przebiec. Aron uwierzył i pobiegł, choć Marek próbował go powstrzymać. Oficer krzyczał

*schneller, schneller*, a inny żołnierz, szeregowy, wycelował, i choć Aron biegł szybko, trafił go pierwszą kulą. Widać chodziło o zakład, bo oficer poczęstował żołnierza papierosem. Sędzia wyglądał na dobrego, ale Marek nie miał pewności, co na tę dobroć powiedzą strażnicy. Właśnie dlatego nakazał sobie ostrożność i nie poszedł na górę od razu.

– Być może wyglądam na głupiego, ale prawda może być inna. – Doktor Pułtuski miał smutną twarz i wesołe oczy. Pracował na pół etatu w sierocińcu i kilka razy badał Marka. Teraz wyraźnie starał się przypodobać młodej kobiecie w narciarskim swetrze.

– Jednak nie można tego wykluczyć – odpowiedziała i miło się do niego uśmiechnęła.

Marek nie chciał im przeszkadzać i stanął przy cyrkowcu, którego przybycie zauważył wcześniej. Olbrzym ważył tyle, ile trzech mężczyzn z getta. Miał na sobie czerwony sweter i zielone spodnie z kieszenią w okolicy kolana. Łatwo się było domyślić, że sędzia planuje jakieś występy na osłodę.

– Pamiętają panie, czy wasz ojciec płakał na pogrzebie Franza? – Duży mężczyzna przykucnął przy dwóch starszych paniach, a tym samym zniżył się bardzo i nie był teraz wiele wyższy od Marka.

Kobiety popatrzyły po sobie, a starsza, zupełnie siwa, w pięknie pocerowanej, brązowej sukni, odpowiedziała:

– Nie przypominam sobie, aby płakał kiedykolwiek.

– Raz miał łzy w oczach. – Młodsza próbowała coś sobie przypomnieć. – Kiedy dowiedział się, że jego kolega ze szkolnej ławy stracił nogę pod pociągiem w Pardubicach. Nie pamiętasz, Gabi?

– Nie pamiętam. Ale mama na pewno lubiła sobie popłakać. Choćby na twoim ślubie. Nie można jej było uspokoić.

– Powie nam pan, dlaczego tak bardzo interesuje się naszym kochanym bratem? Bo przecież wie pan, że umarł dawno i nigdy nawet nie był w Łodzi – spytała pani nazwana Walerią.

– Przecież to słynny pisarz.

– Miły pan jest. Ale z tą sławą chyba trochę przesada. Sławny to był w Pradze doktor Grunert. Też napisał książkę, tyle że naukową, *Dusza niewiasty* się nazywała. Musi pan wiedzieć, że potem na wizytę u niego trzeba się było zapisywać trzy miesiące wcześniej.

– Nasz brat leży sobie w ładnym grobie, i to ze swoimi rodzicami. – Pani Gabi powiedziała to bardzo poważnie. – Może więc chociażby przez grzeczność powinien pana zainteresować los dwóch starych kobiet?

– Których prochy nie wiadomo gdzie rozsypane – dodała druga pani.

– Ależ oczywiście, że bardzo mnie panie interesują, tyle tylko...

Marek poczuł natychmiastową sympatię do człowieka, który potrafił się zaczerwienić tak, że wyglądał jak swój własny sweter.

– Wiemy, że w porównaniu z Franzem niczym się nie wyróżniłyśmy, ale także miałyśmy swoje życie, byłyśmy zakochane... – zapewniła pani w brązowej sukni.

– Ja nie byłam.

– Tak? Nie wiedziałam... Miałyśmy też dzieci i marzenia o ich przyszłości. I co, to jest zupełnie nieważne? A mój mąż Josef? Jest teraz w toalecie, bo cierpi na pęcherz, ale gdyby pan wiedział, jakim się w Pradze cieszył szacunkiem...

– Z wielką chęcią porozmawiam także z nim. Po prostu zacząłem od brata, bo chyba nie mamy za dużo czasu... – tłumaczył się pan cyrkowiec.

– Czas? Proszę pana, cóż znaczy czas? O, mąż już idzie...

Z daleka nadchodził niewysoki łysy mężczyzna. Marek pomyślał, że stoi tutaj już wystarczająco długo, i ruszył w kierunku schodów. Nie słyszał pogoni ani krzyków, więc zaczął się przyglądać rzeźbieniu balustrady i kształtowi schodów. Kiedy miał pięć lat, narysował swój pierwszy dom, a w getcie rysował na wszystkim, co mu wpadło w ręce. Kiedy pan prezes zobaczył album na swoją cześć, a w nim domy i ulice getta, czyste, równe i zadbane, takie jakie by były, gdyby wszyscy go słuchali, powiedział, że Marek na pewno zostanie architektem i że on tego dopilnuje: „Zaprojektujesz nam Palestynę, szerokie ulice, fontanny...”

Powoli wszedł na piętro. Wszystkie drzwi były tu białe, a spod łuszczącej się farby prześwitywał mahoń. Wreszcie znalazł zielone, o których mówił sędzia, także pomalowane niedokładnie. Złapał za klamkę. Gdyby go spytano, dlaczego jej nie nacisnął, miałby trudności z odpowiedzią. Może zniechęciły go słowa sędziego o niemożliwości ucieczki, a może tylko chciał dalej słuchać, co mówią dorośli. W każdym razie zawrócił bez pośpiechu.

Regina знаła Wolickiego z widzenia, ale nawet jej przez myśl nie przeszło, że okaże się taki głupi. A przecież Chaim kazał mu dać kieliszek wódki, kiedy przyszedł w dzień po ich ślubie wstawić szybę w okno, bo było jej zimno.

– Prezes wyprostował się, odmłodził i nabrał wigoru. Ci, co go znali przed wojną, nie mogli się nadziwić. Władza dawała mu jakąś osobliwą

przyjemność. Te młode sekretarki, potem młoda i wykształcona żona... Potrafił dla niej zmieniać wyroki sądów...

Gdyby wiedziała, co z niego za człowiek, to wstawiałby szyby gdzie indziej.

– Niech pan nam o tym opowie. – Wilski spojrział na nią przepraszająco, jakby chciał powiedział: spełniam tylko zawodowy obowiązek.

– Wiem, że kiedy występowała w pewnej sprawie i sąd skazał jej klienta za defraudację, prezes natychmiast go uniewinnił. Mógł wszystko. Ale czy to była kobieta dla tego dziadygi?

Kilka nerwowych śmieszków na sali, a Regina poczuła, że robi się czerwona.

– Rozumiem, że świadek mówi to bezstronnie, bo ma żonę o dwadzieścia lat starszą od siebie, która go regularnie bija. – W głosie Bornsteina była sama słodycz. – Młodsza żona to dla świadka, zdaje się, wyzwanie tak trudne, jak wspięcie się na górę Synaj.

– Panie obrońco, przywołuję pana do porządku. – Sędzia patrzył na woźnego, który przyniósł z korytarza jakąś wiadomość. – Musimy przerwać przesłuchanie świadka, bo znowu gość z Ameryki. Sami państwo rozumieją, różnica czasu, niechże będzie usprawiedliwieniem... Pani Eichengreen, prosimy do nas... Musicie wiedzieć, że to autorka wielu książek, z których jedna przez pół roku była bestsellerem w Nowym Jorku... Tym, którzy nie słyszeli o bestsellerach, wyjaśniam, że cieszyła się powodzeniem.

Regina dostrzegła, że Chaim po raz pierwszy odwraca się, aby zobaczyć, kto wchodzi. W drzwiach stanęła elegancka kobieta i energicznym krokiem ruszyła prosto do miejsca dla świadków, mimo że nikt go jej nie wskazał. Trzymała w ręce książkę.

– Bardzo dziękujemy, że zechciała się pani do nas pofatygować. – Sędzia przyjrzał się kobiecie z zainteresowaniem.

– Aby świadczyć w tej sprawie, przyjechałabym z zaświatów – powiedziała z lekkim skinieniem głowy.

– Na szczęście to zaświaty w pewnym sensie odnalazły panie, choć przyznam, nie było łatwo. Proszę nam powiedzieć, czy do getta trafiła pani z Hamburga?

– Tak, było nam tam jak w raju. Przyjechałam razem z rodzicami i siostrą.

– Byłbym wdzięczny, gdyby pani zechciała nie wspominać o raju.

– Przepraszam, powiedziałam tak tylko dlatego, że moi rodzice umarli w Łodzi z głodu, a siostrę, której do jedenastu lat brakowało trzech tygodni, wywieziono razem z innymi dziećmi i zagazowano.

– Co nam może pani powiedzieć o obecnym tu panu Rumkowskim?

– Tylko to, co napisałam w swojej książce. Piszac ją, starałam się nie przepuścić żadnego faktu.

– Czy myślała pani też o tym, aby niczego nie dodawać? – zapytał Bornstein.

– Panie obrońco, proszę nie oceniać czegoś, czego pan nie zna – powiedział sędzia. – A panią proszę o zrozumienie, że zdecydowana większość obecnych nigdy nie przeczyta pani książki. Ja także, przyznaję, zapoznałem się z nią tylko pobieżnie. Wiem jednak, co pani chciała w niej przekazać, i tylko dla formalności spytam: dlaczego po tylu latach nie chce pani nawet spojrzeć w stronę oskarżonego?

– Jeżeli pan sędzia liczy na odpowiedź, że bierze się to ze strachu, to niestety muszę go rozczarować. Po prostu nie chcę zbyt wyraźnie okazywać obrzydzenia.

Regina zobaczyła, że Chaim zaczyna się drapać w przeguby, a czynił to zawsze w stanie najwyższego podenerwowania.

– Proszę więc nam opowiedzieć o przyczynach obrzydzenia.

– Poznałam w getcie dwie dziewczyny, które kiedyś w sierocińcu były molestowane przez tego człowieka. Pomyślałam, że jeżeli mnie udało się przeżyć, to jestem im coś winna. Dlatego przytaczam w książce to, co od nich usłyszałam.

– Czy uważa pani ich opowieści za wiarygodne? Pytam o to, bo mimo że sądzimy tu pana Rumkowskiego za coś innego, pani relacja może mu zaszkodzić.

– Znam każdy szczegół ich tragedii. Opisałam wszystko bardzo dokładnie. Mam przy sobie kilkanaście egzemplarzy swojej książki i z przyjemnością je państwu rozdadam...

– Myślę, że to nie będzie potrzebne, ale dziękuję w imieniu wszystkich zainteresowanych. Proszę teraz opowiedzieć o swoim własnym doświadczeniu z Rumkowskim.

– Po śmierci rodziców obiecał mi pracę w kuchni, co dawało dodatkowy posiłek wieczorem, a więc szansę na przedłużenie życia. Dotrzymał słowa. Wiedząc o jego skłonnościach, starałam się nie rzucać mu w oczy. Któregoś dnia jednak podszedł i spytał, czy jestem zadowolona. Odpowiedziałam, że bardzo.

Pocałował mnie w policzek, objął ramieniem i spytał, czy to prawda, że mam rodzinę za granicą. Powiedziałam mu o dwóch wujach i kuzynach żyjących w Palestynie: „A więc kiedy wojna się skończy, twoi wujowie będą chcieli ci pomóc. Obiecuj mi teraz, że opowiesz im, ile dobrego dla ciebie zrobiłem”. Obiecałam oczywiście, bo wtedy obiecałabym wszystko. Powiedział, że wpadnie za kilka dni, i zostawił mnie w spokoju. Miałam nadzieję, że może zapomniał, a jednak przyszedł znowu. Usiadł wtedy obok mnie, a potem wziął moją rękę, położył w wiadomym miejscu na swoich spodniach i poruszał nią tam i z powrotem. Próbowałam wyrwać rękę, ale miał żelazny chwyt...

Chaim zaczął się teraz drapać po całych dłoniach, czego jeszcze Regina u niego nie widziała.

– ...Przychodził tak potem przez kilka tygodni i zawsze robił to samo. Nie było ucieczki, mogłam iść tylko pod druty i czekać na kulę. No i głód, kto nie był głodny, nigdy nie zrozumie, do czego człowiek jest zdolny, aby się najeść. Byłam więźniem, a on decydował o moim życiu lub śmierci. Wreszcie rozchorowałam się, a w tym czasie zamknięto kuchnię wydającą posiłki. Nie było dodatkowego jedzenia, ale poczułam się wolna. Nie wiem, czy ktoś z miejscowych mówił już o procesach, które groziły mu przed wojną za bałamucenie dziewczynek z sierocińca? Mnie kilkakrotnie o tym opowiadano... Chyba się państwo nie boją?

Regina знаła się na teatrze i zawsze potrafiła rozpoznać rodzaj ciszy, jaka zapadła na sali, jednak tę trudno byłoby jej opisać. Chaim zerwał się na równe nogi, lecz usiadł zaraz, i to bez żadnej zachęty.

– Czy pan coś powiedział? – zainteresował się sędzia, ale nie słysząc odzewu, dodał tylko: – Bardzo to wszystko smutne. Czy mają panowie pytania?

– Nie – powiedział Wilski

– Wstydzę się za mojego klienta! – krzyknął Bornstein.

– To pański klient ma się wstydzić, jeśli jest winny. Nie przerażaj się i do roboty, młody człowieku. Jesteś tu po to, aby go bronić.

– W takim razie tylko jedno pytanie. – obrońca wstał i zwrócił się do pani Eichengreen. – Kiedy pan prezes położył pani dłoń, jak się pani wyraziła, w wiadomym miejscu, to czy w tym właśnie miejscu coś się znajdowało?

– Nic. Jak mówiły wszystkie prześladowane przez niego dziewczyny, podobno od zawsze był impotentem.

Była pewna, że nie ma na sali człowieka, który by na nią nie patrzył. Jediną pociechą było to, że jak zauważyła wcześniej, krzesło, na którym



siedziała jej szwagierka, było puste. Głupie babsko nie miało więc powodu do radości.

– Czyli manewry, które wykonała pani dłoń, były podobne do poklepania kogoś po plecach?

– Jeśli tak pan sądzi, to niechże pan sobie poklepuje Rumkowskiego. Byle nie przy dzieciach. – Pani Eichengreen popatrzyła na Bornsteina z wyraźną zachętą i Regina poczuła do niej coś w rodzaju sympatii.

– Nie chciałem pani zdenerwować, lecz tylko podkreślić, że tak poważne schorzenie jak impotencja powinno być uznane za okoliczność łagodzącą dla postępów pana prezesa.

– Czy to wszystko, o co chciał pan spytać świadka?

– Tak.

– W takim razie oskarżenie zapyta w imieniu obrony – wtrącił się Wilski – dlaczego, udzielając po latach wywiadu polskim studentkom, nie wspomniała pani o tym. Kogo jak kogo, ale młode kobiety należy ostrzegać przed takimi typami.

– Chciałabym być dobrze zrozumiana. Nie uznałam za stosowne prania naszych brudów na polskim uniwersytecie. O tym człowieku powinno się jak najprędzej zapomnieć.

– W takim razie i ja proszę o słowo. – Bornstein się zerwał. – Czy pani książki służą temu, aby jak najprędzej zapomnieć o tym człowieku?

– Proszę nie odpowiadać na to pytanie, bo wzięło się z chęci dokuczenia świadkowi. – Sędzia uśmiechnął się dobrotliwie. – Natomiast może pani dodać coś jeszcze od siebie.

– Chcę tylko powiedzieć, że wszystkie dzieci zaadoptowane na jego rozkaz przez dostojników getta, nawet ten miły chłopczyk, którego zabrał w ostatnią drogę, miały być jego zabezpieczeniem na przyszłość i świadczyć o jego dobroci. Tak właśnie myślę...

– Dziękujemy już pani bardzo i do zobaczenia przy następnej, milszej, mam nadzieję, okazji – powiedział sędzia.

Lucille Eichengreen wychodziła już, kiedy Chaim, chcąc krzyknąć coś za nią, zakrztusił się. Bornstein podbiegł natychmiast i kilkakrotnie uderzył go w plecy. Widziała, jak trudno było Chaimowi znieść podobną poufałość. W końcu przestał kasłać i tylko dyszał ciężko. Sędzia odczekał chwilę i powiedział:

– Dobrze, że tego wszystkiego nie słyszał Janusz Korczak, bo byłoby mu bardzo przykro... A teraz, choć to wyjątkowo niestosowny moment, chcę zapowiedzieć część artystyczną. Należy wam się, ludzie, chwila wytchnienia.

Proszę tylko, abyście nie nazywali tego akademią, lecz sesją wyjściową sądu. Dowiemy się, co na to wszystko stary Will. Drogę wskażą odźwierni. I proszę pamiętać, stroje najzwyczajniejsze...

Z *Dziennika* Sandora Maraiego we wspaniałym tłumaczeniu Teresy Worowskiej przepisuję słowa: *Amerykanin nie zrozumie, że dżentelmen to nie ktoś, kto posiada przywileje z racji pochodzenia, ani nie ten, kto osiągnął sukces lub odziedziczył majątek, lecz ktoś, kto w każdej sytuacji jest na swoim miejscu. A więc nie dlatego jest „dżentelmenem”, ponieważ jest „dobrym pisarzem” i „odniósł sukces”, lecz dlatego jest dobrym pisarzem, bo jest dżentelmenem – w przeciwnym razie nie pisałby przecież; dżentelmen nigdy nie bierze się do czegoś, na czym się nie zna.* Jakże to wzruszająco brzmi. Niechby tak Marai dożył naszych czasów, w których oglądanie się na umiejętności można by nazwać nietaktem, gdyby słowo nietakt znaczyło jeszcze cokolwiek!

Neurony, choć chaotycznie, dawały mojemu mózgowi przyjemność obcowania z kimś takim jak Dora. Trzeba jednak zauważyć, że nie zrobiły wiele dla sprawienia przyjemności jej samej. Czyżby dotykanie przestrzelonej skrzyni na węgiel lub oglądanie z wieży kościoła siedziby najważniejszego z łódzkich Żydów było wszystkim, na co je stać? Postanawiam działać na własną rękę i wchodzimy do pierwszego z brzegu sklepu, który, jak głosi szyld, jest składem delikatesów orientalnych. Duża blondyna, której obfity brzuch opinają legginsy tak obcisłe, że można jej wróżyć z pępka, wprowadza nas do pomieszczenia, pod sufit załadowanego plastikowymi skrzynkami. Na wszystkich napis „Coca-Cola”, jakby ktoś płacił połączeniom nerwowym za kryptoreklamę. A jednak instynkt mnie nie zawodzi, bo sklepikarka okazuje się Sonią Rykiel, która po chwili, już cała w dzianinach, zaprasza Dorę w głąb sklepu. Ładnie się zamyślam (w tym czasie na pewno we Wrocławiu robię mądre miny), lecz nagle słyszę hałas i szamotanie się. Madame Rykiel wyprowadza opierającą się Dorę z przymierzalni i wszystko inne przestaje się liczyć. Rozpuszczone włosy i suknia w czerwieni magenta, odsłaniająca ramiona, czynią z niej już coś nieznośnie pięknego. Projektantka, która może wcale nie jest projektantką, tylko dobrym duchem, dokłada do tego szal z cienkiego kaszmiru i małą torebkę od Miou Miou. Nie wiem, ile zapłaciłem, lecz dobrze, że miałem na to.

Wychodzimy na ulicę Zgierską, która szczęśliwie zyskuje na urodzie i staje się szeroka niczym Avenue Foch. Duża to sztuka. Kilka razy w życiu zdarzyło mi się iść przez miasto z dziewczynami tak pięknymi, że zagapionym kierowcom groziło niebezpieczeństwo, lecz tylko raz motocyklista wjechał na znak drogowy, szczęśliwie nie pędził za szybko. Teraz chłopak w czerwonym bmw tak się zapatrzył na Dorę, że za późno zauważył hamujący przed

przystankiem tramwaj. Miał jednak ciągle błogi wyraz twarzy, jakby stłuczony reflektor samochodu nic go nie obchodził. Od strony Bałuckiego Rynku nadjechała ciężarówka wyładowana gruzem z rozbieranego domu w dawnym getcie. Kierowca zwolnił, przyjrzał się wgiętej masce bmw, a na jego twarzy pojawiło się zadowolenie. Wszyscy więc dzięki Dorze byli na swój sposób szczęśliwi. Skorzystałem z okazji i rzuciłem na przyczepę ciężarówki papierową torbę, w którą zapakowano starą suknię Dory i bejsbolówkę Jurka. Jurek mógł mieć potem słuszne pretensje, ale zamachnąłem się, nim zdążyłem o tym pomyśleć.

Aby dojść do budynku, w którym mieli występować artyści, trzeba było pokonać dziedziniec. Regina prędeż spodziewałaby się aresztowania wszystkich, łącznie z sędzią, niż prawa do jakiegokolwiek wyższej przyjemności. W odszukaniu Marka pomógł jej jeden z podejrzanych typków, którzy dyskretnymi ruchami wskazywali drogę do gmachu mogącego być fabryczną elektrownią. Jednak kiedy wprowadzono ich do środka, zobaczyła najprawdziwszy, wypełniony po brzegi teatr, z czerwonym pluszem siedzeń, złoceniami we wszystkich możliwych miejscach, a także dużym kandelabrem. Dłoń Marka zwilgotniała z wrażenia, co jej nie zdziwiło, bo jeszcze nigdy nie był w prawdziwym teatrze. Ona sama, od kiedy zakochała się w Bauhausie, nie znosiła nadmiaru, a nawet się nim brzydziła, lecz teraz doznała uczucia niemal fizycznej przyjemności.

Trwało to krótko, bo w łoży, do której weszli, zobaczyła rozpartą w fotelu szwagierkę, przez pochlebców i szyderców nazywaną księżną. Dobrze wiedziała, że Helena jej nienawidzi, a ona potrafiła odwzajemnić się co najwyżej niechęcią. Zresztą oddała jej zaszczyty i pierwsze miejsce wśród kobiet getta, a poskarżyła się Chaimowi tylko raz, kiedy Helena, dzieląc tort z marchewki na spotkaniu szczotkarzy, podała jej talerzyk na końcu. „Widziałem to – powiedział. – Józef już wie, że jeśli to się powtórzy, ta kłepa pójdzie na rewir robić selekcję obierków”. Szwagierka stała się uniżenie grzeczna, lecz jej nienawiść pogłębiła się do tego stopnia, że kiedy na siebie spojrzały, dostawała tików w lewym oku. Jej męża Józefa nie było na rozprawie, a powinien dzielić z bratem odpowiedzialność. Byłby jednak tak bezczelny, aby teraz wysyłać Helenę do wspólnej z nią łoży? Postanowiła nie zaprzętać sobie tym głowy, bo za wiele się działo poza możliwościami zwykłej oceny sytuacji. Jeśli do tej pory przy powitaniu tylko dotykały się policzkami, to teraz poczuła soczysty pocałunek. Jedyne, co mogła zrobić, to użyć chusteczki.

Rozejrzała się po sali i spostrzegła, że złocenia są wyblakłe, a w kandelabrze świeci tylko kilka żarówek. Na wypełnionym szczelnie parterze

mężczyźni krażyli między rzędami i głośno o czymś rozprawiali. Kobiety rozglądały się po łóżach, najczęściej patrząc w jej stronę. Cofnęła się, aby nie być widzianą, co wykorzystała Helena, szerokim gestem pozdrawiając kogoś, kto prawdopodobnie uklonił się Reginie. W łoży najbliższej sceny siedział Chaim i nie spuszczał z niej oczu. Czy miał o coś pretensje? Nie mogła tego widzieć, ale na wszelki wypadek uśmiechnęła się przeprasząco. Wyciągnął palec i wyraźnie na coś wskazywał. Odwróciła głowę we wskazanym kierunku i zobaczyła, że krzesło Marka jest puste, a kiedy odwróciła się jeszcze bardziej, zobaczyła ruch klamki zamykającej drzwi.

Od dawna chciał się znaleźć w prawdziwym teatrze. Pan prezes zabierał go tylko na występy i akademie, a on jeszcze w sierocińcu miał teatr zrobiony z pudełka po butach. Kierownik resortu papierniczego, który znał jego ojca, dał mu trochę kolorowych ścinków i Marek lepił z nich aktorów, meble i drzewa. Z czerwonego staniolu zrobił kardynała Richelieu, a z gazy technicznej suknię Milady. Kiedy był Portosem, starał się mówić grubo, a kiedy kobietą – cienko. Nie wiedział dlaczego, ale to drugie zawsze wychodziło mu lepiej. Kiedy pokazał przedstawienie pani Reginie, bardzo je pochwaliła i powiedziała przy kolacji, że w przyszłości Marek będzie kimś takim jak Piscator. Umieszczenie w teatrzyku kardynała Richelieu miało świadczyć o zmyśle politycznym. Nie wiedział, kim jest Piscator, ale pocieszył się, że pan prezes także nie wie, bo uderzył ręką w stół, a robił tak zawsze, kiedy czegoś nie rozumiał. Jeśli to aktor, to Marek chciał nim zostać, bo wczuwanie się w różnych ludzi bardzo dobrze mu wychodziło.

Jedna z łóż była otwarta i zobaczył pana Wudzkiego, kierownika apteki, i dwóch mężczyzn, którzy zawzięcie dyskutowali o dożywociu i karze śmierci. Potem podali sobie ręce, a pan Wudzki przeciął ich uchwyt swoją dłonią, jakby się o coś założyli. Marek minął ich niezauważony i doszedł do drzwi na końcu korytarza. Były uchylone i poczuł zapach milszy nawet od zapachu zupy w sierocińcu. Farba, pot, kurz, oliwa do maszyn, tanie perfumy, a nawet stęchlizna, wszystko to razem tworzyło coś, co chciało się wciągać do płuc. Miałby więc być naprawdę owym Piscatorem, którego przywołała pani Regina? Bez zastanowienia zszedł na dół po krętych żelaznych schodach. Nikt nie zwracał na niego uwagi, raz tylko usłyszał gniewny okrzyk i szybko uskoczył przed wózkiem pchanym przez siłacza. Musiał być to siłacz, bo wiózł skały i fragmenty kolumn greckich, na pewno bardzo ciężkie. Nie trwał długo w błędzie, już po chwili zorientował się, że ciężkie kolumny są jak jego meble wycięte ze staniolu i wstawione do pudełka po butach. Jednak ta wiedza w niczym mu nie przeszkadzała i wcale go nie śmieszyli mężczyźni ubrani w białe tuniki przypominające nocne koszule, spod których wyglądały chude łydki. Szczególnie zaimponował mu człowiek w szarym fartuchu, który

pociągając za liny, potrafił opuścić wielki obraz, przedstawiający łąki na wzgórzach i dom z kolumnami. Gdyby nawet pan Piscator nie był aktorem, lecz tylko ściągął z góry namalowane obrazy, to i tak Marek chciałby nim być.

Kiedy usłyszał tubalny głos sędziego, przestraszył się. Znieruchomiał na wszelki wypadek, starając się upodobnić do drzewa, lecz sędzia rozpoznał go i kiwnął głową przyzwalająco. Musiało być to przyzwolenie, bo zaraz podniósł do góry ręce i zapadła ciemność. Trwała chwilę, aż w górze zajaśniało światło rozpraszające cienie, a potem drugie, które było słońcem, ale nieśmiałym, i Marek zrozumiał, że to poranek w dalekim kraju.

I co teraz zrobisz, biedaczko? Wiedziałam, że ten ślub nie wyjdzie ci na dobre. – Helena powiedziała to z miną zafrasowaną tak udanie, jakby samo siedzenie w łoży dodawało talentu aktorskiego.

Regina miała na języku dwie odpowiedzi, jedną prawniczą, sugerującą szybkie nadejście kłopotów Heleny, drugą prostszą, składającą się z jednego tylko zdania zasłyszanego na bałuckim podwórku. Nie odpowiedziała w ogóle, bo w jednej z łóż dostrzegła Wilskiego, który wyraźnie dawał jej znaki. Na szczęście w tym samym momencie zgasło światło. Ostry punktowiec oświetlił proscenium, na które wyszedł aktor ubrany w strój błazna. Przysłonił ręką oczy, starając się przebić przez ciemność panującą na widowni, i powiedział:

– Nie przynoszę wam dzisiaj śmiechu ni zabawy, dziś zobaczycie wielkie i poważne sprawy, których ton uroczysty zachmurzy wam czoła i gorzkich łez potoki do oczu przywoła. Kto się litować może, zobaczy cierpienia godne swego współczucia i swego westchnienia. Tylko ten, co rachuje na rozpustne żarty, na śmiech niewiast, szcęk szabel i na bój uparty, tylko ten się zawiedzie, co rachował na to, że pajaca tu szatę zobaczy pstrokata. Wy przeto, najważniejsi sceny tej sędziowie, smutnej powieści naszej słuchajcie ze łzami. W całej rzeczywistości niech stanie przed wami dobrze wam znany człowiek, jak z grobu powstały.

Jeszcze raz zapadła ciemność, a potem kurtyna wolno się podniosła. Regina zobaczyła sielski krajobraz i kilku uzbrojonych w kije aktorów udających obywateli rzymskich.

– Posłuchajcie mnie, nim dalej pójdziemy – powiedział potężnie zbudowany mężczyzna z najtęższym kijem w ręce. Aby podkreślić, że ma coś ważnego do powiedzenia, wstał na leżący przy drodze głaz. Głaz zaskrzypiał, lecz wytrzymał ciężar. Aktor grał kogoś, kto cieszył się poważaniem, bo pozostali aktorzy zaczęli krzyczeć:

– Mów, mów!

- Postanowiliście wszyscy umrzeć raczej niż głód cierpieć?
- A cóż nam pozostało?
- Trzeba wam przede wszystkim poznać herszta nieprzyjaciół ludu.
- Znamy go dobrze. Znamy! To Kajus Marcjusz! – wykrzykiwali jeden przez drugiego.

Regina była przekonana, że to Szekspir, choć za nic nie mogła sobie przypomnieć, która ze sztuk. *Troilus i Kresyda*? Nie dałaby głowy.

– To, co przeładowuje ich uprzywilejowane kiszki, nas by postawiło na nogi. Nasza chudość, widomy skutek nędzy naszej, jest dowodem ich intrat. Zabijmy go więc, a będziemy mieć zboże za dowolną cenę. Czy się zgadzacie? – Aktor wznosił swój potężny kij do góry i wyglądał naprawdę groźnie.

– Zgadzą się. Idźmy jak najprędzej! – Jego słowa spodobały się wszystkim, a także na sali wywołały pewien oddźwięk.

– Słowo, zacni obywatele... – niespodziewanie wtracił człowiek z przylepioną siwą brodą, który trzymał się dotąd z dala od całej grupy. – Zważcie, jakie ojczyźnie wyświadczył przysługi...

– Co tam dobrego zrobił, zrobił to jedynie dla zaspokojenia dumy! – Mężczyzna stojący na kamieniu dobrze zagrał irytację. – Niech tam ludzie delikatni mówią, że ojczyznę miał na celu; ja nie przestanę utrzymywać, że jedynym jego celem wyniosłość, którą się nadyma.

– Nie możecie jednak żadną miarą powiedzieć, żeby był chciwy. – Starzec z siwą brodą nie zamierzał ustąpić.

– Jeżeli nawet, to i tak znalazłbym tyle zarzutów, że zmordowałbyś się ich wysłuchaniem.

– Cicho, ktoś się zbliża – wykrzyknął jeden z nich, a ważny mężczyzna szybko zszedł z kamienia.

Na scenę wszedł aktor ubrany w szatę zdradzającą, że jest patrycjuszem albo kimś jeszcze ważniejszym. Regina rozpoznała w nim Arkadiusza Borzyka, który na studiach w Warszawie utrzymywał się z posiadania odpowiedniej garderoby. Nie było filmu z życia wyższych sfer, aby w nim nie statystował razem ze swoim frakiem. Jakies trzy razy w miesiącu dostawał najwyższą stawkę, czyli piętnaście złotych. Nie tylko za frak, przede wszystkim za wygląd – dodawał zawsze. Jak mógł się z tego utrzymać, nie miała pojęcia. W getcie pomogła mu, kierując do papierowych zabawek. Podczas rozprawy tylko on kłaniał się jej z daleka.

– Cóż to się święci, moi współrodacy? – spytał grzecznie jak człowiek, który wie, co to bieda. – Gdzież to się wybieracie z tymi kijami... Nie chcecie się aby o zgubę przyprawić?

– Nie boimy się tego, panie, bośmy już o nią przyprawieni.

– Mogę wam ręczyć, moi przyjaciele, że mamy o was pieczę. Co zaś się tyczy waszej biedy podczas tego głodu, to zarówno moglibyście miotać kijami w niebo, jak i w rzymskie państwo. Niedola rzuca was w większą niedolę; i zlorzeczycie sterownikom państwa i przeklinacie jako nieprzyjaciół tych, co się o was jak ojcowie troszczą.

– Pięknie się o nas troszczycie! – Wysoki aktor grający przywódcę zdesperowanego pospólstwa przypomniał sobie o swojej roli. – Pozwalacie nam umierać z głodu, a magazyny podobno pełne są zboża. Co dzień ogłaszacie nowe prawo ku uszczerbkowi biedaków. Jeżeli nas wojna nie zje, wy to zrobicie.

Cicho, omal niepostrzeżenie pojawiła się na scenie jeszcze jedna postać. Musiał to być ktoś także bardzo ważny, bo miała na sobie lśniąca zbroję, a za pasem miecz. Także wygląd samego aktora, jak oceniła Regina, świadczył o tym, że chodzi o którąś z głównych ról. Mało kto, nawet w charakteryzacji, przypominałby tak udanie popiersie Jowisza Kapitolińskiego. Pomyślała, że może to być aktor, który u Schillera grał Kordiana na kilka miesięcy przed wojną.

– Witaj, przyjacielu! – pozdrowił patrycjusza i zaraz surowo spojrzał na grupę pospólstwa. – Cóż tu robicie, niesforne gbury?

– Zawsze otrzymujemy od was dobre słowo, panie. Tym razem jest nie inaczej – zaczął przywódca, jednak już nie tak buńczucznie.

– Kto bywam dał dobre słowo, ten byłby pochlebcą niższym nad wszelką pogardę. Czegóż oni chcą? – Aktor grający Jowisza odszedł z patrycjuszem na bok sceny.

– Zboża i zniżenia jego wysokiej ceny, twierdzą bowiem, że miasto jest nim dobrze opatrzone.

– Obwiesie! Oni to twierdzą? Jak świerszcze siedzą za piecem i wmawiają w siebie, że wiedzą, co się dzieje w Kapitolu. O! Gdyby senat chciał na bok odłożyć litość i miecza użyć mi pozwolił, nagromadziłbym z tych głów kapuścianych stos tak wysoki, jak najwyżej mogę dosięgnąć szpicą mej włóczni.

– Nie mów im tego, powinieneś raczej polecić siebie ich dobrej pamięci.

– Niech im kat świeci z ich pamięcią. Wolę, żeby zupełnie o mnie zapomnieli.

– Mówisz o ludzie, jak gdybyś był bóstwem karzącym, nie zaś stworzeniem podobnie upośledzonym.

– Przecież to tylko wrzaskliwa hołota, której tchnienie jest dla mnie tym, czym wyziew zgniłych bagien, której przychylność tyle u mnie warta, ile bliskość ścierw niepogrzebanych...

Kiedy aktor wypowiadał ostatnią kwestię, tyle w nim było wyższości, że górował nad wszystkimi bez wchodzenia na kamień. Dobrze znana Reginie publika okazała się nieczuła na talent, bo już od dłuższego czasu buczała na każde jego słowo, aż wreszcie zaczęła tupać, a niektórzy nawet ośmielili się rzucać na scenę czym popadnie. Aktorzy zaczęli wycofywać się za kulisy, lecz jak przystało na czasy, w które przeniosła ich sztuka, czynili to w zwartym legionowym szyku. Wtedy też Regina pomyślała, że był to raczej fragment *Koriolana*, którego czytała dawno, i to w niemieckim tłumaczeniu. Jeśli się nie myliła, to aktor, który tak rozjuszył widzów, grał Koriolana właśnie. Była całym sercem po jego stronie, i to nie tylko, jeśli chodzi o talent, o którym ta publika nie mogła mieć większego pojęcia. Słowa wymierzone przeciw zbiorowej głupocie ludzi ciasnych horyzontów były trafne. Tylko kilka osób na tej sali mogło wiedzieć, ile Koriolan uczynił dla dobra Rzymu. Tym bardziej spodobało się jej, że aktor z dłonią na rękojeści miecza schodzi ze sceny ostatni. Szybko zgaszono światło, a dla uspokojenia publiczności rozległ się daleki grzmot zwiastujący burzę.

– Idę między lud, bo tylko w nim sprawiedliwość. – Regina usłyszała w ciemności odsuwanie fotela i głos Heleny:

– Mam nadzieję, że nie zetną ci głowy. Światło z korytarza na chwilę oświetliło łóżę, a kiedy drzwi się zamknęły, znowu zapanowała ciemność.

Długo przypatrywał się dźwigniom uruchamiającym liny, które w teatrze mogły wszystko, a jeszcze dłużej stał przy mężczyźnie malującym drzewo na wielkim płótnie rozłożonym na podłodze. Pan artysta spytał go nawet o imię. Powiedział, że koledzy mówią na niego Hamlet. Minał się z prawdą celowo, gdyż wiedział, że w teatrze nic nie jest prawdziwe, a Hamlet był bohaterem sztuki teatralnej, o której wspomniała w sierocińcu doktor Raberowa z Berlina. Zapamiętał, z jakim naciskiem podkreśliła, że jej syn grał tam Hamleta, i to z wielkim sukcesem. Na niewinne pytanie pielęgniarki, czy syn przyjechał z nią do Łodzi, lekarka rozplakała się i długo nie mogła się uspokoić. Marek zrozumiał wtedy, że Hamlet to nie byle kto. Malarz nie zdziwił



się i nazywając go nowym imieniem, poprosił o przybliżenie słoika z terpentyną. Potem obaj usłyszeli hałasy dobiegające ze sceny.

Z widowni słyhać było gwizdy i tupanie, a ze sceny schodzili wyraźnie speszeni aktorzy. Sędzia przyjmował ich jak zwycięzców, chwalił za talent, a ubrudzonym osobiście pomagał się wytrzeć. Przedtem jednak dał znak, aby wyłączono światło, i dopiero kiedy sala nadal nie chciała się uspokoić, wziął do ręki drewnianą pałkę. Nie wyglądał na zezłoszczonego, kiedy z całej siły uderzył nią w olbrzymią blachę. Marek aż podskoczył, bo grzmot, który się rozległ, był głośniejszy od wszystkich grzmotów, jakie słyszał w życiu. Potem sędzia pokręcił korwą i dał się słyszeć wiatr, który gdyby zawiął naprawdę, mógłby przewrócić tramwaj. Na koniec sprokurował deszcz tak duży, że słyhać było strugi wody zalewające ziemię. Wyraźnie sprawiało mu to przyjemność, a nawet jakby się trochę popisывał: – Grzmoty, wichry, ulewy, moja to specjalność... – powtarzał niby pod nosem, ale i tak wszyscy mogli to usłyszeć. – Niech burza uspokoi rozognione głowy... – Jeszcze jeden potężny grzmot, i Marek gotów był przysiąc, że sędzia się uśmiechnął. Głowy by za to nie dał, ale odniósł wrażenie, że uśmiechnął się właśnie do niego.

Chcąc rozwiązać obawy aktorów mających występować w kolejnych odsłonach, sędzia przydzielił im oddział dobrze uzbrojonych legionistów. Poszli na scenę w zwartym szyku i dodając sobie otuchy szturchnięciami. Kiedy kurtyna się podniosła, Marek zobaczył ogród przed namalowanym pałacem w pełnym świetle dnia. Legioniści stanęli rzędem i patrzyli w stronę publiczności, pewnie groźnie, bo było cicho jak makiem zasiał.

Otyły pan w granatowym fartuchu stał za kurtyną i udawał śpiew skowronka. Tak dobrze, że Marek postanowił prosić go o naukę, jednak wcześniejsze odgłosy burzy ściągnęły za kulisy straż pożarną, a w każdym razie dwóch jej przedstawicieli. Atletycznie zbudowani, w lśniących kaskach na głowach, wyglądali na ludzi, których należało się obawiać, zwłaszcza że jeden z nich nerwowo głąskał toporek. Sędzia nawet na nich nie spojrział, ale instynkt nakazał Markowi nieufność wobec munduru. Wolnym krokiem, aby nie wyglądało to na ucieczkę, wszedł w najbliższy korytarz, lecz strażacy wiedzeni strażackim instynktem zrobili to samo. Nacisnął więc klamkę czwartych z kolei drzwi i wszedł do środka. Wybór nie był przypadkowy. Dobrze pamiętał, że w czasie każdej gettowej szpery pierwsze mieszkanie na piętrze rewidowane było najdokładniej, kolejne przetrzasano już z mniejszą energią, a ostatnie znowu wywoływało u rewidujących przyływ wścieklej pracowitości. Jeśli więc drzwi na korytarzu teatralnym było osiem, to jak wyliczył, przy czwartych powinien nastąpić u strażaków kryzys wywołany nudą powtarzanych czynności. W każdym razie miał taką nadzieję.

Znalazł się w pomieszczeniu, gdzie przebierano się do występów: do jednej ze ścian, jak u jego wuja, fryzjera Merona Kaszuby z Pomorskiej, przymocowano kilka luster, a na wieszakach wisały suknie i szlafroki. W pierwszej chwili chciał się schować za parawanem w chińskie smoki, ale zaraz skarcił się za to, bo przecież tam zajrzeliby w pierwszej kolejności. Wspomnienie wuja także nie dodawało otuchy, bo zastrzelono go na samym początku wojny tylko dlatego, że zbyt nerwowo spojrzął na brzytwę. Głosy strażaków zbliżały się, zanurkował więc pod leżankę okrytą rzuconymi niedbale sukniami. Było tam ciasno, lecz czuł się bezpiecznie nawet wtedy, kiedy drzwi otworzyły się i strażacy weszli do środka. Jeden z nich powiedział coś wesołego, drugi zaśmiał się głośno, potem trzask zapalanej zapalki i pod leżankę dotarł zapach dymu z papierosa. Wreszcie trzask zamykanych drzwi i cisza.

W łóży panował półmrok i była w niej sama. Zamknęła oczy i poczuła się zwolniona z obowiązku patrzenia na cokolwiek. Piękna chwila nie trwała długo, bo z widowni dobiegły podniesione głosy, a kiedy dyskretnie się wychyliła, zobaczyła Helenę siedzącą w trzecim rzędzie obok człowieka, o którym wiedziała tylko, że nazywa się Meyer i że był jednym z kierowników resortu warzywnego. Chaim przyłapał go kiedyś na malwersacji i kilkakrotnie uderzył laską. Powinien być za to wdzięczny losowi, bo gdyby został oddany pod sąd, miałby za swoje. Teraz Meyer wskazywał ręką na górne łoże i głośno coś tłumaczył siedzącym najbliżej. Zapadła się w fotel, chcąc być jak najmniej widoczna. Już któryś raz w ostatnim czasie pomyślała, że ciemność, której się zawsze trochę bała, daje największe ukojenie.

Kurtyna znowu się podniosła i Regina zobaczyła ogród zakończony ścianą lasu. Las namalowany wyjątkowo tandetnie przypominał oleodruki znane jej z ubogich domów. Chaim w swojej łóży podpierał siwą głowę i wszystko wskazywało na to, że śpi. Wilski wpatrywał się w Reginę z daleka, co do tego nie mogła mieć wątpliwości, tymczasem na scenę wyszły dwie kobiety. Nie wydały się jej młode, ale mocne rumieńce na policzkach miały stwarzać iluzję dziewczęcości. Od pierwszej kwestii wiedziała, że będą mówić o swoim ojcu Learze.

– Nie o małej rzeczy mam z tobą do pomówienia, siostrze. – Goneryla była podobna do Niki Piaseckiej, która umarła na dyfteryt jeszcze przed wojną. – Tyczy ona nas obojdwóch. Ojciec obrażony zamierza dziś wieczorem wyjechać.

– Na starość stał się kapryśny; wiele miałyśmy sposobności, aby się o tym przekonać. Zawsze kochał naszą siostrę najbardziej, a popatrz, z jaką nedorzeczną surowością ją odepchnął. – Druga aktorka nikogo Reginie nie przypominała.

– To ułomność wieku; choć on nigdy nie wiedział dobrze, czego chce.

– Przy całej sile i czerstwości był popędliwym, trzeba nam więc być przygotowanym na to, że będziemy musiały znosić nie tylko zło dawnych przyzwyczajzeń, ale i wybryki dziwactw, jakie zgryźliwa i choleryczna starość z sobą przywodzi.

– Będziemy musiały znosić nieoczekiwane kaprysy... – Aktorka odpowiednio zawiesiła głos, jakby pozostawiając siostrze decyzję co do odpowiedniego lekarstwa.

– Trzeba nam coś przedsięwziąć, i to póki żelazo gorące...

Musiała przyznać, że aktorstwo było na niezłym poziomie i zupełnie nie pasowało do tandetnej dekoracji. Najgorsza jednak była reakcja sali. Po każdym określeniu starości: kapryśna, zgryźliwa czy choleryczna, ludzie krzyczeli z radością, a nawet popisywali się podpowiadaniem kolejnych przymiotników. Dziwne zachowanie jak na tych, u których mądrość i doświadczenie starości zawsze było w największym poszanowaniu. Zresztą, czy Szekspir potrzebował pomocy od łódzkich Żydów? A może jego tłumacze, Paszkowski albo Ulrich? Ulricha znał jej dziadek Natan i jak najlepiej wyrażał się o jego talencie. Zupełnie przypadkowo spojrzała w stronę łoży Wilskiego, lecz jego fotel był pusty.

Gdyby mógł, nie wychodziłby spod leżanki. Było ciemno, cicho i bezpiecznie, a jednocześnie widział barwny świat sukien i gorsetów. Od kilku tygodni już samo słowo bielizna, oznaczające coś, co bezpośrednio dotyka ciała kobiety, brzmiało w jego uszach jak obietnica bliżej nieokreślonego dreszczu, a teraz gdyby się odważył, mógł dotknąć nogawki majtek zwisających blisko jego nosa. Zrobił to, zamiast dreszczu jednak poczuł chęć kichnięcia. Już wcześniej przeszkadzał mu drapiący w gardle kurz, a jeszcze bardziej zapach perfum inny niż ten, który czuł przy pani Reginie. Składał się z mocno nieświeżej konwalii przemieszanej z zapachem potu i może jeszcze octu winnego, ale tego nie był już pewien. Nie cieszyła go także myśl, że pod leżanką musi być bardzo brudno, i nie chciał sobie nawet wyobrazić miny, z jaką pani Regina popatrzy na jego ubranie. Rozsądek podpowiadał mu, że kiedyś trzeba będzie stąd wyjść, więc powoli wysunął głowę, a za nią rękę. W tym samym momencie usłyszał kobiecy śmiech i szcęk klamki i ledwie zdążył się schować.

Dwie kobiety ubrane w białe tuniki wydały mu się zjawami, i to najpiękniejszymi, jakie widział w życiu. Zaraz się z tego wycofał, bo nie widział przecież nigdy żadnych zjaw, a więc dlaczego akurat te miały być najpiękniejsze. Jedna z nich, wyraźnie w złym humorze, usiadła przed lustrem

i zaczęła dotykać swojej twarzy. Jak się okazało, niebezpieczeństwo groziło mu ze strony kobiety, która weszła ze śpiewem na ustach i sprawiała wrażenie radosnej. Z tego, co zrozumiał, była w kimś zakochana. Więcej nie zdążył usłyszeć, bo po kilku tanecznych krokach rzuciła się z wesołym piskiem na leżankę. Gdyby nawet należała do rodu Liliputów, jej dziki skok mógł się dla niego źle skończyć. Odsłonięte i popękane sprężyny zdezelowanego mebla sterczały nad nim niczym sztylety, a pod ciężarem kobiety opadły z dużym impetem. Na szczęście najwięcej ważyć musiała w środku swojego ciała, gdyż uderzenie poczuł w okolicach brzucha, twarz natomiast została oszczędzona, choć jedna ze sprężyn dotknęła jego nosa. Także dużo trawy morskiej posypało mu się w usta i oczy, powodując chęć kichnięcia i utrudniając oddech. Nie pisnął nawet i bohaterstwo zostało nagrodzone, bo ciężka pani zerwała się z leżanki, pozwalając sprężynom podnieść się, i znowu zaczęła tańczyć.

– Pośpiesz się! – powiedziała kobieta przy lustrze – I nie myśl, że on na mnie tak kiedyś nie spojrzał. A powiem ci, że nawet dwa razy...

– Dobrze wiesz, że to coś więcej – odpowiedziała pani wesoła, jednak posłuchała rady i przestała się kręcić wkoło.

Ze swojego miejsca widział tylko jej ciało spowite w białą szatę i to mu wystarczało. Kobieta znikła na chwilę z pola widzenia, by pojawić się z suknią, tym razem czarną i obszytą na dole złotym galonem, którą niedbale rzuciła w jego stronę. Złoty atlasowy skraj sukni zwieszał się z leżanki i aż prosił się o dotknięcie, jednak Marek nie odważył się choćby ruszyć palcem. Wtedy też nastąpiło coś, czego się nie spodziewał, ale na co zarazem czekał całym sobą, odkąd zobaczył wchodzące kobiety.

Pani śmieszka uniosła brzeg białej szaty i kurtyna bez zbytniego pośpiechu odsłoniła przed nim widok łydek, a potem potężnie sklepionych ud. Poczuł, że kręci mu się w głowie, ale trzymał się dzielnie, bo za chwilę mogły ukazać się majtki. Ukazały się, różowe, trochę za duże, ale też duże ciało okrywające. Suknia została zdjęta i kobieta stała przed nim w całej swojej krasie. Napierśnik, także różowy, zdawał się pękać pod naporem potężnych piersi, a mleczna skóra, gdzieniegdzie tylko piegowata, lśniła spocona od tańca, a może z wrodzonego połysku. Kobieta przeciągnęła się, a kiedy przeczesawała palcami włosy na głowie, spod jej pach buchnęły w jego stronę czerwone kędziory. Podeszła do lustra, wzięła ze stolika metalowy pojemnik i naciskając gumową gruszkę, zaczęła się skrapiać wodą kolońską. Widok stał się jeszcze piękniejszy, bo wyginała się przy tym w różne strony, a obfitość jej ciała tworzyła miękkie fałdki, które znikwały, by pojawić się w coraz to innym miejscu, jakby w niemym języku zapraszały do podziwiania. Wreszcie rozstała się z zapachem płatków róży i podeszła do leżanki po czarną suknię. Wtedy też dostrzegła Marka.

Oczywiście, że powinien to przewidzieć i wsunąć się głębiej, ale było mu wszystko jedno. Kobieta otworzyła usta z wrażenia lub dla wydania okrzyku, ale zamknęła je zaraz. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy.

- Tyle twojego, biedaku – powiedziała pod nosem i odłożyła suknię.
- Co mówisz? – zainteresowała się uprzejmie jej koleżanka.
- Gdybym coś powiedziała, na pewno byś usłyszała.

Już nie patrząc na niego, sięgnęła do gumy majtek. Najpierw zobaczył pępek wielki niczym krater, tak wiele obiecujący, że chciałby zsunąć się w jego czeluść i ogrzać w jego ciepłe. Za chwilę jednak opadający jedwab odsłonił krzak gorejący, przy którym kędziory pach wydały się kępkami mchu za ledwie. Patrzył w niego w zachwyceniu, a potem przestał widzieć cokolwiek, bo zemdłał.

Nie dałaby za to głowy, lecz była prawie pewna, że aktorka, która w *Królu Learze* grała Gonerylę, teraz była królową. Pewnie w *Ryszardzie III*.

– Cóż król ma teraz począć? Czy się poddać? Król to uczyni. – Ryszarda odgrywał aktor nieobecny dotąd na scenie, lecz dobry: nie podnosił w górę oczu i nie robił płaczących min. – Dać się złożyć z tronu? I owszem. Stracić swe królewskie imię? Niech w imię Boga i to już przepadnie! Dam me klejnoty za sznurek paciorków, mój pyszny pałac za dom pustelniczy, a me ogromne królestwo za mały, maluczki, ciemny grób, bez śladu!

Kiedy wypowiedział słowo „królestwo”, Regina usłyszała najcichsze z możliwych skrzypnięcie drzwi, a potem wyczuła czyjaś obecność. A więc to, co przez te kilka tygodni próbowała zrobić dla Marka, dawało rezultaty. Choć oddalił się bez pozwolenia, to starał się wrócić cicho, aby się nie zorientowała, że w ogóle wychodził, i nie było jej przykro.

– Lub mnie pogrzebcie na gościńcu walnym, na drodze bitej: niech po króla głowie stopy poddanych depcą bez ustanku – skarżył się dalej aktor. – Bo jeśli serce depcą mi za życia, mieliby głowę szanować po śmierci? A ty wracaj do Francji i w jakim cichym zamknij się klasztorze...

Powinna pokazać Markowi, że go widzi, a potem zachęcić do komentowania sztuki. Odwróciła głowę. Na fotelu zasłoniętym dla widowni siedział Wilski.

– Proszę nie traktować tego jak ponaglenia, ale to już naprawdę ostatni moment na decyzję – mówił szeptem, prawie nie otwierając ust. – Za chwilę nie będę mógł pani pomóc... Proszę mi wierzyć, musi go pani porzucić, nie ma innego wyjścia. Nie mogę wiele obiecać, ale zrobię wszystko, aby była pani

szczęśliwa... Dlaczego pani milczy? – Po raz pierwszy, odkąd go poznała, usłyszała rozgorączkowanie w jego głosie. – Jak chcesz. Tu jest klucz do drzwi prowadzących na stronę sądu... – Najdelikatniej jak można dotknął jej ramienia, a potem przechylił się i położył klucz na parapecie łoży. – Będę czekał... I będziesz wolna...

Jeszcze skrzypnięcie drzwi, i znowu była sama. Na scenie rządziła teraz królowa w czarnej sukni obrzeżonej złotym lampasem.

– Czyż tak się w duszy jak w postaci zmienił, osłabił mój Ryszard? Czyż cię i rozumu Bolingbroke zbawił? Wdarłszy się w twe serce? Lew, zanim umrze, wznosi groźną łapę i rani ziemię lub w co sięgnąć zdoła, z gniewem, że uległ – a ty miałbyś chłóście jak żak się poddać i całować różgę, łaszac się podle wściekłości twych wrogów, ty, co lwem jesteś, wielkim królem zwierząt?

Bez patrzenia wiedziała, że w łożach i na widowni wiele głów odwróciło się w jej stronę. Uznała, że tym razem przesadzili. Postanowiła nie chować się w cień i z królewską miną wytrzymała spojrzenia gawiedzi. Sami tego chcieli. Kiedy jednak wyciemniono scenę, zacisnęła w dłoni klucz leżący na parapecie.

Wypchnięty na scenę aktor o mało się nie przewrócił. Biedaczysko próbował udąć, że było to zaplanowane, lecz tylko spotęgował chichoty na widowni.

– Witaj, więzieniu, do wolności drogo! Przenoszę los mój nad los podagryka – powiedział z patosem, i w tym momencie drewniana kula, udająca żelazną, odłączyła się od łańcucha, którym był przepasany. Wywołało to wybuch śmiechu, jednak aktor nie poddał się i prawie wykrzyczał: – Co woli jęczeć wśród wiecznych boleści niż z rąk śmierci przyjąć lekarstwo i cierpienia skończyć...

Jego dzielność nie została jednak doceniona. Publiczność zaczęła się zachowywać, jakby wolno jej było wszystko. A znak do tego jak zwykle dał Abram Sawicki, który lubił się przechwalać, że już Tacyt wspominał o klakierach, i to z szacunkiem. O przychylność Abrama zabiegali aktorzy i dyrektorzy teatrów, a on niby cesarz dawał znak swoim ludziom do wybuchu entuzjazmu lub tylko lekkich brawek. Teraz pierwszy gwizdnął. Harmider godny operetki – zdążyła pomyśleć, zanim usłyszała za sobą inny hałas. Odwróciła się i zobaczyła strażaka o ordynarnej twarzy, który trzymając Marka za kołnierz, wepchnął go do łoży. Chciała krzyknąć, lecz powiedziała tylko:

– Czyż nie rozumiesz, prostaku, że dotknięcie twojej ręki może być dla kogoś obrzydliwe?

– Gdybym to rozumiał, nie byłbym prostakiem, paniusiu – odpowiedział nadspodziewanie rzeczowo i zamknął za sobą drzwi.

Posadziła Marka przy sobie i nie zwróciła mu nawet uwagi, jak bardzo jest pobrudzony. Co więcej, objęła go. Wydawał się tym przejęty.

Zza kulis wyszedł sędzia i natychmiast niczym w ludowym powiedzeniu nastąpiła cisza jak makiem zasiał. Położył aktorowi rękę na ramieniu i powiedział do publiczności:

– Jak widzę, żadnej litości dla biedaka. Podziękujemy jednak więźniowi za jego wysiłek mimo buntu materii. Chciał najlepiej, za to mogę ręczyć...

Rozległy się skąpe oklaski, aktor tylko skinął głową i zszedł ze sceny.

– A teraz przygotujmy się wszyscy do tej chwili, gdy to nie starożytni będą nam obrazem, lecz człowiek z krwi i kości, którego polecam wysłuchać z najwyższą uwagą. – Sędzia był już za kurtyną, ale jeszcze wystawił zza niej głowę: – I proszę o stosowną powagę.

Kurtyna nie podniosła się, mimo że światło pojedynczego reflektora oświetliło środek proscenium. Na widowni było cicho do czasu, kiedy w krąg światła wszedł mężczyzna w długich butach i gabardynowych bryczesach. Wtedy rozległo się kilka westchnień, a Regina drgnęła jak podłączona do słabego prądu. Na scenie stał Chaim w całej swojej okazałości. Siwa czupryna, okulary, które właśnie przecierał, i laska przełożona przez ramię. Jak na komendę wszystkie głowy odwróciły się w stronę łoża prezesa, aby sprawdzić, czy to faktycznie on we własnej osobie zstąpił na scenę. Regina pierwsza spojrzała w tamtą stronę i zobaczyła białe włosy i błysk okularów. Ich właściciel na pewno także był zdumiony tym, co zobaczył. Przeniosła wzrok na Marka, ale on nie wydawał się zaskoczony; szybko się uczył konwencji. Aktor na scenie skończył wycierać okulary, mocno osadził je na nosie, potem podparł się laską i dopiero wtedy rozejrzał się po widowni.

– Jakże mnie dręczysz, nachalne sumienie, że każesz stanąć przed wybranym tłumem, aby go prosić o chwilę uwagi.

Prezes na scenie miał głos podobny do prezesa wszystkich, ale bardziej donośny. Nie uznała tego za okoliczność szczęśliwą dla teatru, tym bardziej że dla dobra inscenizacji wskazana byłaby nuta pokory lub choćby zmęczenia. Aktor ani myślał jej posłuchać i dudnił potężnie:

– Stoi przed wami starzec nieszczęśliwy, który w nieznanym świecie, plugawym zamęcie próbował dać wam należne oparcie. Myślicie może, że ambicja chora dała nałożyć sobie złote jarzmo? To obowiązek raczej i olśnienie, że stara głowa przyda się wam jeszcze...

– I przydała się... Do chrznanu tarcia! – wykrzyknął ktoś z sali, ośmielając innych do wybuchu śmiechu. Reginie głos wydał się znajomy, ale jak na złość

nie mogła go z nikim skojarzyć. Aktor przypatrzył się widowni i powiedział tylko:

– Racz nie przeszkadzać, o panie wesółku, bo i tak trudno dać właściwe słowo temu, co zaszło...

Pomyślała, że dobrze zaimprovizowanym momentem, choć może przez nikogo niedocenionym, było zaciśnięcie przez aktora dłoni na lasce, a nawet lekkie uniesienie jej nad podłogę sceny.

– Wiedźcie, nie królem, waszym ojcem byłem, kimś, kto nad sobą miał srogiego kata. Zaś układ z katem po to był zawarty, by was ratować od niechybnej śmierci. Wiem, że poległem przy tym i wam dałem polec, lecz czy ktoś chętny był, by mnie wyręczyć? Czy ktoś próbował podjąć to wyzwanie? Kto by nie upadł pod nim lub się nie zgiał, niech się pokaże i rzuci kamieniem. Czym wziął na siebie to brzemię straszliwe, by każdy z waszych języków nędznikiem zwał mnie i dzikie miał oskarżenia? Jeden drogowskaz miałem: ratowanie Żydów, i za to chcecie wypluć mnie ze szczętem? Nad waszym losem, nie nad swoim płaczę!

Spojrzała w stronę łoży i zobaczyła, że Chaim, pochylony, całym sobą chłonie padające ze sceny słowa.

– Drwicie z boleści mojej? Sam z niej szydę, jak szydę z siebie i tego uczucia, które kazało mi się o was troszczyć. Dzisiaj dostaję stosowną zapłatę! Zatem, jeżeli dusze wasze gniewne patrzą z daleka na mą tu niedolę, niech mój upadek wyśmieją przez zemstę, jak ja się śmieję ze swojej tragedii...

Wycofała się pokornie z pretensji do aktora, bo wzniósł się teraz na najwyższy poziom swojego kunsztu. Głos już cichy, choć słyszany w ostatnich rzędach, po równo doprawiony skargą i drwiną z własnej naiwności. Do tego łąza pod szkłem okularów, świadcząca o wyczuciu chwili. W Łodzi Sara Bernardt musiałaby podpisać weksel, że umrze na scenie, aby zapełnić widownię na drugim przedstawieniu, powtarzał ojciec Reginy, który stracił dużo pieniędzy na ściąganych do miasta artystach. Sama wystarczająco dobrze знаła tę publikę z przedstawień Schillera, ale żeby aż taka niewrażliwość na talent? Niedawny harmider zamienił się w nawałnicę nienawiści do Bogu ducha winnego aktora. Zaczęło się od buczenia i tupania. Potem zaczęto gwizdać i wykrzykiwać słowa, których nie wypadało znać. Wreszcie na scenę posypały się najróżniejsze przedmioty, a starsza z sióstr Widawskich, która w domu Reginy odpowiadała za czystość, rzuciła nawet parasolkę.

Aktor skłonił się z godnością i wyprostowany jak struna poszedł w stronę kulis. Odniosła wrażenie, że miałby ochotę zakręcić młynka swoją laską. Uznała to za prawdziwe zawodowstwo. Został też za nie nagrodzony, bo żaden z rzuconych na scenę przedmiotów nie trafił w niego. Zauważyła jeszcze, że



Chaim chce wyjść ze swojej łoży i wali łaską w drzwi, czego w ogólnym hałasie nie słyhać. Kiedy poniewczasie chciała chłopcu zasłonić oczy, zobaczyła, że Marek przygląda się wszystkiemu, jakby patrzył przez mikroskop, który mu podarowała na urodziny. Podobna umiejętność w tym wieku bardzo ją ucieszyła. Była prawie pewna, że będzie z niego człowiek teatru.

W dzienniku z 8 września notuje: *Nie wiem, dlaczego poruszyła mnie wiadomość, że Bruno Schulz często odwiedzał w Łodzi pewną kobietę. Czyżbym do końca życia nie miał się uwolnić od tego miasta? Podobno bał się fabrycznych kominów, a już najbardziej dymiących. Widzę tę niezbyt urodziwą pannę, jak dużo wcześniej tak planuje spacer, aby nie wystawić gościa na widok dymiących smoków. Kim była, córką małego fabrykanta czy żydowską nauczycielką, próbującą poezji, i dlaczego napisałem niezbyt urodziwą? A koniec? Getto czy wcześniejsza ucieczka z Polski? Wiem, że jej brat mieszkał po wojnie w Meksyku. Będę o tym myślał.*

Ten zapis mógł mieć tylko jeden związek z otaczającą mnie realnością. Dotyczył Łodzi, w której dzień się na dobre rozświetlił i sprawił, że Dora piękniała z każdą chwilą, jeśli to było jeszcze możliwe. Obojętne, czy sen to był tylko, czy chorobowy majak, należało się przeciwstawić wiszącemu w powietrzu erotyzmowi. Może dlatego zaproponowałem jej cmentarz. A może, skoro już byłem w Łodzi, chciałem odwiedzić rodziców? Chodzimy po ocienionych alejach Starego Cmentarza, nazwanego przez Reymonta łódzkimi Powązkami, a naprzeciw mnie idzie Marek Rudnicki, który tu chyba prosto z Pere Lachaise. Cieszę się, że mogę przedstawić Dorze pięknego siwego mężczyznę, ale jak odpowiedzieć przyjacielowi na jego uprzejme „co u ciebie?” Mam mu oświadczyć, że nie żyje, a ja zwariowałem? Tematu do rozmowy z Dorą też nie znajdzie, bo już na samym początku wojny wyjechał z rodzicami do Warszawy. W warszawskim getcie utrzymywał siebie i rodziców z rysowania karykatur w kawiarniach, a kiedy zabrano ich na śmierć, wyciągnęli go przyjaciele. Generał Monter osobiście przyjął go do Związku Walki Zbrojnej i przyszły paryski artysta po krótkim szkoleniu w Modlinie znalazł się w grupie wykonującej wyroki na zdrajcach i szmalcownikach, z czym zresztą do śmierci nie mógł się pogodzić.

Ze swoimi błękitnymi oczami i wyglądem księcia wszędzie mógł się Marek poruszać swobodnie, i to jemu, oraz porucznikowi Dobruckiemu, nakazano przygotować najbardziej utajnioną akcję wojennej Warszawy. Fałszywe afisze miały w imieniu gestapo zaprosić na wyznaczony dzień i godzinę chętnych do oficjalnej współpracy w wyłapywaniu Żydów. W wynajętej sali kinowej wydawać miano legitymacje, czyniące legalnym ich zajęcie, wraz z symboliczną sumą trzydziestu złotych. Po stawieniu się wszystkich żołnierze podziemia

zaryglowaliby drzwi, a z góry puścili na szmalcowników cyklon B, ten sam, który właśnie wprowadzano w Auschwitz. Wszystko rozbiło się o gaz właśnie, bo w tajnym głosowaniu uznano, że nie można stosować wobec zdrajców i wyrzutków społecznych środków wymyślonych przez wroga. Z Londynu nadeszła dyrektywa, że powinno się ich raczej rozstrzelać, tyle że z każdorazowym odczytaniem wyroku, co było niebezpieczne przy dużej przewadze liczebnej skazanych w stosunku do bojowców. Znalazły się także głosy, że kula to śmierć żołnierska i szmalcownikom nieprzystługująca i może by wieszać, ale tych było najmniej. Mimo więc wydrukowanych afiszów, do akcji o kryptonimie „Kino Odeon” nie doszło, podobno także dlatego, że nie było w mieście wystarczająco dużej sali, aby tłum oczekujący przed nią nie wzbudził podejrzeń.

Marek spieszy się, bo jak mówi, ma tu gdzieś pochowaną kuzynkę ze strony mamy, każe tylko ucałować Beatę, a Dorę obrzuca spojrzeniem mężczyzny, który wie wszystko o kobiecym pięknie. Na ucho do mnie: – Mówiłem ci, że moja mama była ruda, a ja do końca życia malowałem rude kobiety. – Do „końca życia” świadczyłoby, że wie, iż nie można bezkarnie z Paryża wracać do Łodzi. Odchodzi, długo i ładnie, coraz mniejszy i mniejszy.

Przy swoich grobach słyszę głos mamy, która mówi: „Uważaj, synku, Beacie może być przykro”. Ojciec milczy, ale nie byłbym pewien, czy tym samym nie daje mi przyzwolenia, „bo przecież nigdy czegoś podobnego nie przeżyjesz”. Ciocia Hala, sama, jak ją pamiętam, zwiewna i erotycznie wyzwolona, próbuje jako prawnik i zawołana śpiewaczka w jednej osobie wytłumaczyć mi, jakie potrafią być kobiety, i to nie tylko w Czechach. Jedynie babcia, z którą mały mam kontakt, bo umarła, zanim się urodziłem, uskarża się na ohydę nowobogackich nagrobków i wysyła mnie z interwencją do konserwatora zabytków.

Dora ożywia się dopiero przed grobem Iry Aldridge’a, murzyńskiego aktora, który umarł w Łodzi podczas swojego europejskiego tournée. Do dzisiaj w jednym z hoteli przechowują łóżko z przykręconą od spodu mosiężną tabliczką upamiętniającą ten fakt. Dora słyszała o aktorze i wiedziała od dziadków, że był w Pradze świetny w roli Otella, a przede wszystkim zdrów jak ryba. Mówi mi o tym z dużym ożywieniem i radością, jakby spotkała starego prażanina, i wymienia nawet teatr, w którym Otello udał się Irze. Jak długo jednak można się snuć po łódzkim cmentarzu z kobietą, która zna tu tylko Amerykanina? Jeszcze Jurek Groszang, malarz i poeta, chce być pochwalony za swój najnowszy wiersz, lecz uciekam ze strachu przed jego nieziemską frazą. Wtedy też myśl, aby zerwać z przeszłością i pokazać Dorze coś, co może być atrakcyjne dla młodej, pięknej dziewczyny.

Najbliżej, bo przez mur cmentarny, widzę fabrykę Poznańskiego, zamienioną na największy, licząc w kilometrach kwadratowych, kompleks rozrywkowy na świecie od czasów Disneylandu. Już za Poznańskiego miejsce to przewyższało inne fabryki w Europie swoim ogromem, własnymi ulicami i liczbą kolejowych bocznic. Teraz mają tam nawet dla klientów własny tramwaj, ryzykuję więc i mówię Dorze, że wreszcie zobaczy słynną Piotrkowską. Dla spokoju sumienia wspominam zaraz o namiastce, ale na tyle cicho, żeby mogła to wziąć za czeskie *náměstí*. Zostaje nagrodzony uśmiechem, co znaczy, że nie mogłem jej zrobić większej przyjemności.

Idziemy więc ulicą Ogrodową, wzdłuż famuł, w których mieszkali robotnicy fabryki; teraz panuje tu radość i zabawa. Otrzymanie nowoczesnego jak na XIX wiek mieszkania było wielkim wyróżnieniem dla przybyszów z okolicznych wiosek, którzy po zniesieniu pańszczyzny ruszyli do powstającego miasta. „Byle kto, proszę pana, tu nie mieszkał, nasi dziadowie to byli paniska” – te dumne słowa usłyszałem od jednego z mieszkańców famuł, gdzie zagęszczenie po wojnie przekraczało już wszelkie pojęcie. Jak szyderstwo z mojego żalu nad biedakami, którzy z jedną ubikacją na piętrze pozostali w innym historycznie czasie, przypominam sobie ogłoszenie z łódzkiej gazety przysłane do Wrocławia, niewątpliwie w złej intencji. Prawie na tyłach famuł, na ulicy zamieszkałej przed wojną przez niezbyt zamożnych Żydów, powstał salon spa. Przeszedłbym nad tym do porządku dziennego, gdyby nie wanna w nim, zwana luxury-spa, w której chętnych kąpie się w winie i whisky. Pozostaje mi się pocieszyć, że list z wyciętym ogłoszeniem był tylko zapowiedzią mojej choroby, i zagadywać Dorę, aby nie zauważyła nieboraków z *favelas* mających przed oknami konsumpcyjny raj.

Dowiaduję się więc, że czyta od dziecka i że do getta przysłał jej list Robert Musil, do którego pierwszy raz ośmieliła się napisać zaraz po maturze. I tak rozmawiając, szczęśliwie dochodzimy do ulicy Zachodniej. Tu już kłębi się tłum ludzi gotowych przechodzić na czerwonym świetle, byleby tylko kupować albo znaleźć się tam, gdzie czysto. Wtedy też Dora ciągnie mnie mocno za rękaw i ze strachem wskazuje na coś wzrokiem. To, co zobaczyłem, było tak niezwykle, że omal się nie ocknąłem we Wrocławiu. A przecież powinienem się uodpornić, bo widziałem już tę scenę, i to na jawie, niedługo przed swoją wyprowadzką z Łodzi. Obok przejścia dla pieszych, między czekającymi na zmianę światła, stoi dziewczyna w wełnianych skarpetach, ciepłej spódnicy i zielonej kurtce. Miła, chciałoby się powiedzieć, ekologiczna twarz. Niczym gromnicę trzyma przed sobą planszę zapisaną gęsto drukowanymi literami. Wyjątkowo długa prośba, to oczywiste skojarzenie, dopiero po chwili dociera do mózgu wielokrotnie odmieniane nazwisko Rumkowski.

Już za pierwszym razem, na jawie, poczułem się nieswojo, a co dopiero teraz, kiedy paraduję po mieście z dziewczyną z getta. W XXI wieku, przed wej-

ściem do wesołego świata handlu i rozrywki, dowiedzieć się, że Żydzi nie tylko wywołali wojnę, ale też nie rozliczyli się z Rumkowskiego, największego jej kata, który wyręczał Niemców, wysyłając swoich braci na śmierć. Niezłe przeżycie. Dziewczyna, do której wtedy zagadałem, zdziwiła się, że znam to nazwisko, zdziwiła się jeszcze bardziej, kiedy jej powiedziałem, że istnienie Rumkowskiego nie jest tajemnicą i że napisano na jego temat więcej, niż przeczytali w życiu kierowcy czekający na zmianę świateł. Chyba mi jednak nie uwierzyła. Przypomniałem więc, że nikt nie mógł o nim gorzej napisać niż polski Żyd Adolf Rudnicki w swoim *Kupcu łódzkim*. – Czytała pani? – Nie czytała, ale dopiero wtedy dostrzegłem prawdziwe zainteresowanie w jej oku. Trzeba mieć nadzieję, że nie z szacunku dla imienia Adolf i że była tylko chodzącym słupem reklamowym, który nie odpowiada za treść ogłoszeń. Nie byłoby dobrze, gdyby dziewczyna, która wkrótce będzie mieć dzieci, żyła nienawiścią i z tej nienawiści oznajmiała ludziom na ulicach, że Żydzi są wszystkiemu winni, bo mieli Rumkowskiego. Jakby dla samych Żydów nie był problemem. Właśnie na nią i jej afisz wskazywała teraz Dora. Dziewczyna dostrzegła nasze zainteresowanie i uśmiechnęła się, zachęcając do czytania.

– Domaga się wysokiego wyroku dla pana prezesa. Nie wchodźmy z nią w dyskusje, bo jeszcze rozpozna, że jesteś tu bez zezwolenia.

– To Żydówka?

Zamiast odpowiedzieć wskazałem na zielone światło.

Wszystko dobre musi się kiedyś skończyć – pomyślała Regina. Mimo skandalu chwile spędzone w teatrze były dla niej czymś, o czym marzyła przez ostatnie cztery lata. Gdyby mogła, pozostałaby w zaciemnionej łoży do końca życia, niechby te nędzne ćwiczenia z Szekspira zamieniły się nawet w wypisy z Bena Jonsona, niechby rzucono na scenę czymkolwiek, byle trwało jak najdłużej. Jednak powrót na salę sądową przyjęła z godnością i nawet się nie skrzywiła, kiedy strażnik w cywilnym stroju nakazał jej się pospieszyć.

Sala wyraźnie się przerzedziła, a na ławie przysięgłych brakowało dwóch osób. Jedną z nich był pracownik resortu szcztokarskiego Wobich, który według niej powinien siedzieć na innej ławie: dobrze pamiętała przywłaszczenie sobie przez niego mąki przysługującej teściowej, która umarła w miesiącu poprzedzającym ważność przydziału. Wiedziała, że był chory na gruźlicę. Siedząc na ławie przysięgłych, bladł coraz bardziej, ale przecież teatr powinien go ożywić. Jeśli umarł w teatrze, miał pecha, bo chyba był w nim po raz pierwszy. Siłą woli skupiła się na słowach kolejnego świadka.

– To bzdura, co ludzie potem wygadywali. Nie było żadnej salonki. Widziałem na własne oczy, jak wsiadał z rodziną do zwykłego wagonu. Był z

obecną tu żoną i adoptowanym chłopakiem. Był też jego brat Józef i bratowa... Podstawili im wygodne schodki i Biebow się z nim ładnie pożegnał, poklepał go nawet po plecach...

Bez patrzenia na Chaima wiedziała, że po słowach „poklepał po plecach” przez te plecy przejdzie mu dreszcz.

– Przez dobre dziesięć minut miał też prawo do złudzenia, że cary wagon należy do nich. Kiedy jednak Biebow odszedł, żołnierze, jak gdyby na złość, dopchali ten wagon ponad normę...

Nie wiadomo co jej nakazało spojrzeć na sędziego. Dobrze zrobiła, bo on akurat patrzył się na nią i w wyraźnie teatralnej pozie trzymał się za siwą głowę. Potem przeniósł wzrok na Chaima.

– Rozumiem, co pan teraz czuje, panie prezesie. Odzierają nawet z takich drobiazgów... Ma to jednak dobrą stronę, bo może opowieść, że Żydzi łódzcy z Sonderkommando już na pana w Auschwitz czekali, także okaże się legendą. A już zwłaszcza to, że wykupili pana od Niemców i po oprowadzeniu z należnym szacunkiem po obozie wrzucili żywcem do krematoryjnego pieca. Z najlepszych źródeł wiem, że się panu upiekło... przepraszam, to tylko mimowolna gra słów... i że razem z innymi do końca miał pan nadzieję na wodę z prysznicą... A cóż może być piękniejszego od nadziei? Panowie, poproszę teraz, abyście wygłosili mowy końcowe, niech je usłyszą ci, którzy dotąd z nami wytrwali...

– Najwyższy sędzio, czy w związku z dotychczasową dowolnością procedury mógłbym przemówić jako pierwszy? – Borstein zerwał się z krzesła.

– Jeżeli oskarżyciel nie ma nic przeciwko temu. – Sędzia rozłożył ręce, jakby było mu wszystko jedno, a Wilski zrobił zapraszający gest.

– Bardzo dziękuję. – Bornstein poprawił nerwowo krawat. – Na początku chciałbym powiedzieć, że wiele się nauczyłem podczas tej rozprawy, i to nie tylko dlatego, że nigdy wcześniej nikogo nie broniłem. Znane nam wszystkim okoliczności nie pozwoliły mi nawet ukończyć prawa, choć zaręczam, że na trzecim roku w Heidelbergu wygrałem konkurs oratorski i podobno dobrze się zapowiadałem. Teraz jednak łatwiej mi będzie pogodzić się z tym, że nie dane mi było zostać dyplomowanym prawnikiem, gdyż tylko dla możliwości uczestniczenia w tej rozprawie warto było stracić życie. Za umożliwienie mi tego chciałbym bardzo podziękować. – Skłonił się w stronę sędziego. – Nad tym, jakimi motywami kierował się pan sędzia, wybierając właśnie mnie, będę się zastanawiał, dopóki będę w stanie zebrać myśli...

– Aby nie osłabiać pańskiego entuzjazmu, nie wspomnę o tym, że był pan akurat pod ręką.

– I za to także dziękuję, bo bycie pod pańską akurat ręką, sędzio nasz jedyny, nie mogło się odbyć bez pańskiej wiedzy i przyzwolenia. Choć wiem, że nie brzmi to stosownie, chciałbym także podziękować panu prezesowi za to, że trzeba nam było go sądzić... To wielce szczęśliwa dla mnie okoliczność...

Sędzia tylko chrząknął.

– Oczywiście, już przechodzę do rzeczy. Zapewne wszyscy państwo znają słynne słowa Saint-Justa wypowiedziane na procesie Ludwika XVI. „Nie można panować i być bez winy. Szaleństwo panowania jest zbyt oczywiste”.

Widziała, że mówiąc to, jakby specjalnie zwracał się do Chai Buber z ławy przysięgłych, która przed wojną miała stragan na Wolborskiej i nie знаła nie tylko tych, ale i wielu prostszych słów. Regina nie uznała tego za eleganckie ani tym bardziej śmieszne.

– Czy to stwierdzenie można by odnieść do mojego klienta? Na pierwszy rzut oka do nikogo bardziej nie mogłoby ono pasować, a jednak odrzucam je jako zbyt efektowną oczywistość. Pan prezes nie został zainfekowany szaleństwem władzy, chęć panowania nad innymi tkwiła w nim od urodzenia. Prawie całe życie rządzi sierocińcem, a więc instytucją, w której jak w koszarach, więzieniu czy szpitalu dla psychicznie chorych wszystkie sfery życia człowieka są pod kontrolą zwierzchnika. Już wtedy dzieci ofiarowują mu wykonane przez siebie przedmioty i śpiewają: „Naszą matką ziemia, naszym ojcem Chaim Rumkowski”. Z dobrego serca, a może tylko pod jego pozorem, był ich absolutnym władcą. Już w 1927 roku mówił, że dzieci z internatu muszą być wychowywane tylko na rolników lub rzemieślników. I że jedynie taki element ludzki chciałby widzieć w przyszłej Palestynie...

Starła się wyczuć, na czym oprze linię obrony, ale podkreślanie tego, że Chaim był z charakteru despotyczny, nie wydało jej się szczęśliwe. A już wspomnianie sierocińców i dzieci mogło się skończyć tylko źle.

– Niespodziewanie, i to w ostatnich latach życia, nasz dyktator od dziecięcych karków dostaje wreszcie odpowiednią dla siebie godność. Ma stworzyć od podstaw państwo-więzienie, a jego poddanymi nie będą już dzieci, lecz skupiona jak w soczewce reprezentacja narodu żydowskiego...

Obrońca już nie patrzył na biedną Buberową. Wyprostował się i patrzył po wszystkich. Podobne spojrzenie widziała u swojego patrona, ale tylko wtedy, kiedy nie mógł wiele zrobić dla swojego klienta.

– Mój klient spisuje się wspaniale i wreszcie może powiedzieć: „Moje getto jest jak małe królestwo”. – Bornstein podszedł do Chaima i skłonił się nisko. – Ten nieważny dotąd w społeczności miejskiej człowiek czuje się nagle mężem opatrznosciowym całego łódzkiego żydostwa. Ba, kiedy nadejdą transporty z Żydami zachodnimi, będzie już odpowiedzialny za cały świat. Przy okazji może

też wreszcie wyrównać rachunki z tymi, którzy choć niby tacy oświeceni, nie mieli dotąd pojęcia, że na pogardzanym Wschodzie urodził się człowiek mający przeprowadzić ich przez pustynię. Jak zgodnie podkreślają świadkowie, młodnieje o wiele lat. Zauważmy, że po czterdziestym drugim roku, kiedy jego wpływy w getcie maleją, zaczyna się starzeć w przyspieszonym tempie. Kocha więc władzę do tego stopnia, że nawet jego ciało rozkwita wraz z nią i marnieje z jej utratą. Jeśli to nawet szaleństwo, to wysrane z mlekiem matki, a więc apeluję, niechże stanowi poważną okoliczność łagodzącą.

Biedak robił, co mógł, lecz drganie lewego ucha Chaima wskazywało, że nie podoba mu się sposób obrony.

– A teraz rozważmy inne słowa. Immanuel Kant twierdził, że posiadanie władzy nieuchronnie psuje wolny osąd rozsądku. Czyżby odnośnie do pana prezesa wielki filozof mylił się tak bardzo? Przecież pan prezes do końca posiłkował się swoiście pojmowanym rozsądkiem. „Kocham dzieci, ale tym do dziesięciu lat nie mogę pomóc – uratują się za to starsze, a przy nich i dorośli. Chorzy na gruźlicę i tak umrą, a więc ratujemy zdrowych. Odciąć narośl, aby ratować to, co zdrowe”. Czy podobne myślenie nie jest przejawem powszechnie akceptowanego rozsądku? Ze okrutnego, chce pan powiedzieć? – obrońca zwrócił się do Zygi Bogelhaima, który instynktownie skulił w sobie. – A jaki miałby być w czasach nieznanego dotąd okrucieństwa? Zostawmy jednak te rozważania, bo czas odpowiedzieć na pytanie najprostsze. Czy mój klient chciał ratować Żydów? Jestem przekonany, że na tej sali nie znajdzie się nikt, kto powie: nie.

Obrońca już nie spacerował przed ławą przysięgłych, ale ruszył ku wyjściu z sali i wypatrywał wśród publiczności jakiegokolwiek oznaki sprzeciwu. Nie doczekał się, więc wrócił na swoje miejsce i mówił dalej.

– Chciał, po stokroć chciał. Wierzył, że dzięki posłuszeństwu i byciu pożytecznym dla Niemców przeprowadzi nas przez wojnę. Przegrał, bo gdyby nie szczęśliwe okoliczności, zginęłoby i tych pięciuset, dla których były już wykopane groby. Znany państwu dobrze Majmonides powiedział: „Lepiej dać się zabić, niżby jedna dusza Izraela miała być zaprzędana”. Prezes sprzedał nie tylko swoją duszę za złudę przetrwania. Jednak gdyby udało się ocaleć mojej rodzinie i mnie samemu, czy wspominałbym teraz o zaprzędanej duszy? Cieszyłbym się z życia, po prostu...

Na sali było cicho, ale nie była to cisza, która dobrze wróży. Regina w każdej chwili spodziewała się obraźliwego okrzyku.

– Byłżeby więc mój klient podobny do cesarza Galby, o którym mówiono w Rzymie, że uzdolniony jest do panowania pod warunkiem, żeby nie panował? Coś w tym jest, bo gdyby nawet wszyscy ludzie z getta doczekali wyzwolenia, los pana prezesa nie byłby szczęśliwy... Mam takie

przeświadczenie. – Bornstein splótł nerwowo dłonie, jakby chciał podkreślić, że dużo o tym myślał. – Dlatego więc czas na pytanie: Jakim człowiekiem był pan prezes, skoro za wszystko, co zrobił, nie tylko nie czujemy do niego wdzięczności, ale i wielu z nas gotowych byłoby domagać się surowej kary?

Być może nie doceniła linii obrony, bo kto wie, czy nie był to jakiś sposób.

– Odpowiedź może być tylko jedna... – Bornstein wyprostował się i powiódł wzrokiem po sali, a potem stanął przed prezesem, który nie podniósł głowy. – Marnym, nad wyraz marnym. Czy w sytuacji, w jakiej się znalazł, mógł zachować się przyzwoicie? Nie, bo skłonność do wywyższania się, nepotyzm i paroksyzmy pychy należały do niego jak siwizna... Co z tego jednak wynika dla naszej tu obecności? Tylko to, że jedyne, o co można oskarżyć mojego szanownego klienta, to jego charakter... Co z tego, że najpaskudniejszy, o jakim kiedykolwiek słyszałem? A w takim razie... – zaczął tak delikatnie, że Regina zadrżała – czas na pytanie następne. Czy warto było tracić czas, nasz i tych wszystkich, którzy w przyszłości zobaczą relację z tego procesu? Tylko po to, aby osądzić durnia, który uwierzył w swoją wielkość i który potrafił zachowywać się tak głupio, że gdybym nie był jego obrońcą, a on starym człowiekiem, obiłbym go jego własną laską? Nie mogę tego zrobić... ale mogę przedstawić, jak bym to zrobił!

Niespodziewanie wyrwał laskę z rąk Chaima i uderzył nią w stojące obok krzesło. Uderzenie nie było mocne, ale i tak zabrzmiało jak wystrzał. Za drugim razem zamachnął się oburącz, jakby laska była katowskim toporem. Chaim musiał wiedzieć, że nie zdaży uciec, więc tylko zakrył głowę rękami, a Bornstein purpurowy na twarzy walił w krzesło bez opamiętania. Sędzia zatkał uszy, bo hałas był straszny, ale nie zrobił nic, aby go powstrzymać. Może i dobrze – pomyślała – bo co zrobić z furiatem, kiedy ten wpadnie w szal. Dziesięciu mężczyznom nie dałoby mu rady. Wreszcie krzesło rozpadło się na kawałki, a Bornstein odrzucił laskę. Powoli dochodził do siebie. Zobaczyła, że Chaim łapie się za serce i osuwa na podłogę. Zanim podbiegła, podtrzymał go Wilski.

– Panie sędzio, proszę o doprowadzenie oskarżonego do stanu używalności, bo ma słuchać, a nie uciekać w słodką drzemkę! – Bornstein odsunął ich energicznie i wyprostował w krzesle bezwładnego Chaima, ciągnąc go za klapy marynarki. – Powtarzam pytanie: czy warto było tracić czas na mojego klienta? Po trzykroć tak. Trzeba bowiem surowo ukarać próżność, która pozwoliła mu uwierzyć we własną wyjątkowość. Trzeba było wybić mu z głowy fałszywe przekonanie, że był dobrym, opiekuńczym Żydem, bo był tylko nadętym głupcem. Wnoszę zatem o wyrok najsurowszy... Niechże naszą karą będzie wieczne zapamiętanie go takim, jakim był!



Spodziewała się po tych słowach wielkich krzyków, ale rozległo się tylko kilka, i to wątłych, jakby ludzie nie mieli już sił. W rękach sędziego nie wiadomo skąd pojawił się drewniany młotek, który widziała na filmie Fritza Langa. Na sam jego widok zrobiło się cicho.

– Czy pan oskarżyciel chce coś dodać? – spytał sędzia.

– Moje przemówienie nie może być lepsze, mimo że zdażyłem przed wojną skończyć studia i miałem nawet pewne sukcesy. Dziękuję, panie kolego... – Wilski skłonił się przed Bornsteinem, który trząsał się jeszcze ze złości. – Nie mam nic do dodania. Mogę tylko wyjaśnić oskarżonemu, że jeśli nawet przeżyje któryś z jego chaluców przysposabianych do Palestyny, to usłyszy tam, że ocalał, bo był brutalnym egoistą, i że w jego duszy nie pozostało nic dobrego. Niech to będzie dla niego dodatkową karą.

– Z przykrością stwierdzam, że przekracza pan swoje kompetencje. A państwa proszę o naradzenie się. – Sędzia zwrócił się w stronę prawie pustej ławy przysięgłych, a potem spojrzał na Reginę. Spuściła głowę, bo wiedziała już, dlaczego, mimo jej sprzeciwów, nie pozwolono Markowi wejść na salę.

Dora widziała w swoim krótkim życiu dworzec kolejowy zamieniony w muzeum, i paryskie Printemps, a jednak, tak jak przypuszczałem, handel kwitnący w dawnym imperium Izraela Kalmanowicza Poznańskiego zrobił na niej odpowiednie wrażenie. Najdłużej stała przy fontannach, w których radośnie taplały się dzieci z okolicznych domów, a kiedy jej powiedziałem, że być może dziadowie tych dzieciątek pchali tu wózki z bawełną, umoczyła dłoń w wodzie, sprawdzając, czy nie śni. Natychmiast też odczuła przyływ patriotyzmu, bo opowiedziała o Białym Łabędziu, domu towarowym otworzonym w Pradze przed samą wojną. Miał to być modernistyczny pałac o jedenastu piętrach, z których dwa skryte były pod ziemią. Do tego sześciusetmetrowy hali i największe w Europie okno: wykonane z dwustu płyt srebrnoszarego szkła zatrzymującego ciepło i niewpuszczającego hałasu, sięgało podobno piątego piętra. Z niespodziewaną swadą znawczyni domów towarowych mówiła o ogrzewaniu w sufitach, najnowszym systemie wentylacji, windach, ruchomych schodach, a nawet kasach połączonych pneumatycznie w jeden system. Kiedy wspomniała, że oprócz olbrzymiego tarasu dla klientów był i mniejszy, dla subiektów mogących w przerwach odpoczywać tam na leżankach, usłyszałem pewną satysfakcję w jej głosie. Nad tymi wszystkimi cudami miał się obracać ośmiometrowy neonowy łabędź.

Dora nie wyglądała na kogoś, kto umiałby skłamać, choćby dla żartu, a jednak jej dogłębna wiedza techniczna, a już zwłaszcza szafowanie metrami kwadratowymi, wydała mi się podejrzana. Na wszelki wypadek także

dotknąłem strumienia wody z fontanny. Nie mógł być bardziej zimny i mokry. Natychmiast odgadła moje wątpliwości.

– Mój kuzyn Wiktor tam mieszka... – Kiedy to powiedziała, jej policzki pięknie się zaróżowiły.

– Jest właścicielem czy strażnikiem?

Bezbłędnie czytała w moich myślach: – Masz rację, trochę się w nim podkochiwałam, lecz jako mała dziewczynka, i bardzo proszę, nie zwracaj sobie tym głowy. Pytasz, czy jest strażnikiem. Kto wie, może i dogląda czegoś... To wielki artysta. – Dopiero po tych słowach zaczerwieniła się na dobre. – Już w szkole podstawowej rysował tak pięknie, że nauczyciele wróżyli mu wielką przyszłość. Mam w walizce jego rysunek z tego czasu... Był w trzeciej gimnazjalnej, kiedy mu zmarli rodzice. Matka pierwsza, a zaraz po niej ojciec, Karel Brzuchaty, jak go nazywano. Był liczącym się kupcem w branży maszyn rolniczych. Jedni mówili, że to z żalu po żonie targnął się na życie, drudzy, że od dziecka próbował ze sobą skończyć, a jeszcze inni wspominali jakieś weksle, ale to już kompletna bzdura. Nie nudzę cię?

Aby móc jej słuchać, gotów byłem chorować do upadłego.

– Wiktor wybrał architekturę i skończył ją z nagrodą. Od razu dostał się pod skrzydła dwóch wielkich twórców projektujących gmach Białego Łabędzia. Jeden z nich powiedział mamie, kiedy odwiedziła plac budowy, że Wiktor zaproponował wiele wspaniałych rozwiązań i że czeka go światowa kariera. W nagrodę mama zaprosiła panów architektów na niedzielny obiad. I wiesz, obaj Józefowie, Kittrich i Hruby, gościli w naszym domu... Ale z Wiktozem nie było dobrze, nie uśmiechał się i pisał takie ponure wiersze, że aż się bałam czytać.

Wyrecytowała kilka słów po czesku, z których zapamiętałem tylko: *Černý mrak svým jazykem slíže, co zbude z tebe i ze mne. Tvé modré oko se první promění v popel.*

– Przyznasz, że coś się z nim działo złego, bo był młodym przystojnym chłopakiem, za którym wszystkie panny... – Znowu się zaczerwieniła się, a ja udałem, że tego nie widzę. – Najchętniej pracował z robotnikami na nocnej zmianie. Pan Kittrich powiedział, że jeśli będzie szukał cienia, nigdy nie stanie się sławny. Jak sądzisz, byłaby to prawda?

– Istnieje możliwość, że jednak po śmierci... – Jeszcze nie skończyłem, a już czułem, że to ją dotknie.

– Ależ on na pewno żyje! Dopiero teraz rozumiem, jaki był mądry. Przyszedł do nas siedemnastego sierpnia, kiedy dozorca Cupecký sprzedawał nasze ostatnie meble, bo trzeba było wyjeżdżać z Pragi. O dziwo, Wiktor był uśmiechnięty. Odwołał mamę do pustego pokoju i długo z nią rozmawiał.

Potem pożegnał się z nami, jakby się żegnał na zawsze. Bałam się, że chce sobie zrobić coś złego, ale mama pocieszyła mnie, że jest odwrotnie, bo już dawno obmyślił genialne schronienie i przyszedł, aby i nas ratować. Mama odmówiła. Uważała, że zagrożenie nie jest na tyle poważne, aby się poniżyć. „Przecież każda wojna musi się kiedyś skończyć, kochana Dorciu – powiedziała – nawet nie mówmy o tym ojcu, aby go nie irytować. Wiktor jest młodym mężczyzną, niechże więc pozna, co to zabawa w nocnego człowieka”.

Nocny człowiek, to zabrzmiało ciekawie. Nie wiem, na którym piętrze Białego Łabędzia zaprojektował swoją kryjówkę. W każdym razie z zaufanym murarzem tak poprowadzili ścianę, że pozostała za nią wolna przestrzeń. Jeden z ukosów muru jest lżejszą konstrukcją, która daje się odsuwać dzięki prostemu mechanizmowi. Powierzchnia do życia dla Wiktora miała liczyć jakieś trzydzieści metrów. Myślisz, że to dużo? Tak, ale szerokości, z tego, co wiem, tylko sześćdziesiąt centymetrów. Dlatego, jak zapewnił mamę, nasze posłania byłyby oddalone od siebie. Powiedział też, że rzecz jest dobrze pomyślana i dopóki stać będzie Biały Łabędź, nikt jego azylu nie znajdzie... W nocy mieliśmy wychodzić, myć się w nowoczesnych łazienkach dla personelu, a nawet czytać nowości wydawnicze. Na dzień... w to już mi się nie chce wierzyć, powiedział to raczej, aby przekonać mamę... wymyślił ponoć system rurek, ściągających do kryjówki naturalne światło. Przyznasz chyba, że to raczej niemożliwe?

– A żywność? – spytałem coraz bardziej zaciekawiony.

– Porobił spore zapasy, a jest tam też dział spożywczy, może nie taki jak u Harrodsa, ale zawsze. Wiktor dobrze się zaopatrzył w drobne pieniądze, aby podkładać do kas zapłatę za wszystko, co bierze. O całej sprawie wie tylko jeden człowiek, starszy subiekt Papoušek, podobno nadzwyczaj uczciwy, z którym Wiktor zna się od szkoły podstawowej. Ma zaopatrywać Wiktora we wszystko, czego nie można kupić w Białym Łabędziu, choć wątpię, by czegoś tam brakowało. – Zamyśliła się ładnie, ale tylko na chwilę. – Mama powiedziała jednak, że lepiej już pracować w polu niż siedzieć w skrytce, do której nie można w razie potrzeby zawezwać lekarza. Dała jednak Wiktorowi złotą monetę, bo zawsze mogła mu się przydać...

Niepotrzebnie zakasłałem, aby odwrócić jej uwagę od dwóch elegantów w czerni, którzy możliwie najdyskretniej usuwali człowieka próbującego wykorzystać plac i fontannę do proszenia o pieniądze. Poskutkowało, przeniosła wzrok na mnie.

– Przeziębileś się?

Za czułość i troskę w jej głosie można by dać wiele. Odpowiedziałem, że wpadło mi coś do gardła, a kiedy kończyłem swoją kwestię, żebraka już nie

było. Wtedy też zrozumiałem, czym jest kaszel nie w porę. Matka Dory kaszlała także i musiało nastąpić najgorsze. Dora przypomniała sobie o tym.

– Mama chyba już się o mnie martwi. Czas wracać i powiedzieć jej o nas. Wejdę tylko na chwilę... – Była jak dziecko nierozumiejące powagi sytuacji.

– Jeśli masz jakąkolwiek szansę, to tylko tutaj. – Wypowiedziałem wiele słusznych słów, mających ją przekonać, że nie powinna tego robić. Wszystko to z logiką człowieka, który bredząc, nie przestaje myśleć.

– Jeśli jej nie pożegnam, nigdy i nigdzie nie będę szczęśliwa. I nie mów, że to się nie może udać. Wiesz najlepiej, jak dużo zależy od ciebie. A jutro do Pragi, pokażę ci tam każdy kamień... – W jej głosie była taka ufność, że nie pozostawało mi nic innego, jak uwierzyć, że panuję nad sytuacją.

Nie wiadomo dlaczego Reginie przypomniały się plamy na ciele młodej kobiety, która otruła się luminalem. Doktor Szklarek z pewną lubością pokazywał je studentom wydziału prawa. Jeden z jej kolegów omal wtedy nie zemdlał, lecz ona nie spuszczała oczu z twarzy nieżyjącej kobiety. Chciała zrozumieć, dlaczego miłość do niejakiego Jana Wańtucha – pisały o tym gazety – sprawiła, że Józia zdecydowała się pokazać swoje nagie ciało nie tylko studentom prawa, ale i przyszłym medykom, którzy za chwilę mieli je zobaczyć także od środka. Spojrzała na czerwone plamy na twarzy swojego męża Chaima Rumkowskiego. Zbladły, co prawda, lecz coraz bardziej stawały się podobne do tych, które doktor Szklarek nazwał ostatecznymi.

Nie wiadomo kiedy i skąd pojawiło się dwóch pielęgniarzy w gumowych fartuchach. Starszy z nich i bardziej doświadczony, w fartuchu pobrudzonym krwią, nakazał drugiemu rozłożyć nosze. Wtedy też Chaim ku zdumieniu wszystkich powstał, mimo co najmniej dwóch ataków apopleksji, stwierdzonych przez obecnego na sali doktora Mazura. Zatoczył się, lecz wyszedł o własnych siłach, nie pozwalając się tknąć pielęgniarzom. Na Reginę nawet nie spojrzął, za co była mu wdzięczna, bo nie umiałyby ukryć przestachu. Pozostała jej tylko nadzieja, że mają tu szpital lub przynajmniej dobrze wyposażone ambulatorium.

Sędzia wyszedł tylnymi drzwiami, kiedy tylko Chaim postawił oczy w słupek i zaczął charczeć. Zniknął też Wilski, a ciężko oddychającego Bornsteina wynieśli na noszach pielęgniarze. Sala powoli pustoszała, na ławie przysięgłych pozostał tylko Tadzio Finkel, który spał albo udawał, że zasnął, co było jego popisowym numerem. Reszta publiki sprawiała wrażenie, jakby brała poważną instytucję za dworzec. Jedni spacerowali między krzesłami, inni siedzieli bez ruchu lub grzebali w bagażach. Regina miała już wychodzić, kiedy sędzia wrócił niespodziewanie i jak gdyby nigdy nic chodził między

ludźmi, a nawet zagadywał niektórych. Przy okazji podnosił z podłogi rysunki porzucone przez artystę relacjonującego proces i przyglądał im się z uwagą. Znała je, bo rysownik Kazimierz Winkler chwalił się już niektórymi. Przedstawiony na nich Chaim był zagniewany, często zdziwiony, z dobrze oddanym osłupieniem na twarzy, jednak najlepiej się prezentował, kiedy leżał bez czucia. Rysunek przypominał jej olej Noldego przedstawiający ojca malarza na łożu śmierci. Wykrzywione wargi i ślina tocząca się z ust, podobna do krwi z rany postrzałowej. Może zresztą był to wczesny Kokoschka, którego widziała w Wiedniu?

Mimo obecności sędziego postanowiła przemóc się i wstać, wtedy jednak w drzwiach pojawiła się głowa mężczyzny. Znała ją z widzenia. Trochę brylantyny i starannie zaczesany przedziałek. Jej właściciel wchodził kilkakrotnie na salę, ale nikt go o nic nie pytał, a w jadalni siedział samotny, do nikogo się nie odzywając.

– Pan do nas? – Sędzia podniósł głowę znad rysunków.

– Miałem się zgłosić... – mężczyzna mówił po niemiecku, bez śladu jidysz.

– Pańska godność? – Johann Krüger, notariusz.

– Już pamiętam. Prosimy w takim razie, niech pan wchodzi śmiało. – Sędzia pogłaskał na pożegnanie brzuch ciężarnej Salki Zimy, która skarżyła się na coś, i usiadł na pierwszym z brzegu krześle.

Mężczyzna wszedł, zbliżył się do sędziego, lecz nie usiadł mimo uprzejmego gestu wskazującego mu krzesło. Regina przyjrzała się błyszczącym trzewikom i pięknie dobranemu krawatowi. Marynarka z wełny wyglądającej na angielską (a na wełnie dobrze się znała, jeden z wujów zwracał jej od dziecka uwagę na splot i szorstkość nitki), do tego koszula w niebieskie paski, może trochę zbyt agresywne jak na znane jej mody, jednak dopuszczalne w każdym towarzystwie. Nie uwierzyłaby, że to ktoś z Łodzi, nawet gdyby dał na to słowo.

– Na pewno jest pan zdziwiony swoim nagłym pojawieniem się tutaj. – Na twarzy sędziego pojawiła się dawno niewidziana jowialność. – I ma pan do tego prawo. Czy zgadnę, jeśli powiem, że nie zna pan prezesa Rumkowskiego i nawet przejazdem nie był w Łodzi?

– Tak właśnie jest, proszę szanownego pana. Stąd też nie tylko zdziwienie, ale i pewne zniecierpliwienie. Co prawda od dawna jestem na emeryturze, jednak czuję się odpowiedzialny za wnuki, zwłaszcza za Jürgena, który jeszcze się uczy.

– Victor już na dobrej posadzie, z tego co wiem?

– Tak jak ja i jego ojciec, jest notariuszem.– W głosie Krügera dało się wyczuć zawodową dumę. – Po prostu dogłębiamy w swoim kraju porządku prawnego...

– W takim razie, aby go nie zakłócić, już wyjaśniam, o co chodzi. Pańska obecność wśród nas nie bierze się z niczego więcej, jak tylko z naszej nieokiełznanej ciekawości. Będzie pan z nami wszystkiego może pięć minut i odejdzie stąd tak szybko jak przyszedł. Zapewniam, że Jürgen nawet nie zauważy pańskiej nieobecności.

– Zatem jestem do dyspozycji.

– I zechce pan szczerze odpowiedzieć na jedno tylko pytanie?

– Nie mam nic do ukrycia. – Jakby dla potwierdzenia swoich słów Krüger wyprostował się, a nawet wypiął pierś.

Piękny z niego mężczyzna mimo wieku – pomyślała Regina i przez chwilę dociekała nawet, czy dużo starszy od Chaima.

– Wiemy o tym. W czasie wojny szeregowy żołnierz, nie należy pan do partii, żadnych flirtów z gestapo. Jak już mówiłem, w Łodzi pan nie był, ale spędził pan tydzień w pobliskiej Zduńskiej Woli. Pełnił pan służbę wartowniczą w tamtejszym getcie krótko, bo na skutek interwencji wpływowego wuja ówczesnej narzeczonej przeniesiono pana do Francji. Nie myłę się?

– Wszystko to prawda, panie sędzio. Czy ta forma zwracania się do pana wystarczy, czy też mam?...

– Może mnie pan nazywać jakkolwiek, choć nie ukrywam, miło mi słyszeć to miano z ust niemieckiego prawnika. Tak się więc szczęśliwie złożyło, że nie musiał pan w czasie wojny nikogo zastrzelić ani nawet uderzyć. To niemało jak na uczciwego Niemca żyjącego w strasznych czasach. Potem studia, małżeństwo i wzorowa kariera notariusza. Mieszka pan teraz w dzielnicy Willensdorf w Kolonii. Słowem, życie bez większych wstrząsów. Czy do tej pory wszystko się zgadza?

– Tak to mogło wyglądać. Choć nie do końca zgodziłbym się, że bez większych wstrząsów...

– Ma pan na myśli włamanie do willi czy śmierć narzeczonej w drugim roku po wojnie.

– I to, i to, panie sędzio. Dodałbym jeszcze operację prostaty.

– Racja. W pańskim życiu były też sztormy – zgodził się uprzejmie sędzia.

– Ciągłe przywiązany do mercedesa?

– Nigdy nie wsiadłem do innego samochodu.

– Tradycja, wiem coś o tym... Oprócz Jürgena i Görta jeszcze dwie wnuczki, zdaje się? Nie, proszę nie pokazywać, na pewno udane panny. Lepiej nie róbmy zamieszania ze zdjęciami, bo nasze spotkanie z panem także dotyczy pewnej fotografii... – Wstał i podszedł do epidiaskopu. – Za chwilę okaże tu obecnym powód, dla którego poprosiłem do nas pana Krügera...

Wyglądało na to, że nie potrafi obsługiwać epidiaskopu, bo po kilku nieudanych próbach zaczął się rozglądać za woźnym. Pomogłaby, bo wiedziała, gdzie się podkłada zdjęcie, ale nie wierzyła, że sędzia może czegoś nie umieć. Zniecierpliwiony odszedł jednak od aparatu i powiedział:

– Lepiej dotknijcie osobiście tej fotografii....

Nie wiadomo dlaczego, Reginie jako pierwszej pokazał małe, zniszczone zdjęcie i gestem nakazał puszczenie go w obieg. Na poźółklej, źle utrwalonej fotografii zobaczyła parterowy drewniany domek. Przed domem rachityczne drzewo, jednak z gałęzią wystarczająco mocną, aby utrzymała wiszącego

263na stryczku człowieka. Obok stało trzech żołnierzy w mundurach Wehrmachtu. Jeden z nich uśmiechnięty. Oddała szybko zdjęcie siedzącemu najbliżej, a był to listonosz Nachman Wodzicki, z którym w getcie rozmawiała wszystkiego dwa razy. Sędzia odczekał, aż zdjęcie obejrzy kilkoro obecnych.

– Zapewniam wszystkich, że to nie nasz pan notariusz powiesił w getcie zduńskowolskim Józefa Kralkowskiego. Na miejscu egzekucji zjawił się na rozkaz, jako jeden z żołnierzy ochrony. A teraz czas wyjaśnić, czemu pana niepokoimy. Wspomnę tylko dla porządku, że nie ma pan obowiązku mówienia prawdy. Proszę tylko tak zwyczajnie, po ludzku wyjaśnić, co pana wtedy tak rozśmieszyło.

Od notariusza dzieliło ją kilka metrów, ale i tak dostrzegła, jak bardzo jest zaskoczony. Jednak już po chwili na jego twarzy pojawiło się coś w rodzaju ulgi, a do oczu napłynęły łzy. Nie mogła się mylić, bo odbite od łez światło dawało wyraźny błysk.

– No... Takiej reakcji u byłego żołnierza nigdy bym się nie spodziewał. To piękne. Niech pan mówi... – Sędzia uprzejmie udał zaskoczonego.

– To za mną chodzi całe życie... – Głos Krügera stał się płaczliwy.

– Cóż takiego?

– Już po powrocie do koszar poczułem ukłucie obrzydzenia do siebie, ale że tego wieczora miałem urodziny i było wesoło, udało mi się o tym nie myśleć. Następnego dnia jednak przyśniło mi się, że wiem obcego człowieka, a potem zaśmiewam się z tego do rozpuku. I ten sen nawiedza mnie do tej pory, choć mam już swoje lata.

– Nieregularnie, mam nadzieję.

– Niestety, każdej nocy. W niektórych snach tylko się uśmiecham i wyprężam przed aparatem fotograficznym, w innych tak się zanoszę od śmiechu, że koledzy nie mogą mnie powstrzymać. Nieraz trzeba wzywać dowódcę, bo tarzam się po ziemi i nie wiadomo, co ze mną zrobić. Doszło do tego, że zaraz po złotej rocznicy ślubu przyśnił mi się kolega, który kiedyś na moich oczach strzelił do dziecka. I oto ten kolega mówi mi, żebym już przestał, bo to nie wypada. Najgorsze są jednak sny, w których pociesza mnie ten wiszący... Niech się pan nie przejmuje, mówi, to tylko sen, zaraz się pan obudzi i wszystko będzie dobrze...

– I jest dobrze?

– W miarę upływu lat tylko gorzej.

– Więc na jawie także wstydzi się pan swojego uśmiechu?

– Jeszcze bardziej, bo nie mogę sobie powiedzieć, że to tylko sen.

– To tylko chciałem usłyszeć. Dziękujemy panu. Proszę wracać do Kolonii.

– A sny?

– Próbował pan ciepłego mleka na wieczór?

– Czego ja już wieczorem nie piłem, panie sędzio.

– Niech pan spróbuje jeszcze raz. Tym razem pomoże... *Auf Wiedersehen, Herr Krüger.*

Notariusz uklonił się tak nisko, że krew napłynęła mu do głowy, ale kiedy wychodził, miał krok młodego żołnierza.

– Skrucha, jakże to wzruszające – powiedział jeszcze sędzia, lecz nikt go już nie słuchał, bo wszystkim jakby zaczęło się spieszyć. Nawet Tadzio Finkel otrząsnął się z omdlenia i wyglądało, że szuka po kieszeniach dokumentów. Nie wiedziała, jak się zachować, bo sędzia był odwrócony, na wszelki wypadek skłoniła się jego plecom i wyszła.

To, co olbrzymka nazwała biblioteką, było czymś w rodzaju archiwum kwitów, tyle że oprawionych w tekturowe okładki. Jednak podziękował grzecznie i powiedział, że przeczyta coś, co ona wybierze. Długo się wahała, aż wreszcie położyła przed nim księgę najmniej zabrudzoną, a jeszcze przetarła ją rękawem. Potem życzyła mu powodzenia i zostawiła samego. Spełnił przyrzeczenie i przeczytał pierwszy kwit, którego akcja tyczyła zakupu spinaczy biurowych. Nie wciągnęło to Marka, więc wyszedł i po krótkim



błądzeniu znowu znalazł się pod salą. Widział sanitariuszy w białych fartuchach, a potem wychodzącego pana prezesa, który wyglądał jak nieboszczyk. Trudno się dziwić, że na nikogo nie spojrział. Wszyscy na korytarzu bardzo się z czegoś cieszyli, a pan Goldfish złamał nawet parasol, waląc nim bez opamiętania w kamienną ławę. Wreszcie wyszła pani Regina, wzięła go za rękę i już bez eskorty poszli do swojego pokoju.

Nie protestował, kiedy nakazała mu kłaść się do łóżka i szybko zasnąć. Po prostu rozebrał się grzecznie, umył zęby proszkiem vega i zamknął oczy. Nie miał nawet ochoty poczytać *Królewicza i żebraka*. Na czytanie Marka Twaina krzywił się w Łodzi pan prezes, bo jak się wyraził, w Palestynie jego książki do niczego się chalurowi nie przydadzą.

Z zamkniętymi oczami wsłuchiwał się w odgłosy. Pani Regina na pewno była zmartwiona. Wstawiała, spacerowała po pokoju, a potem znowu się kładła. Tak samo w sierocińcu zachowywała się Chaja Cywińska, bezpośrednia opiekunka jego piętra. Gdy miała powziąć trudną decyzję, to siadała, a potem zrywała się i nerwowo myła ręce po kilka razy, choć nie mogła ich zabrudzić od samego wstawania. Chaja nie grzebała w walizce, bo jej nie miała, a pani Regina kilkakrotnie otworzyła swoją, potem schowała do szafy, aby ją za chwilę wyjąć i położyć na łóżku. Nie było komendy do wyjazdu, a więc brało się to ze zdenerwowania, tym bardziej więc należało się dobrze zachowywać.

Wreszcie szelesty pięknie go uspiły i jakby na zawołanie przyśniło mu się zakole rzeki Rudki, gdzie był z rodzicami na wakacjach. Słońce, ciepły piasek i piegowate plecy Moniki Nonas, córki sąsiadów, sprawiły, że przyjął pocałunek w policzek jako rzecz przynależną ciepłu i słońcu. Tym bardziej nie mogło go obudzić ciche skrzypnięcie drzwi.

Kiedy Regina zdecydowała się przyjąć propozycję Wilskiego, jej ruchy stały się precyzyjne i szybkie. Do tego czasu sama sobie wydała się rozmemłanym babskiem, które nie jest w stanie myśleć precyzyjnie. Choć niby nie powinna się wahać, bo zarysowała się możliwość ratunku, to zebrało jej się na wątpliwości, czy życie warte jest takiego zachodu. Życie wygrało w końcu, bo pomyślała, że przecież nie zagazowano całego świata i może pozna jeszcze tych wszystkich ludzi, których zawsze chciała poznać. Zapakowała najpotrzebniejsze rzeczy, przerzuciła przez rękę płaszcz i zrobiła krok w stronę drzwi. Potem wróciła do Marka i pocałowała go w policzek. W nikłym świetle jeszcze bardziej przypominał jej zmarłego w getcie braciszka.

Szybkim krokiem poszła w stronę przejścia, które prowadziło na stronę sądu. Drzwi do szafy na szczytce były otwarte i bez trudu weszła do pomieszczenia, jednak na przeciwległej ścianie nie znalazła zamka, w który

mogłaby włożyć klucz, a nawet samych drzwi. Pierwsza myśl, że to inna szafa, choć zapach ten sam, wróciła więc na korytarz w poszukiwaniu właściwej. Żadnej przy tym hysterii ani, broń Boże, łez, może tylko zaciśnięta pięść, gotowa uderzyć w wypolerowane drewno. Powstrzymuje ją przed tym wyobrażenie własnej śmieszności.

Marek spał w tej samej pozycji, a na jego ustach błąkał się uśmiech, którego nigdy wcześniej u niego nie zauważyła. Także zasnęła szybko. Przyśnił jej się epizod z dzieciństwa, kiedy pojechała do pobliskiej Spały na wieść, że wypoczywa tam z tercjanekami Juliusz Osterwa.

Obudziło ją głośnie pukanie, a potem krzyki, że pociąg czeka, ale wcale się tym nie zdenerwowała. Marek po raz pierwszy nie był poważny i śmiał się, kiedy próbowała mu pokazać, jak się naprawdę myje uszy, a nie tylko udaje. Drogę do wyjścia znaleźli łatwo, choć nikt ich nie prowadził. Hall na dole był pusty, a zza szklanych drzwi nie dobiegał żaden dźwięk. Na małej kanapce siedział tylko ich mąż, ojciec i prezes wszystkich łódzkich Żydów. Na widok żony podniósł się i ucałował ją w rękę, a Marka poklepał po ramieniu. Nie przestraszyli się tej czułości, a nawet jakby była im miła. Ucieszony Marek próbował pomóc nieść Reginie walizkę, ale nie było takiej potrzeby, bo pan prezes wręczył mu swoją laskę, a sam mimo protestów żony dźwignął obie walizki. Zaczerwienił się tylko trochę, ale nie ze wstydu, że dźwiga cokolwiek, raczej z normalnego zdrowego wysiłku, który przecież w Palestynie mocno mu się przyda.

Wyszli na taras, po muzykach został tylko futerał na skrzypce, co znaczyłoby, że wyjeżdżali w pośpiechu. Gdyby nie to, że tym razem dostojny starzec dźwigał walizki, wszystko wyglądałoby tak samo jak podczas przyjazdu. Nawet wiatr zdawał się ten sam, bo podobnie wirowały w powietrzu resztki bawełny, a kartki z porzuconych kwitariuszy magazynowych wcale nie odfrunęły daleko.

I znowu pod domem, w którym przyszło mi poznać Dorę. Gmaszysko nie wypiękniało, a szyby nawet jakby bardziej zmatowiały. Ku swojemu zdziwieniu zobaczyłem wychodzącą stamtąd Lucille Eichengreen. Co tam robiła, nie miałem pojęcia. Jeśli się trzymać ustaleń z naszej ostatniej rozmowy telefonicznej, powinna być na Zachodnim Wybrzeżu. Prowadził ją pod rękę Jurek, który wyglądał na bardzo dumnego z tego powodu. Wykrzyknąłem jej imię, ale nawet na mnie nie spojrzała. Musiała mieć swoje powody, aby tak się zachować, kto wie, czy nie była w Łodzi bez swojej wiedzy, albo jak i ja, z małym jej udziałem. Jurek dał tylko znak, że wszystko jest pod kontrolą, i wsiedli do samochodu. Przyznaję, liczyłem na jego pomoc przy wejściu, bo znając już prawdę o tym miejscu, przewidywałem trudności. Gdybym jednak

nie zrobił wszystkiego, aby jeszcze raz wyprowadzić stamtąd Dorę, miałbym po wyzdrowieniu kłopoty z sobą.

W poczekalni te same krzesła i olejna lamperia w kolorze brudnego seledynu. Gablotka na broszury ostrzegające przed chorobami wenerycznymi tym razem na innej ścianie. Kto miałby ją przewieszać i po co, trudno było zgadnąć. Olbrzymka w fartuchu wypuszczała właśnie starszego elegancika w wełnianej marynarce, który wcześniej zapewniał, że nie wie, po co został wezwany, a teraz wyglądał na szczęśliwego.

– *Danke sehr und Wiedersehen.* – Odebrał spłaszczony kapelusik, który wyjęła z szafki na klucze. Potem jakby uświadomił sobie, że „do widzenia” to słowa, które mogłyby się spełnić, więc na wszelki wypadek dodał jeszcze: – *Guten Tag.*

Skorzystałem, że duża pani zastanawiała się nad dziwnością usłyszanych słów, i objąwszy Dorę, próbowałem wcisnąć się w następne drzwi.

– *Halt!* – Jednak szybko się uczyła. – Gdzie to idzie? Ty możesz. A ty dokąd?

Nigdy w taki sposób nie dotknąłem kobiety, a jednak zebrałem się w sobie i chcąc ją odsunąć, z odchylenia wbiłem głowę w okolice jej żołądka. Z większym pożytkiem mógłbym uderzyć w ścianę.

– Piękna kobieto, jesteśmy Łodzianami i powinniśmy się szanować. – To już był lepszy pomysł. Nie podniosła na mnie ręki, co mogło być końcem wszystkiego, nie zamachnęła się nawet, a w jej oczach rozjarzyło się zrozumienie.

– *Won!* – Trzeba przyznać, że powiedziała to z pewną sympatią w głosie. Do tych duserów dołączyła Dora, całując mnie w oba policzki.

– To będzie tylko chwilka, najdroższy, jeśli mogę cię tak nazwać... Wróć zaraz. Gdybyśmy jakimś cudem nie mieli się już spotkać, to proszę, jedź do Pragi i odszukaj Wiktora w Białym Łabędzie. Może będzie potrzebował twojej pomocy? Z Papouśkiem mają sygnał na trzy puknięcia...

– Pojedziemy tam razem i sama go poszukasz...

Rozjaśniła się na chwilę, jakby mi uwierzyła, i pobiegła w stronę drzwi. Wyglądała tak pięknie, że nawet w spojrzeniu pani strażniczki dojrzałem odrobinę masła. Dora była już za drzwiami, lecz jeszcze wychyliła zza nich głowę, a potem rękę. Najpiękniejszą rudą głowę i najpiękniejszą rękę. Nie chciałem w to wierzyć, a jednak wydawało się, że choć jej usta uśmiechały się, to oczy były gdzie indziej. Także w oku dużej kobiety nie było już zrozumienia. Pozostało tylko ewakuować się i obserwować drzwi i okna.

Wszystko było jak przedtem. Szli tą samą drogą, bocznicą fabryczną, magazyny z czerwonej cegły i sterty zrolowanej bawełny, a przede wszystkim dobrze znany las kominów. Marek pomyślał, że gdyby szli tyłem do przodu, wyglądałoby to tak, jakby pan z kina Rialto puścił film z niewłaściwej strony, jak mu się to często zdarzało. Tym razem jednak nie było salonki, Marek pierwszy to dostrzegł i spojrzał na pana prezesa i panią Reginę, ale nie sprawiali wrażenia zdziwionych, więc i on się nie dziwił. Po pochyłej desce, niczym po okrętowym trapie, weszli do towarowego wagonu, czystego jednak i pachnącego dezynfekcją. Pani Regina natychmiast usiadła w rogu, nie czekając, aż usiądzie prezes. To także wydało się Markowi nowe. Prezes bez słowa odebrał od niego swoją laskę i uderzając nią o podłogę, spacerował po pustym wagonie. Stuk laski o drewnianą podłogę był monotony, ale energiczny i wydał się Markowi odgłosem wojskowego bębna. Kiedy ze swojej ławki wspiął się do małego zakratowanego okienka, zobaczył, że od strony fabryki zbliżają się ludzie w różnym wieku, wzajemnie się podtrzymując i niosąc walizki i tobołki. Niektórych rozpoznał z daleka, choć w świetle dnia wyglądali nędzniej niż w gmachu sądu.

Ktoś z zewnątrz otworzył szerzej drzwi i do ich wagonu, co obliczył dokładnie, weszło czterdzieści jeden osób. Wypatrzył przez okienko, że do innych wagonów wchodziły po czterdzieści dwie osoby, i już się ucieszył, że u nich jest mniej, kiedy przypomniał sobie, że nie policzył prezesa, mamy i siebie. Zawstydzził się swojej bezmyślności i poczuł, że się czerwieni. Z wrażenia zachciało mu się siku, ale przecież poza wiadrem, które znikło gdzieś między przybyłymi, nie było tu odpowiedniego naczynia czy miejsca. Ze strachem pomyślał, co będzie, jeśli poczuje śmielszą potrzebę, ale pocieszył się zaraz, że inni też muszą się o to martwić.

Zasunięto drzwi, a lokomotywa ze świstem wypuściła nadmiar pary. Spojrzał na prezesa i panią Reginę, którzy siedzieli na podłodze skuleni, a lewa dłoń pana prezesa drżała tak bardzo, że nie mógł jej utrzymać na kolanie. Wtedy też dostrzegł między deskami poszerzoną przez kogoś szparę. Szczęśliwy, przylgnął do niej połową twarzy i dzięki temu mógł coś widzieć. Wyobraził sobie, że nie należy do wagonu, ale do widzianego świata. W nagrodę za taką śmiałość zobaczył biegnącą w stronę pociągu dziewczynę. W malinowej sukni, z rozwianymi rudymi włosami wyglądała jak rajski ptak na tle szarości zapadającego zmierzchu. Widział, że wypatruje kogoś, kto musiał na nią czekać w drzwiach innego wagonu, bo zaraz tam pobiegła uśmiechnięta. Potem hałas zamykanych drzwi, i pociąg, który doczekał się swojego rajskiego ptaka, ruszył w drogę.

Marek zasnął z nosem w rękawie mamy, czując, że jest głaskany po głowie, a kiedy się przebudził i znowu przylgnął do iluminatora, zobaczył, że noc albo minęła i na horyzoncie łąnów pszenicy wstaje czerwone słońce, albo też, czego nie mógł wykluczyć, jeszcze nie zaszło, i ciągle jest wieczór. Mógłby się o to spytać, bo słyszał rozmowy, a nawet głośną modlitwę, ale postanowił nie odwracać głowy i pozostać w nieświadomości.

31 grudnia 2007 roku, także niewyspany, kończę *Fabrykę muchołapek*. Okrągłe daty, sekretne terminy to stary jak świat sposób zaklinania własnej niezdolności. Nie tylko pisarskiej, bo akurat tego dnia petardy i powszechna wiara w szczęście, które ma nadejść z nowym rokiem. Rano dowiedziałem się z gazety o śmierci Jaana Krossa, w którego sprawie tak niedawno chciałem podpalić Sztokholm. Mało śpię ostatnio, wyleczony ze wszystkiego, co utrudnia właściwą ocenę sytuacji. „Czując opór świata rzeczywistego, pacjent zwraca swoją energię w stronę świata wyobrażeń – powiedział do Beaty badający mnie profesor. – Żadnego alkoholu i ruch na świeżym powietrzu. Co maż sądzi o bieganiu na przełaj?”

Czuję się świetnie, czas zapomnieć o zwidach, a przede wszystkim postawić ostatnią kropkę. Irytuje tylko pióro z zielonego szylkretu, w pudełku wyłożonym aksamitem, ze złotym napisem „Pramen & Sohn” na wieczku. Patrę na nie, raz nawet próbowałem napisać nim słowo, a przecież nie jest moje. Ani kupiłem, ani dostałem to pióro, którego na świecie jest tylko kilka egzemplarzy. Jak się doczytałem, miało być pierwszym czeskim wiecznym piórem, a pan Pramen chciał ze swojej firmy uczynić potęgę dorównującą ołówkowemu Koh-i-norowi. Nie udało się, bo wcześniej wyjechał z synem do Teresina. Co jego pióro robi w moim domu, aż boję się pomyśleć.